

Biblioteka pisarzy polskich



22



PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

TOM PIERWSZY.



LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

—
1875.

87



114426 L-P

PRZEDMOWA.

Puszczając w świat niniejsze wydanie Pism Juliusza Słowackiego, nie mogę pominąć miłej sposobności objaśnienia powodów tego czynu.

Trzydzieści już temu lat i z górą, kiedy poeta, ożywiony uczuciem natchnienia, chwycił silną prawicą za pióro i począł tworzyć młodocianym umysłem owe zachwyty pełne obrazy, jakie go jednym polotem ponad ziemskie sfery w krainę genjuszów podniosły. — Mimo niezwykłych i aż do śmierci istniejących przeciwności osobistego i ogólnego współbraci losu, mimo niezliczonych zawad materialnych i fizycznych, pracował on aż do śmierci wytrwale, w raz obranym zawodzie. Z pod pióra jego rosły, niby siłą czarodziejskiej różeczki wywołane, jedne nad drugie wyższe twory — było tam coraz więcej ognia, barwy i zachwyty, a wciąż mistycyzm, przez wielu niepojęty, otaczał postać onych cudownem światłem tajemnicy. I można śmiało powiedzieć, że gdyby nie przedwczesna śmierć, która tego wieszczu narodowi zabrała, posiadałby on w nim najbogatszego w liczbę i różnorodność płodów, autora.

Od zgonu poety dziesięć lat przeszło ubiegło. —

Że zaś prędzej czy później zasługa otrzymuje prawą nagrodę — głos współbraci wyjawia coraz jaśniej i szczytniej Juliuszowi Słowackiemu zasłużoną pochwałę i przy okoliczności braku egzemplarzy pierwszego wydania prac jego, żąda nowego wydania takowych, pod przystępnemi ogółowi okolicznościami. — Zwolennicy gorętsi, osądzają dziś publicznie, śmiało i z ogniem wdzięczności, prace ukochane; a sąd narodu, ocuciwszy się z szalu ku

wielkiemu Adamowi, pozwala krytyki, przyjaznej tworam Juliusza. Poznawają wszyscy wartość tego nie całkiem pojętego wieszca. Uczą się górny cel w pracach jego; albowiem on w nich bezustannie rozdziera przyszlę blizny kraju, ocucając przez to miłość ojczyzny i przypominając: czem Polacy byli, czem są, a czem być powinni!

Jestem więc pewien, iż w sam czas odnawiam pamięci narodu i ułatwiam posiadanie «Pism Juliusza Słowackiego.» Mając głównie dobro ogółu na celu, zamknąłem szesnaście istniejących tomików paryskiego wydania, w czterech tomach niniejszej objętości, przez co niezwykle wysoka cena prawie sześć razy się pomniejszyła. —

Spodziewam się zatem, że niniejsze «Pisma Juliusza Słowackiego», czyli dalszy ciąg «Biblioteki pisarzy polskich» z równą radością widzieć przyjętemi, jak «Poezję Stefana Garczyńskiego» które przed kilku miesiącami wydałem. —

Lipsk, 1860-go roku.

WYDAWCA.

SPIS RZECZY.

	Strona
ŻMIJA, romans poetyczny	3
Objaśnienia do poematu Żmija	55
JAN BIELECKI, powieść narodowa	57
HUGO, powieść Krzyżacka	75
Do MICHAŁA ROLA SKIBICKIEGO	85
MNICH, powieść wschodnia	89
ARAB » »	101
MINDOWE, obraz historyczny w pięciu aktach	111
Uwaga autora do czytelnika	171
MARJA STUART, dramat historyczny w pięciu aktach ..	175
Przedmowa autora do pierwszego wydania w roku 1833, tomu trzeciego poezji	249
LAMBRO, powstańca grecki. Powieść poetyczna	251
Przypisy do poematu Lambro	299
 POEZJE ULOTNE:	
Hymn	303
Kulig	304
Pieśń legionu litewskiego	308
Duma o Wacławie Rzewuskim	310
Paryż	314
Godzina myśli	317

POWIEŚCI
POETYCZNE.

For thee, who thus in too protracted song
Hast soothed thine idleness with inglorious lays,
Soon shall thy voice be lost amid the throng
Of louder minstrels in these later days :
To such resign the strife for fading bays —
Ill may such contest now the spirit move
Which heeds nor keen reproach nor partial praise ;
Since cold each kinder heart that might approve,
And none are left to please when none are left to love.

BYRON.

ŻMIJA.
ROMANS POETYCZNY
Z PODAŃ UKRAIŃSKICH,
W SZEŚCIU PIEŚNIACH.

PIEŚŃ I.

S. U M A K.

Piękny to widok Czertomeliku!
Sto wysp przerznięły Dniepru strumienie,
Brzoza się kąpie w każdym strumyku,
Słychać szum trzciny, słowika pienie.
A kiedy wiosną wezbrane wody
Zaleją wszystkie wyspy do koła,
~~Jeszcze nad wodą widać drzew czoła —~~
~~Jakby rusałek cudne ogrody,~~
Gałązką mącą wodne błękity.
I jeszcze słowik w gałązkach śpiewa,
I szumią brzozy, lecz nad ich szczyty
Wznosi się fala i nikną drzewa.
Dziko Dniepr szumi, gdy w jego łonie
Sto wysp zielonych wiosną zatonie.

Piękny to widok stu wysep pana!
Woda mu ziemię z pod stóp wykradła:
Zamek się patrzy w fali zwierciadła,
Co mu przy sotpach szumi wezbrana.

A gdy nań patrzysz, dziwnym pozorem
 Rzekłbyś, że zamek wstecz rzeki płynie.
 Cegła koralów świeci kolorem,
 Lekkie filary podobne trzcinie.
 Kilka ogromnych paszcz samostrzału
 Patrzy strzelnicą na czarne morze:
 A górą zamku okna z kryształu,
 Świecą się, palą, jak ranne zorze;
 I tysiąc barwy w każdym promyku,
 Co się z tych okien nazad odkradnie.
 W zamku Pan mieszka Czertomeliku,
 Dumny Ataman, co Siczą władnie.
 Lecz czy sam mieszka? Któż to odgadnie?
 Nikt nie był w zamku; mówią że czary
 Mieszkają w gmachu, że dłoń zaklęta
 Nadludzką sztuką wzniosła filary.
 Lecz kiedy wzniosła? Nikt nie pamięta. —

Nie jeden rybak wieczorną dobą,
 W Czertomeliku płynąc ostrowy;
 Słyszał przed sobą, słyszał za sobą,
 Śpiew słodszy, miłszy, niż szum dniewowy.
 A rybak milczał, płynął pomału,
 Kiedy wieczorne zorze zapadły;
 Widział jak w zamku okna z kryształu
 To się paliły, to znowu bladły;
 A z okien blaskiem konały pieśni.
 Znów cicho — głucho — a rybak stary
 Żegnał się drżący — to czary — czary!
 Wszak rybak czuwa? Wszak rybak nie śni?!

Już to noc trzecia, gdy gasną zorze,
 Błyska na zamku ogień jaskrawy —
 Ho! to kaganiec, to znak wyprawy:
 Popłyną czajki na czarne morze.
 Kozaków obóz zalega brzegi,
 Pośród czaharów spisa połyska;
 A ponad Dnieprem w długie szeregi,
 Gęsto strażnicze płoną ogniska.

Tam na mogiłę wstąpił wysoką
 Geślarz i śpiewa pieśni z mogiły —
 Jeżeli w tych grobach nie śpią głęboko,
 Może ich dzikie pieśni zbudziły?
 O śpijcie! śpijcie! Przeszła wam pora,
 I wyście żyli — tu w Ukrainie,
 I wyście żyli — to było wczora! —
 My dziś żyjemy, czas szybko płynie.
 Pocóż tu wracać z licem upiora,
 Gdzie nikt nie chodzi po nas w żałobie?
 Jutro na naszym powiedzą grobie:
 I wyście żyli! To było wczora.

Płynmy więc! płynmy w Natolskie grody,
 Burzyć pałace, rąbać fontanny —
 Żelazem niszczyć Turków narody,
 I porwać obraz Najświętszej Panny,
 Obraz, co płacze rzewnymi łzami;
 A gdy go człowiek w fali zanurzy,
 Morze gniewliwie bije falami,
 Pieni się, huczy, pryska i burzy —
 I póty gniewne podnosi tonie,
 Aż wrogów statki w falach pochłonie.

Lecz gdzież jest Hetman? W rannej godzinie
 Wyszedł i w stepach błądzi od rana.
 Oto przy brzegu czajka hetmana,
 Powiewnym żaglem bieli się w trzcinie,
 I w koło gwarzy zgraja zebrana:
 Wszak nam na drogę brak na zwierzynie;
 Idźmy na łowy! idźmy na łowy!
 Lecz gdzie nasz Żmija, hetman Niżowy?

Ty śpisz, sumaku! Ty śpisz, sumaku!
 Między błyszczące rosą czahray;
 A tutaj strzelce w stepach Budziaku,
 Otoczą wkrótce knieje i jary.
 Sumak nie słyszy! sumak nie słyszy!
 Bo milcząc strzelce idą na łowy.

I coraz ciszej,
 Między parowy,
 Pomiędzy trawy,
 Toną i toną;
 A zorze płoną,
 I świt jaskrawy
 Pozłaca niebo na wschodzie.

O, jakże miło przy rannym chłodzie
 Tak się zapuszczać w stepowe knieje!
 Jak tajemnicza ta chwila nocy,
 Kiedy noc kona, księżyc blednieje —
 Już dzień na wschodzie, a na północy
 Jeszcze lśnią gwiazdy, jeszcze lśnią jasno,
 I wschód się złoci, blednie, czerwieni —

Niebo się mieni;
 Gwiazdy w lazurze
 Już gasną, gasną;
 I polne róże
 Powstają z rosy perlami. —

I cicho łowce szli manowcami.
 Trzymaj myśliwce ptaka na dłoni,
 Zakryj mu oczy złotym kapturem;
 Niech nastrzępionem nie szumi piórem,
 Niech się nie trzępie, w dzwonki nie dzwoni;
 Zdejmiesz mu kaptur, gdy w nasze siła
 Zwierz się dostanie, wtenczas posłuszny.

Sokoł się chmurzy,
 I ociemniony

Nastrzępił skrzydła,
Wyciągnął szpony,
Ponury, piersi napuszył.

Tam szelest jakiś! Czy to zwierz ruszył?
To nadto wcześnie! to nadto skoro!
O! nie, to lekki chart tam na smyczy,
Niechętny więzom, piszczy, skowyczy —
Skarć łowcze charta ręką i sforą.
Pierwej wysledzić sumaka tropy,
Potem go gończe podniosą głosem,
A potem charty. — I chart karcony
Przypadł do stopy;
Okryty wrzosem,
Kwiatem zroszony,
Ciągnie się smutny na sforze.

Wysłać strzelców na rozdroże,
Gdzie się kończy ta dolina;
Tam Kozacy wielkim kołem
Stójcie cicho — a drużyna
Niech tam idzie drogą, dołem,
Niechaj tonie w trawy, zioła — —
W tej dolinie sumak leży.
Gdy starszy strzelec zawoła,
Niech służba w trąby uderzy.

Dane rozkazy, i dzikie jary
Otoczył Kozak, tonie w czahary.
W krzakach się kryją ponure czoła,
I cicho, jakby ludzi nie było!
Jakby się tylko o łowach śniło!
Wiatr wieje w kniei i szumią zioła —
Zniknęły zbroje, łuki, oszczepy;
Świat płonie ogniem umalowany,
I słońce wstaje nad martwe stepy.
Oblane złotem świtu burzany,

Ognistej barwy kwiatem się palą,
 I gną się z wiatrem: fala za falą
 Przebiega stepy milczące.

Cicho — — Wtem trąby zagrały grzmiące,
 I zagrzmiął razem pod niebo wzbity,
 Z brzękiem surm, kotłów, okrzyk wesoły;
 I uwolnione z więzów sokoły
 Szybko w powietrza lecą błękity,
 Krążą i kraczą, dzwonkami dzwonią,
 I psy spuszczone jęczą i gonią.
 Czekają łowce: wśród strasznej wrzawy
 Patrzą na niwy złożone świtem,

I oto śmiga,
 Sumak zbudzony;
 Ledwo kopytem
 Dotyka trawy,
 Charty wyściga,
 I przez zagony
 Przed szybką smyczą,
 Sadzi przez doły:
 Gończe skowyczą,
 Kraczą sokoły.

I jeden sokoł już zleciał nisko,
 Siadł mu na grzbiecie, szpony zatopił.
 Chart wiatronogi za zwierzem tropił,
 Już go dościgał — już blisko — blisko —
 A sumak leci, bojaźnią ślepy,
 Leci w zasadzkę — wpadł na oszczepy.
 Drgnął tylko — upadł — a tłum wesoły
 Znów w trąby dzwoni, znów w kotły bije,
 Żeby wystraszyć co tylko żyje
 Pomiędzy trawy. — Lecą sokoły,
 Krążą i kraczą, dzwonkami dzwonią,
 Ogary znowu jęczą i gonią.
 Czekają łowce — — Wśród kwiatów fali
 Znów coś mignęło? — To sumak nowy? —

O nie! To Tatar miga od stali,
 Jak wiatr stepowy,
 Jak wąż, piersiami
 Trawy rozcina,
 Między kwiatami
 Złotem połyska,
 I łuk napina,
 I strzały ciska,
 I rohatyny kolczate miota.

Dziwi Kozaków ta zbroja złota,
 Musi to jakiś być wódz Tatarów? —
 Puścić ogary! — Jeden z ogarów
 Już go dościga — ha! zobaczycie!
 Ogar to stary, dobrze się sprawi,
 Wskoczy na piersi — i w strasznej męce
 Wydrze mu życie,
 Zgniecie, zadławi. —
 Już go doścignął — rzecz niespodziana!
 Skacze na piersi, liże mu ręce,
 U stóp się kładzie — wyje, skowyczy:
 Wszak to jest ogar — ogar hetmana!
 Pierwszy z ogarów! tak sławny w sicity!
 Nieraz Tatara wytropił w jarze,
 A dzisiaj znalazł pana w Tatarze.

Wróciła nazad psiarnia zagnana,
 A Tatar leci i trawy łamie.
 Patrzcie! — i sokół siadł mu na ramię —
 O dziwy! dziwy! sokół hetmana!
 Siadł na ramieniu, nastrzępia pióra,
 Zda się że skrzydłem nagli go w biegu.

W łowców szeregu
 Okrzyk do koła;
 Strzał lekkich chmura
 Ściga Tatara!

I jedna w piersi trafia ogara,
 Druga pod skrzydło trafia sokoła,

Trzesia Tatara w czoło drasnęła.
 Czy krew płynęła? — czy łza płynęła?
 Nie można wiedzieć — stanął — zakrywa —
 Oczy zalane czy krwią, czy łzami.
 Z piersi ogara obróć zrywa,
 Z szyi sokoła pierścień z dzwonkami.
 I znów przez stepy,
 Wprost na oszczepy,
 Leci w zasiane wrogiem parowy.
 Tam go wstrzymają? — Nie, nie wstrzymali!
 Daleko zdraadne prześcignął łowy,
 I zniknął w burzanów fali. —

Nie — to nie było senne widziadło;
 Bo tam, gdzie przebiegł, pośród wądołów
 Bez życia sześciu Kozaków padło,
 I sześć ogarów — i sześć sokołów.

PIEŚŃ II.

P Ł A C Z K A.

Z tententem konia leci przez wrzosa:
 To pan nasz, Żmija, hetman na Niżu.
 Bielą się wzbite tumany rosy,
 Z pod kopyt konia spłoszone wrony
 Stadem się wzbili, siadły na krzyżu.
 W burzanie miga kołpak czerwony,
 Stalowa zbroja miga w burzanie:
 — «Witaj Hetmanie! witaj Hetmanie!» —

— «Zdrowia drużyno — co słyszać w Siczy?
 Czy szumią żagle — czajka gotowa?
 Czy nam złą wróżbę wrona nie krzyczy?
 Czy zawsze nasza fala dniewowa,

Tak jak płynęła, płynie do morza?
 Ha! tak? to dobrze. — Nim błysnie zorza,
 Być w pogotowiu. — Teraz niech czara
 Zaszumi miodem — pieśń grzmi wesoła. —
 Lecz gdzie mój ogar? Puścić ogara!
 Gdzie jest mój sokół? — Puścić sokoła.»

Stróż psów hetmańskich, ptasznik hetmana,
 Dzieci nieletnie, wyszli z drużyny;
 Pobladli oba uczuciem winy,
 I wyczytali gniew w oczach pana.
 Potem rzekł starszy: «Nieszczęsne łowy!
 Na nasze łowy ktoś rzucił czary.
 Gdzie niegdyś leżał sumak stepowy,
 Dzisiaj okryte zbroją Tatary,
 Trudzili charty i skrzydła ptaków.
 Od strzał kozackich sześciu Kozaków
 Pośród stepowych padło wadołów.
 I sześć ogarów — i sześć sokołów.
 Tatar ci zabił psa i sokoła.»
 — «Kłamstwo! to kłamstwo!» — hetman zawoła,
 «Gdy w polach jęczą wasze cięciwy,
 Smycz moja pada, a Tatar żywy? —
 Umiem wybadać prawdę za mgłami
 Uwitą w słowa krzywoprzysiężne.
 Znacie tę obróż? Pierścień z dzwoneczkami?
 Śmiercią wam biją dzwonki mosiężne.»
 Snać że obróżę charta poznali,
 Pieśń śmierci w głosie dzwoneczków odgadli:
 Oba zadrżeli, oba pobladli,
 Łza im błękitne oczy krysztali.

— «Parę kłamliwą, co razem wzrosła»,
 Rzek srogo Śmija, «polecić Bogu,
 Wsadzić do czajki, w czajce bez wiosła,
 Niech z Dnieprowego spływają progę.» —

Już odszedł hetman. — Powstały gwary:
 Zkądże wie Żmija o naszych łowach?

Czy mu przynieśli pierścień Tatary?
 Czy gdzie ukryty sam był w parowach? —
 W różnych domysłach zabrzmiały struny.
 Jako żurawi nuta wędrowną,
 Pieśń przez srebrzyste płynie piołuny,
 Mięsza się z echem — dzika, czarowna,
 Bo kiedyż Kozak o czarach nie śni?
 Może domysły rozkwitną z pieśni? —

POWIEŚĆ KOZACKA.

RUSAŁKA.

Nad mogiłą w mgłach wysoko:
 Krąży sokół, siadł na krzyżu.
 Pod tym grobem śpi głęboko,
 Niegdyś Hetman, pan na Niżu.

Jeszcze sława Zaporoża,
 Jako miesiąc blady, nowy,
 Nie przebyła w czajkach morza,
 Nie wzleciała nad ostrowy.

Na ostrowach rosły głogi,
 I samotna róża bladła.
 Zapienione skalne progi
 Mgliły błękit wód zwierciadła.

Przy Rusałce, wysp Hetmana
 Widać było w blask miesiąca.
 Jego luba z mgły uwiana,
 Z mgły dniewowej, zimna, drżąca.

Choć mroziła mglistą dłonią,
 Zapalała czarnem okiem —
 «Luby! — rzekła — tam się płonią
 Polne róże nad potokiem.

« Dzwonki barwą lśnią błękitną:
 Uschną dzwonki na pokosach,
 Lecz z różami, gdy przekwitną,
 Rozkwitają w moich włosach.

« Duchem zmarłych na tym świecie
 Żyję, kwitnę jak mogiła.
 Cóż po łąkach? Cóż po świecie?
 Niechaj uschną — bym ja żyła — »

— » Czarna duszo! precz odemnie,
 Już miłości nie ocucę. » —
 — « Wyrzekasz się? Lecz daremnie!
 Znów zawołasz, znów powrócę. » —

Rusalka się w mgle rozplywa.
 Nocą błądy miesiąc świeci,
 I po łodziach lśnią łuczywa,
 I do Dniepru toną sieci —

Hetman smutny i ponury!
 Płynie zwolna łódź Hetmana.
 Przed nią postać z mglistej chmury,
 Płomieniami malowana.

Taka piękna, po nad falą,
 Gdy się o nią blask roztrąca:
 Wpół się ogniem lica palą,
 W pół się srebrzą w blask miesiąca.

W zachwyceniu, nieprzytomnie,
 Choć to może duszy zguba
 Hetman woła: Chodź tu do mnie!
 Chodź tu do mnie, moja luba! » —

Odtąd zawsze, zawsze razem.
 Hetman w więzy lgnął widziadła,
 Choć jej dusza zimnym głazem,
 Na twarz różne barwy kładła.

Zawsze piękna — z polnych głogów
 Róże, złote włosy wieńczą —
 I kradzioną z nad porogów,
 Mgliste szaty złoci tęczę.

Gdzie zarastał gaj odludny,
 Jednem słowem — jednym rankiem,
 Wzniosła z wyspy zamek cudny,
 I obwiodła złotym gankiem —

Z koralowej zamek cegły.
 Wieża druga, trzecia, czwarta,
 Na skinienie w niebo biegły:
 Lud go nazwał zamkiem czarta.¹

W zamku, jak kładzione kosą,
 Powiązała róż szkarłaty:
 Brylantami jakby rosą,
 Poiskrzyła jasne kwiaty.

Hetman patrzył na kobierce,
 Okiem blask brylantów ścigał:
 Ciągłe patrzył — stygło serce;
 Dla Rusałki już ostygła. —

Ta choć zimna pod obłokiem,
 Zimne serce wnet odgadła;
 Szybko, szybko czarnem okiem
 Brylantowe blaski kradła.

¹ Czertomelik.

Kwiaty brała do warkoczy.
 Hetman spojrział, wzrokiem tonął,
 Nad brylanty skrzę jej oczy!
 I znów kochał — i znów płonał. —

— «Luba! ty masz blask anioła — »
 — «Więc mi nagródź, jeźlim warta?
 Daj sokoła — daj mi charta,
 Zabij charta i sokoła.» —

— «Czarna duszo — precz odemnie!
 Sercem się z szatanem kłóć.» —
 — «Znów zawołasz? Lecz daremnie!
 Przyjdiesz do mnie — ja nie wrócę — »

Odplynęła. — Hetman kroczy
 Zamyślony po komnatach. —
 «Co! nie wróci? — A jej oczy
 Takie cudne, włosy w kwiatach — »

Myślał. — Z oczu łyzy ogromne,
 Po niemęskiej płyną twarzy.
 Rzekł do siebie. — «Już nie wspomnę!»
 Nie wspomina, ale marzy. —

»Nad zamglone chmur błękity,
 Oto miesiąc już się płoni;
 Już mój sokół, chart zabity,
 A jej nie ma? — Pójdę do niej — »

Jakże miłe tchnienie wiosny,
 I woń fali świeża, chłodna?
 Nad progiem czarne sosny
 Szronem bieli mgła nadwodna.

Pod skałami ciągle burze,
 Łamią w falach blask księżycy;
 Nad falami w mglistej chmurze,
 W blasku srebrnych tęcz dziewica.

Przy jej stopach chart bladawy,
 Niespokojny i ponury;
 Na ramieniu sokół mgławcy,
 Nastrzępiony, patrzy w chmury.

— «Jakżeś piękna! — hetman woła —
 «Któż ci może ujść bezkarny?
 Chodź tu luba — spłosz sokoła,
 Chart niech leci gonić sarny.

«Tu pod moich ust płomieniem,
 Twe się blade mgły rozploną.
 Jak tu miło — pod sosn cieniem!»
 Prosi — błaga — okiem — dłonią.

Lecz dłoń jego, ciężka winą!
 Czy przypadkiem, czy po myśli,
 Na krzyż srebrną mgłę rozcina,
 Znak zbawienia święty kreśli:

Przed krzyżem się mgły rozpierzchły,
 Jak złamane wód błękity;
 I Rusalki rysy zmierzchły,
 Obraz zniknął w mgłach rozbity — —

Znikła — słyhać tylko burze
 W głębi Dniepru — i szum piasków;
 Lecz mgła spływa, spływa w chmurze
 Zabłąkanych kilka blasków.

I rozbite mgły zwierciadła,
 Wiatr przybliża, zmniejsza, zmniejsza —
 Lśni Rusalka, lecz pobladła,
 I pobladła — i smutniejsza —

Potem rzekła: « Mój miły!
 Żegnam ciebie, ginę — ginę,
 Jak mnie z wiatrem mgły rozbiły,
 Tak w uściskach się rozplynę.

« Prosisz, błagasz nadaremno,
 Próżno czekasz na tej skale.
 Lecz chodź ze mną! lecz chodź ze mną!
 Droga do mnie przez te fale.

« Mgły tu zimne, ale jasne;
 Gdy i ciebie mgła okryje,
 Patrz, mój luby — teraz gasnę,
 W twoich uściskach znów ożyję.

« Sokół żywy, chart twój żywy.
 Z tobą razem jak z sokołem,
 Pójdę błdzić nad te niwy,
 Nad dymiących chat padołem!

« Pójdę z tobą — tak w mgłę ciemną
 Osłonią, jak w kryształ.
 O chodź ze mną! O chodź ze mną!
 Droga do mnie przez te fale.»

Hetman kochał — obłąkany,
 Hetman kochał — ogniem płonął;
 Z progu spojrział w Dniepru piany,
 Padł do fali — i zatonął.

Gdy go skryły burz odmęty,
 Potrzaskały w proch granity;
 Duszę zbawił obraz święty:
 Krzyż na piersiach miał wyrity.

Od grzechowej zmazy czysty,
Już ulata w nieba stropy;
Za nim wzleciał sokół mglisty,
Chart Rusalki rzucił stopy.

A Rusalka nad ostrowy
Sama jedna — we łzach woła:
Kiedyż! kiedyż Hetman nowy
Da mi serce, psa, sokoła? —

Pieśń kona z echem — i wnet jałowe,
Dzikie domysły urosły w gminie:
Więc hetman kocha fali królowę?
Na oślepi leci w przepaść i ginie?
Zawsze samotny — zawsze nie z nami;
Gdzieś na smętarzach, nad mogiłami.

Ciszej! — tam zachód krwawy, ponury,
Ozłocił stepy, jary i chmury:
Zagasa słońce — słyhać jak z dala
O brzegi bije spieniona fala.
Ciszej! — tu smutne mogił wybrzeże.
Oto ostatnie zachodu blaski
Złocą wichrami burzone piaski;
Złocą trzech cerkwi posępne wieże,
Co nad brzeg Dniepru wybiegły stromy,
I tysiąc grobów, gdzie przez wyłomy
Posępne trumien wieka świeciły.
O, dzika Siczy! twoje mogiły
Z piasku uwiane, a grób tak kruchy,
Gdy pod przechodnia zapadnie nogą:
Potem w mgłach srebrnych płynące duchy
Wczorajszych mogił znaleźć nie mogą.

Tam białą postać słońce oświeca.
 Łatwo z wybladłej odgadnąć twarzy,
 Że to posępna mogił dziewczica,
 Że to siczowych płaczka wyspiarzy.
 Stała na wieku spróchniałej truny,
 A wiatr jej czarne unosił włosy,
 I wzruszał wianku srebrne piołuny,
 I róże wianku, lśniące od rosy.
 Mówią, że niegdyś płaczka ta miała
 Czoło wesole, lica różane;
 Lecz przymuszona płakać, płakała —
 I dzisiaj zmąsły ma oblakane
 Zmyślonym płaczem i we łzach oczy.

To hetman Żmija na smętarz kroczy.
 Staął na grobie, rzekł: «Witaj Xeni!
 Witaj o sławna płaczko pogrzebu!
 Ty nas modlitwą polecasz niebu —
 Przez ciebie pieśnią w grobie uśpieni,
 Sen mamy cichy, gdy zbroja rdzawa
 Zimną się rosą ziemi napawa.
 Straciłem dzisiaj ptaka i charta,
 Wierni mi byli — i tem boleśniej;
 Jeżeli zgraja twych pieśni warta,
 Chart mój i sokół wart także pieśni!
 Śpiewaj nad niemi.» — «Błuźnisz, mój miły!
 A ja do takich prośb się nie zniżę.
 Czujesz to zimne tchnienie mogiły?
 Słyszysz! jak skrzypią spróchniałe krzyże?
 Jak z dzikim wrzaskiem rybitwa biała
 Po nad błękitną falą się wiesza?
 Pieśń moja smutna — gdybym śpiewała,
 Wszystkie te dzikie głosy pomiesza.
 Ciszej — !» Lecz Hetman nie słuchał mowy,
 Wzrok miał ponury. — Pomiędzy trzciny
 Łśni Dniepru fala i próg dniewprowy.
 Wśród skał posępnych fale się zwarły,
 Na skałach dzikie rosły kaliny,

I mech czerwony i sosny karły.
 Na progi czajka z falami leci,
 I już zawisła po nad urwiska,
 A w czajce dwoje płynęło dzieci;
 Łódka z pianami w głazy się wciska,
 A pod nią otchłań pieni się, burzy —
 Te dzieci połkną dniewprowe fale!
 Młodsze chwyciło za kwiecie róży,
 Co się po nagiej zwieszała skale;
 I padło w przepaść z gałązką kwiatu.
 Starsze po sosnach pnie się na głazy,
 Napróżno ręce podaje bratu,
 Słyszy huk fali i obłąkane,
 Mając na ustach modlitw wyrazy,
 Rzuca się w krzykiem w przepaść i pianę. —

I nic nie wyszło z fal tajemnicy,
 Nic z głębokiego serca Hetmana.
 Dłoń swoją oddał w ręce dziewicy:
 Ta zachmurzona i pomieszana,
 Wiodła go w cerkiew. W cerkwi tak ciemno,
 Posrebrza szyby księżyc na nowiu;
 Serce przenika trwogą tajemną,
 Szyba brzęcząca w ramach z ołowiu;
 I przez otwarte dachu szczeliny
 Wglądały z kwiatem drżące kaliny.
 «Xeni!» rzekł Hetman, «co to się znaczy?
 Słyszę jęk smutny i płacze rzewne:
 Czy to jest nocne pienie puhaczy?
 Czy ty chorągwie wzruszasz cerkiewne,
 Że się bez wiatru smutnie kołyszą?»

— «Luby! chorągwie spokojnie wiszą,
 Może je wzrusza tchnienie mogiły.
 Czego się lękasz — czego? mój miły!
 Chodź za mną.» Zdjęła lampę z ołtarza:
 Weszli w podziemnych lochów zakręty.
 O! jak tu głucha cisza przeraża,

Tu połamane Turków okręty;
 W spróchniałych deskach, w zbroje przybrani,
 Leżą do koła śpiący hetmani.
 A jako kazał obyczaj grecki:
 Każdy miał w ręku święte obrazy,
 Na nich tajemne modlitw wyrazy —
 Usta przymknięte, w nich piasr turecki.
 Xeni do małej zbliża się truny;
 I strasznie drżała ręka dziewicy,
 Gdy podnosiła czarne całuny,
 Splamione gęsto łzami gromnicy.
 O, nieba! dziecię pod całunami,
 Piękne i żywe. — Xeni pobladła,
 I przed hetmanem zalana łzami,
 Klasnęła w dłonie — do nóg upadła.
 «Mój luby», rzekła, «to dziecię — dziecię!
 Teraz się w ciemnych grobach ukrywa.
 Luby! niech pop nas połączy skrycie,
 Pop moim ojcem. — Ja nieszczęśliwa!
 Łzy moje płyną na wzgardę świata.
 Gdy plotę z polnej róży zawoje,
 Wnet drżące liście padają z kwiatu.
 Wszystko usycha, wszystko — co moje!
 Świat mi szyderczym śmiechem przygania.
 Zlituj się, luby —!» Lecz próżne słowa.
 Już wyszedł hetman — śmiech obląkania
 Połknęła w ziemi cisza grobowa.

PIEŚŃ III.

P O Ż A R Y .

PIEŚŃ ODPLYWAJĄCYCH.

I.

« Ho! daleko Czarne morze,
 Gdzie się czajki kąpią w pianach;
 Palmy zamki na Bosforze,
 Jako trzciny na limanach.
 Piękny to pożar łąk, oczeretów,
 Lecz jakże płonie wspaniale
 Wielki las masztów, las minaretów!
 Szumcie czajki! szumcie fale!
 Ho! Kozak panem
 Błękitnej fali.
 Urra ho! dalej! — urra ho! dalej! —
 Z naszym hetmanem
 Urra ho! dalej! —

II.

« Nasza czajka szybka, zwrotna,
 Choć nie błyszczy w malowidłach;
 Jak jaskółka, czarna, lotna,
 Na sitowia leci skrzydłach;
 Pięćdziesiąt wiosł w biegu ją nagli:
 Dla Turków niesie podarek,
 Dwa dział ze śpiżu i sto janczarek;
 Z szumem wiosł — z szumem żagli.
 Ho! Kozak panem

i t. d.

III.

«Lećcie z nami morskie wrony;
 Gdzie południa świeci gwiazda:
 Lećcie z nami — wam na gniazda
 Damy turban zakrwawiony.
 Za nami wrony! za czajek śladem!
 Dla was co pożar ocali;
 Łachmany żagłów, zaszumcie stadem,
 Z szumem wiosła — z szumem fali.
 Ho! Kozak panem

i t. d.

IV.

«Jak wesoło czajki płyną:
 Piękny widok przy pogodzie,
 Gdy chorągwie się rozwina,
 Gdy obwieją nasze łodzie —
 Mijamy smętarz, nasze mogiły,
 A tam nas żaden nie słyszy?
 Sen ich szanujmy — sen słodki, miły,
 Żagla ciszej! wiosła ciszej!
 Ho! Kozak panem

i t. d.

V.

«Zmarłych uśpi blask miesiąca,
 I szum brzozy, pieśń ołtarzy;
 Równie smutna, dzika, drżąca,
 Jak zbłąkanych pieśń wiosłarzy —
 Chaty, mogiły, znikają nagle.
 Zaszumcie! zaszumcie wiosła!
 Bodaj nas do nich fala odniosła.
 Szumcie czajki — szumcie żagle.
 Ho! Kozak panem

i t. d.

VI.

«Pieśń dziś smutna, czajka pusta,
 Lecz powrócą pełne łodzie.
 Tym, co zginą, włożym w usta
 Piastr wybity w Carogrodzie.
 Pacierze za nich, a potem wina,
 Wina w Weneckim kryształe:
 Za pamięć druhów pije drużyna.
 Szumcie czajki, szumcie fale.
 Ho! Kozak panem
 Błękitnej fali —
 Urra ho! dalej! Urra ho! dalej!
 Z naszym Hetmanem
 Urra ho! dalej!» —

Tak dziką pieśnią, przy wiosł pracy,
 Chaty żegnali — a przed chatami
 Na brzegu stali tłumem rybacy,
 Starce siczowi, zalani łzami.
 Jeszcze niekiedy nuta wędrowna
 Od zabłąkanych powraca czajek —
 O! pieśni dzika, pieśni czarowna,
 Zmieszana z dźwiękiem wiosł i grajek,
 Upływaj z echem, jak upłynęła
 Młodość — — Tak rybak marzy i wzdycha;
 Wrócił ponury, milczał — sieć cicha
 W błękitne fale Dniepru tonęła. —

Niech wolniej pieśń płynie, na moim torbanie
 Strun braknie. — Któż wyda kozackie pożogi?
 Huk ognia, trzask domów, co lecą w otchłanie! —
 Rwę struny torbanu i ręka drży z trwogi.
 Śpiewając, sam jestem jak Turek wyblady,
 Choć widzę ogniska płonące po chatach!
 Zatrważa mię każdy liść z drzewa opadły,
 I szelest sumaka, co śmiga po kwiatkach —

Jak ciche, błękitne przystanie Synopy!
 W około na palach podnosi się szaniec,
 A fala błękitna konała u stopy
 Latarni portowej, gdzie w nocy kaganiec
 Oświecał dalekie błękitu odmęty.
 Dla kupca, dla majtka, to widok jedyny,
 Te mnogie przy groblach uśpione okręty,
 Gdzie siatkom podobne krzyżują się liny,
 I bielą się żagle — ze strzelnic galery
 Wygląda blask spiżu, gdzie drzemie grom bitwy;
 Na masztach różnego koloru bandery,
 Tak lekkie, krajane, jak skrzydła rybitwy.
 Gdy niebo i morze nie łączą się mgłami,
 Ciekawe wejrzenie z wież puszcza się szczytu,
 I ściga okręty z białemi żaglami,
 Co zdają się płynąć do nieba błękitu.

Dziś tłumem się grobla napelnia portowa,
 I fala spieniona od huku zadrżała.
 Poznali huk Turcy — to mnogie grzmiały działa:
 «Lecz w której to stronie? — Od stron Oczakowa.
 To może znać dają galery Sułtana,
 Ażeby strzedz portów od hord Zaporozża.
 Ha! cóż nam te czajki? Nam trwoga nieznana,
 Sam huk je dział naszych zatopi do morza.»
 Tak Turcy mówili. — Lecz kiedy po fali
 Noc ciemna posępne rozciąga całuny,
 Na czarnych niebiosach błysnęły dwie łuny —
 To płonie Białogród — Trebizont się pali.
 Noc była ponura, a łuna szeroka
 Pozłaca księżycę i szczyt minaretów.
 Otwarto żelazne podwoje meczetów,
 Przy lampach lud wzywa modlitwą Proroka;
 A potem ufając w przeznaczeń wyroki,
 Skończywszy modlitwy, lud wrócił do domów.
 I wszystkich w haremach sen ujął głęboki:
 Obudzą się może wśród ognia i gromów. —

Gdy Ulem meczetu zamykał podwoje,
 Nie postrzegł zapewne, lampami olśniony,
 Że Turek posępny, ubrany we zbroje,
 Stał między filary jak gdyby uśpiony,
 I ani się ocknął — choć słyszał ponury
 Jęk rdzawych zawiasów i ryglów łaskoty,
 I widział po ścianach, jak łuny blask złoty
 Oświecał żyłami krwawione marmury.

W haremie nie widać że niebo się pali,
 Bo mury wysokie, krzew gęsty i drzewa.
 Dziewice w złocistej zebrały się sali,
 Gdzie płoną pochodnie, róż technienie przewiewa.
 Jak szczere tam śmiechy, jak miłe zabawy!
 Bo Basza daleko — na czterech fregatach,
 Na czarne gdzieś morze przedsięwziął wyprawę.
 Eunuchy w odległych usnęli komnatach.

Dziewice obsiadły sadzawki, gdzie z głazu
 Tryskają fontanny, lamp ogniem iskrzone;
 Z westchnieniem widomem przez gazy zasłone,
 Słuchają miłośnych gazalów Szirazu.
 Ta żądzy tajemnej kraszona rumieńcem,
 Choć przyszłość zna swoją — a jednak ciekawa,
 Dziecinnie się śmieje, gdy w dłoni jej trawa
 Węzłami spojona, rozwija się wieńcem.
 Ta smutna, kwiat róży po listku obrywa —
 Liść każdy opadły ma tajne znaczenie,
 Ostatni liść róży jej przyszłość odkrywa:
 Zerwała ostatni i słyhać westchnienie —
 I długo dumiała nad kwiatem opadłym,
 Ze łzami na twarzy i z czołem pobladłym.
 Ta kwiaty obrywa, ta patrzy jak kwitną:
 Ta chroniąc płeć dłoni od wiosny upału,
 Podrzuca na dłoni dwie kule z kryształu,
 Lub płoszy wachlarzem mgłę kadzidl błękitną.

Zulema szukając zaciszy i chłodu,
 Usiadła samotna na złotem wezgłowi;

I okno otwarła na kwiaty ogrodu.
 Noc była tak ciemna — bo księżyc na nowiu
 Cieniami pokrywał fontanny i drzewa;
 I tylko przez okna barwione i kraty
 Od sali się światło złociste wylewa,
 Na drżące pod oknem z kwiatami granaty.
 Na niebo zamglone patrzyła dziewczica,
 A myśl jej igrała z ciemnością i mgłami.
 Czy sen to? — Przy blasku niepewnym księżycy
 Widziała minaret pomiędzy drzewami:
 Na szczycie z ołowiu, jak światło poranku,
 Mignęły płomienie, niepewne jak zorze!
 Ukazał się rycerz na wieży krużganku,
 W turbanie na głowie, w tureckim ubiorze.
 Spojrzała dziewczica, westchnęła boleśnie,
 I oczy odwraca, zapomnieć by chciała,
 Bo tego rycerza widziała gdzieś we śnie.
 Znów patrzy — o nieba! tatarska to strzała
 Puszczona pod chmury ze skrzydłem płomiennem,
 Wróciła na wieżę i zgasła na szczycie.
 To może w jej oku zroszonym i sennem
 Łśni gwiazda przelotna po niebios błękiecie?

Lecz zkądże się nagle szczyt nieba rumieni?
 W około płomienne rozlały się blaski,
 I słychać z daleka trzask głuchy promieni,
 I słychać jęk ludu, gwar dziki i wrzaski,
 I straszny szcęk broni i grzmienie janczarek.
 Na wieży krużganku znów nowe zjawiska,
 Od króla polskiego kosztowny podarek,
 Złożona chorągiew hetmańska połyska.
 Gdy miasto w płomieni okryło się wianku —
 Chorągiew dla Turków to całun grobowy;
 A przy niej stał Kozak na wieży krużganku,
 Żelazem błyszczący od stóp aż do głowy.

W światłości czerwonej haremu ogrody,
 Odkryły się kręte gaików zarysy,

I ciche kanałów złościły się wody:
 Po wodach cień smutne rzucały cyprysy.
 Fontanny jak ze snu zbudzone pożarem,
 Tryskają pod niebo złotemi słupami — —
 Wieść straszna, wieść śmierci, przebiega przez harem.
 Rzezańce wzruszeni rozpaczą i łzami,
 Prowadzą dziewice po jasnym ogrodzie,
 Nad kanał, w około drzewami zarosły —
 Tam róże haremu usiadły na łodzie,
 A wiosła je szybko od brzegu odniosły.

Czy mamże powiadać, jak czajka w haremy
 Przez kraty skruszone na kanał wybiegła?
 I krzyki żon Baszy — i radość Zulemy,
 Gdy z wieży rycerza przed sobą spostrzegła?
 Ta postać, wpół żaglem na czajce owiana,
 Znajoma Zulemie — — Nie zdradzę tu w pieniach
 Tajemnic ukrytych w nieśmiałych westchnieniach,
 I w oczach Zulemy i w oczach Hetmana.

«Skorzej żeglarze! skorzej! Czas nagli,
 Księżyce jaśniejszy i dłuższa zorza.
 Może nam wicher uciec z pod żagli,
 Może nas cisza przykuć do morza;
 A ciężko będzie po martwej fali,
 Tłuc się wiosłami i bladnąć z głodu!

«Cóż to za gwiazda we mgłę się pali?
 Ho! to latarnia z wież Carogrodu.
 Dalej za światłem! dalej! i dalej!
 Jak trzech magowie za gwiazdą wschodu,
 Jak trzech magowie za gwiazdy lotem,
 Lećmy po złoto, choć nie ze złotem. —

«Ho! ho! ostrożnie. — Czajka na czatach
 Niech daje baczność, z dala i z bliska —
 Szczeńśliwi oni w rodzinnych chatach,
 Wieczorne teraz palą ogniska.

Pełne ryb sieci i piwa dzbany,
 I pies ich nawet w chacie spoczywa;
 A tu na morzu Kozak zbłąkany,
 Gdy się przez czajkę fala przelewa,
 Jak morska wrona, ze srebrnej piany,
 Otrząsa skrzydła, na wierzch wypływa;
 Byleby w fali znalazł dolara,
 Lub piastr turecki. — Ho! baczność wiara!

«Lecz my szczęśliwsi niż oni w chatach,
 Gdy nas obwieją dymem pożary —
 Miło w tureckich błądzić komnatach,
 I pić i złote chować puhary;
 Lub leżeć w siatce, gdy kołysana
 Lekko się waha, buja na maszcie,
 I patrzeć w niebo i drwić z Sułtana.

«A teraz bracia dobrze rozważcie,
 Oto z daleka wieża drewniana:
 Czy ją zapalić? czy zrównać z piaskiem?
 Oto na wieży latarnia miga,
 I brylantowym pali się blaskiem.
 Niech moja czajka brzegu dościga,
 Ja sam pod zręby ogień podłożę. —
 Lecz jeszcze okiem rzucę na morze:
 Jak cudny widok! Tu czajek dwieście,
 Które noc kryje i groźna strzeże.
 Z dala rząd świateł, Pera przedmieście,
 Dalej Zofijskie złożone wieże;
 Ledwo ich blade widać zarysy
 Na ciemnem niebie. — Tam krzew żałoby
 Tureckich grobów smętne cyprysy. —
 I w nocy nawet czernią się groby.
 I gwar daleki i morza szumy,
 I myśl o wschodnich roi straszidłach:
 Zda się że widzę, jak widmo Dżumy
 Płynie nad miastem na czarnych skrzydłach.



Już zniknął Hetman — czas szybko bieży;
 Cicho i głucho — słysząc jęk dziki —
 To pewno strażnik skonał? — Na wieży
 Błękitne siarki widać płomyki.
 I nagle światło na morze pada:
 Krwawo się czarna fala rumieni,
 I twarz miesiąca zagasa blada.
 Słysząc huk ognia i trzask płomieni,
 I ożywione jak malowidłem
 Dalekie miasto, z minaretami,
 Z cieniów wypływa — a tu chmurami
 W dymach pożaru zbudzone wrony,
 Niekiedy białem migają skrzydłem.
 Słysząc pisk ptactwa — ogień szalony
 Wzmaga się, rośnie. Ogniem owiana,
 Straszniejsza niżli widmo pomoru,
 Niżli pochodnia w gmachach szatana,
 Świeci Kozakom wieża Bosforu.

«A teraz druhy — hej! do zabawy! —
 Dalej! w przedmieścia, gdziek Grek zdradziecki,
 Gdzie kryje złoto kupiec wenecki.
 Lecz pamiętajcie, gdy świt jaskrawy
 Pozłoci niebo, wrócić do łodzi —
 I przynieść wiele złota z wyprawy:
 Będziemy piastry mierzyć na garnce.
 Lecz jeśli kogo szatan uwodzi,
 Jeśli się z łupu nie wypowiada?
 Niechaj pamięta, w Żmii janczarce
 Pięć kul się kryje — biada mu, biada! « —

Już świta — świta. — Ognie pożarów
 Gasły przed słońcem — a wschód był krwawy.
 Patrzcie! pod miastem chmura kurzawy,
 Czy to się zbliża rota janczarów?
 Migają zbroje. — Zasiąść na ławy,
 I szyję harmat zwrócić do wałów.
 Jeśli się zbliża? — wnet stem wystrzałów



Przywitać Spachów. — Nie będzie boju —
 Biała chorągiew błysnęła w tłumie,
 Posłowie niosą słowa pokoju.
 Oto kadzidło hetmańskiej dumie!
 Słyszę ich trąby i rozstrojony
 Dźwięk surm tureckich, dziki i huczny;
 A w tłumie miga kolor zielony:
 To jakiś Emir, Basza buńczuczny.
 Koń jego szybki jak błyskawica.
 — «Cóż tam Emirze od twego pana? —»
 Emir pozdrowił nisko Hetmana,
 I rzekł: — «Syn słońca a brat księżycy —»
 «Ho! — przerwał Hetman — wasz Sułtan stary
 Jak brat księżycy zbladł przed pożarem.
 Jeżeli cię z jakim przysła darem,
 Chętnie przyjmujemy Sułtana dary;
 Lecz póki jestem w brzegach Bosforu,
 Póki mam silne prawo zdobyczy,
 W darach mieć mogę prawo wyboru.

«Pierwsza jest cerkiew. Dla cerkwi w Siczy
 Żądam obrazu. — Między ikony
 Jest w Carogrodzie obraz święcony,
 Obraz, co płacze rzewnymi łzami;
 A gdy go człowiek w morzu zanurzy,
 Morze gniewliwe bije falami,
 Pieni się, huczy, pryska i burzy,
 I póty gniewne podnosi tonie,
 Aż pogan statki w falach pochłonie.
 Lecz to dla popa — słuchaj Emirze!
 Niech sobie mnichy walczą cudami;
 Póki mam szablę i czajki chyże,
 I zamek w Siczy, król nad zamkami,
 Póki mam tysiąc rażnego chłopca,
 Co po obrazie? — Obraz dla popa.

«Słuchaj Emirze! dla mej drużyny
 Złota potrzeba cudnego blasku!

Nie rodzą kruszców nasze krainy,
 Dniepr się nie toczy po złotym piasku:
 Gdyśmy go cały orali flotą,
 Pytając! Dnieprze, ma twoje łożo
 Złoto? — On czajki wyniósł na morze,
 Aż pod Carogród — rzekł: Tam jest złoto.
 Tu pięć tysięcy jest młodzi z Siczy,
 A więc syn słońca, pan twój łaskawy,
 Da pięć tysięcy piastrów odprawy.
 Dla mnie? — jednego niech nie doliczy. —

« Emirze! teraz dar dla hetmana,
 Nie piastr turecki, nie malowidło —
 Widziałem pyszny pałac Sultana,
 Gdzie się on kryje błądy ze strachu.
 Każcie rozrzucić pałacu skrzydło,
 A każdy kozak gruz weźmie z gmachu,
 Z kamieniem w pola Siczy powróci,
 Jak skarb przechowa na dnie skarbnicy,
 Potem ten kamień na grób mi rzuci:
 Wstanie mogiła — pod tą mogiłą
 Głucho śpiącemu będzie się śniło,
 Że w czajce grożę waszej stolicy. » —

PIEŚŃ IV.

C Z A J K I.

Kozacy wygnani nad Donu brzegami,
 Gdy Dniepr opuszczali, pieśń smutna i szczytna,
 Z rozpaczny wyrazem, zmięszana ze łzami,
 Na głowę Carycy przekleństwa miotała.
 O falo błękitna! O falo błękitna!
 Tyś czajki nosiła — ty łzy te widziała — !

«Zda się że słońce piękniejsze świta,
Gdy do powrotu czajka zwrócona;
Miła tej fali barwa zielona,
Czajkamî w srebrną pianę rozbita.
Jak się te nurki spokojnie pławią,
Pod słońca blaskiem skrzydły trzepocą —
Lecz kto wie druchy, może przed nocą
Srebrne się morza fale zakrwawia? —»

«Ha! zgadłem bracia — tam na obłoku
Turecki żagiel z wiatrem ucieka.
Zaczęte łowy! mieć go na oku,
Lecz się nie zbliżać — zawsze zdaleka.
Niech żadne wiosło czajki nie nagli!
W dzień się nie zbliżać, nie stawiać czoła:
Galery mają oczy sokoła,
Zaraz dostrzegą — Zwinąć pół żagli.»

«A przed obrazem Bogarodzicy,
Co burzy morze i czajek strzeże;
Zapalić świecę — a przy tej świecy,
Niech pop odmawia głośno pacierze.
Gdy wydam rozkaz — za mym rozkazem,
Wziąć pośród siebie czajkę z obrazem;
Lecz niech się teraz pop nie przysłuży,
Niechaj obrazem morza nie burzy,
Niechaj się modli — innej usługi
Teraz nie żądam — — Jakże dzień długi!»

«Ho! ho! szalony ten Sultán stary,
Budować takie wielkie galary;
Co trzykroć tyle nabiorą wody,
Niż nasza czajka; za to z czajkami
Tureckim statkom nie iść w zawody:
Gdy pełnym żaglem płyną za nami,
My na mielizny — często w pogoni
Okręt ich pryśnie o piasków ławy,
I tak jak szklanny puhar zadzwoni.»

«Widzicie druchy jak zachód krwawy?
 To wiatr nam wróży — korzystać trzeba.
 Więc nieco białych żagli rozwinąć,
 I robić wiosłem — ku słońcu płynąć.
 Postawić czajki w płomieniach nieba,
 Tak aby słońce było za nami — —
 Ze zwinietemi teraz żaglami
 Utonąć w blasku — pod tą opieką
 Nas nie wyśledzi ów upiór smoczy,
 Co ma z kryształu stokrotne oczy,
 Temi oczyma sięga daleko.» —

«Dzięki ci Boże! oto do końca
 Dzień nachylony, blado się pali,
 Oto nad falą, widać pół słońca,
 A pół do ciemnej kryje się fali,
 I na świat rzuca odbłysek ponury —
 Już się nad słońce fala podniosła,
 Po niebie krwawe snują się chmury.
 Teraz do żagli! teraz do wiosła!» —

Okrzyk stokrotny
 Biję o chmury;
 I żagiel lotny,
 Jak skrzydło ptaka,
 Białemi pióry,
 Czajkę Kozaka
 Niesie — — Ta drżąca,
 Wygina szyję,
 Kąpie się w wodzie,
 Fale roztrąca;
 I Kozak żyje,
 I czajka żywa.

Już lecą — Blady, na wschodzie,
 Z za chmury księżyc wypływa.

«Ho! dobra wróżba, galera Baszy —
 Lubię mieć sprawę z Baszy galerą!

Znam tę banderę — a nad banderą
 Buńczuk, co płocze jaskółki straszy.
 Widzę przy ogniach tureckie twarze,
 Zdają się blade — — Czekać w pobliżu,
 Aż nam galera boki ukaże,
 Aż na nas spojrzy okiem ze spiżu!»

Galera okropną cichością owiana,
 Jak widmo posępne, jak pałac zaklęty,
 Choć wiosło nie szumi, choć żagiel zwinięty:
 Bez ludzkiej pomocy, czarami szatana,
 Odwraca pierś złotem ozdobną straszylem,
 I boki jej księżyc bladawy oświeca.
 Trzydzieści paszcz widać przy blasku księżyca,
 Zkąd wkrótce ognistem wyleci zgon skrzydłem.

«Druchy! do wiosła! już dają znaki
 Ażeby iskrą podrażnić działa;
 Lecz my pierzchniemy stadem jak szpaki,
 Próżno nas będzie kula szukała,
 Dalej! do wiosła!» I mnogie wiosła
 Wnet zaszumiały;
 Czajkę zbłąkaną,
 Fala rozniosła,
 I żagiel biały
 Z białawą pianą
 Zmieszany, zniknął na morzu — —

I rzekłbyś że fala te czajki pożarła?
 Że Kozak grób znalazł w błękitnych fal łożu?
 I cichość posępna i cichość umarła,
 Okryła na chwilę błękity odmetu.
 Lecz iskrą galery zbudzone już działo
 Wzruszyło sen głuchy — błysk widać z okrętu,
 I dział trzydzieści zagrzmiało.

Dym czarny chmurą na morzu drzymie,
 I okręt zabrzmiał szatańskim śmiechem:

Lecz nim śmiech skonał z trzykrotnem echem,
 Czajki stadami błysnęły w dymie.
 Pobledli Turcy — oto Kozaki
 Na pierś okrętu rzucają haki,
 Drą się na pokład. — Nad pogan karki
 Widać wzniesiony miecz Atamana,
 I nad turbany pióro Hetmana,
 I atamańskiej odgłos janczarki.
 Wśród damasceńskich krzywych pałaszy,
 Miecie się Żmija okropnym bojem;
 Gdzie walczył Basza — syn młody Baszy,
 Na pół makowym spity napojem.

«Ojczy!» do Baszy rzekł Selim młody,
 «Giniemy — pozbądź niewczesnej dumy.
 Łódź okrętową spuścić do wody;
 Gdy ja sam wrogów zatrzymam tłumy,
 Uciekaj ojczy!» — Na środek skoczył,
 I pośród tłumu, swój turban biały,
 Błyskiem krzywego miecza otoczył. —
 Jęk na pokładzie — janczarki grzmiały.
 Pośród pałaszy w błysku i dymie,
 Hetman młodego spotkał Selina;
 I dwa się miecze starły olbrzymie.
 Żmija miecz wroga na mieczu trzyma,
 A drugą dłońią z janczarki błysnął,
 Strzelił pod maszty — i płomień nagle
 Szybkim poskokiem wpłynął na żagle,
 Aż na banderze złotej zawisnął:
 I maszt sosnowy zajął się z trzaskiem —

«Byłaby walka w cieniach schowana,
 Trzeba ją takim oświecić blaskiem —
 Oto pochodnia błyszczący Hetmana.»
 Z trzaskiem pożaru, znów szczęk oręża
 Słychać — i dźwięki hartownej zbroi;
 Miecz straszny Żmii, jak żądło węża,
 Krwi wroga szuka i krwią się poi.

Koszula Żmii utkana w druty,
 Hartowna wprawdzie na próbę kuli;
 Lecz miecz Selima w Damaszku kuty,
 Przedarł druczane węzły koszuli;
 Krew popłynęła aż na kobierce
 Co okrywały Baszy okręty.
 Żmija się zemścił — ugodził w serce:
 Schylił się Selim jak kwiat podcięty,
 Upadł na pokład ze chrzęstem stali,
 Padając, okiem rzucił po fali:
 Przez fale płynie łódź okrętowa —
 Tam jego ojciec — — Solima głowa
 Spadła na piersi.

Czajka wesola,

Znów śliską piersią roztrąca piany,
 I na błękitne wpływa limany;
 Nad limanami z ołowiu czoła,
 Wież Oczakowa widać wysoko;
 A wież turecka załoga strzeże.
 Dostrzegło czajek pogańskie oko,
 I wiankiem ognia błysnęły wieże,
 Dym widać srebrny, huk słychać głuchy:
 Lecz czajki ciche — ciche jak duchy,
 Gdy wiatrem wzdęta żagli pierś biała —
 Płyną wstecz Dniepru, dalej! — a dalej!
 Znów z wież tureckich zagrzmiały działa,
 Lecz huk bezsilny skonał na fali.

Jak cudnie błyszczą czajek szeregi!
 Słońce pozłaca barwy orszaku —
 Jak cudnie błyszczą Dnieprowe brzegi,
 Kwiat oczeretów szkarłatem świeci.
 Niekiedy w ciszy Tatar Budziaku,
 Mignie na koniu, jak wiatr przeleci;
 Lub w oczeretu kwiatach ukryty,
 Patrzy na czajki, na fal błękity.

PIEŚŃ POWROTU.

« Czajki! czajki! Sicz przed nami!
 Oto brzegi Zaporóża!
 A daleko, za czajkami,
 Już pożarów gaśnie zorza;
 I wśród morza,
 Między mgłami,
 Płonie wielka masztów sosna —
 Siła żagłów spadła.

« Gdy nam błysnie nowa wiosna,
 Znowu zadrży dzicz wybladła,
 Znowu zagrzmi śpiew janczarek.
 Lecz w tym roku dość zachodu,
 My do miodu!
 Z brzękiem czarek
 Pijmy w naszej Ukrainie,
 Miód nasz przepalony.

« Gdzieśmy byli, kto popłynie,
 Za trupami? — chyba wrony,
 Wrony czajek przyjaciółki,
 Co śmierć kraczą Asawule,
 Kiedy kule,
 Jak jaskółki,
 Nad czajkami, po przestworzu,
 Lecą chmurą czarną.

« My Kozacy siejem w morzu.
 Gdy się z wiosną plony zgarną,
 Pełnym workiem piastry świecą
 Podłe, jako liść żółkniały:
 Jak wleciały,
 Tak wylecą.
 Przez pół roku pan dostatni,
 Kozak Wojewodą. —

«A gdy wyjdzie piastr ostatni,
 Znów z Kijowa Dniepru wodą
 Do chat naszych — Kozak śpiewa —
 A gdy nędze zakłopotą:
 W łodziach nocą,
 Lśnią łuczywa;
 I do ciemnej Dniepru wody,
 Cicho sieci toną.

«Miło błędzić, gdzie ogrody
 Wschodnich Baszów, kędy płoną
 Złota blaskiem jabłka duże:
 Lecz się milej schylić z konia,
 I wśród błonia,
 Polną różę
 Zerwać, zanieść z ranną rosą,
 Lubej w upominku.

«Pierwej fale wyspy zniosą,
 Niżli Kozak dla spoczynku
 Tknie się pługa — — Gdy raz złotem
 Da zakupić ręce panu:
 Wśród limanu,
 Zlany potem,
 Zlany łzami, będzie w stożec
 Składał kryształ soli.

«O! nie pójdzie Zaporozec,
 Zaprzędany do niewoli,
 Błądzić — —!»

O cicho! cicho drużyno!
 Czy tam widzicie żagle za nami?
 Żagle się galer biela za trzcina,
 Za kozackimi płyną czajkami.
 W Czertomeliku płyną ostrowy,
 Tam będą czajek bezpieczne floty:
 Próżno nam buńczuk zagraża złoty,

I pierś galery i żagiel płowy.
 Oto na brzegu nasze rodziny —
 Czajka ma czucie, wierność brytana
 I tak jak brytan o stopy pana,
 Tak się o wodne otarła trzciny.

PIEŚŃ V.

B A S Z A.

Wrócił syn stepów wyprawą dumny.
 Jakże mu piękne zdają się chaty!
 Róża je polna ubiera w kwiaty;
 Malw różnofarbnych drżące kolumny,
 Aż po nad strzechy rosną i kwitną.
 Owdzie spruchniałe skrzypiąc żurawie,
 Sięgają w studni wodę błękitną:
 Tam Zaporozec napawa konia,
 Śpiewając dziką pieśń o wyprawie,
 I gwarząc z echem wraca przez błonia,
 Kiedy wieczorna zabłyśnie gwiazda —
 Na śpiew szczekaniem pies się odwoła.
 Chaty wiszące w parowach sioła,
 Jako jaskółcze czernieją gniazda —

Ale dla Turków jakże zdradzieckie
 Czertomeliku wysep zakręty!
 Gdy w nie galery weszły tureckie,
 Utkwił na miejscu żagiel rozpięty.
 I tak za czajką płynące wrogi,
 Co wprzód grozili, blade od strachu,
 Nie mogli znaleźć powrotu drogi,
 Jakby w Egipskim zbłąkali gmachu.

Kozak spokojne porzucił chaty,
 I biegł na brzegi — tam pop z gromnicą,

Przywdziewa lśniące złotem ornaty,
 Trzykroć oświęca Dniepr kadzielnicą,
 A gdy odmówił z księgi pacierze,
 Rzekł do Hetmana. — «Mój wierny synu,
 Czy wierzysz w cuda?» — Hetman rzekł «Wierzę.»
 Lecz uśmiech jakby na wzgardę gminu,
 Oświecił blade lice Hetmana.
 A pop rzekł dalej — «Więc w imię Pana,
 Jeźliś ochrzczony, weź obraz święty
 Gdzie malowana Bogarodzica,
 Zanurz do fali — niechaj okręty
 Zatoną — zgasną jak ta gromnica.»
 Rzekł — i gromnicę rzucił do wody.
 Tłum cały milczał, a Hetman młody
 Jakby ze wzgardą słuchał rozkazu;
 I malowidłem cudownem błysnął,
 Lecz nim tknął fali ramą obrazu,
 Obraz się w drobne sztuki rozprysnął.
 A pop zbladł drżący — zbladła drużyna —
 Hetman zawołał: «Czemuż bledniecie?
 Jeźli pękł obraz? nie moja wina,
 Spruchniał, w tureckim wisząc meczecie!
 Ale ten okręt zastrzągł do mułu.
 Turków wytracę przed wschodem słońca;
 Jednego tylko zostawię gońca,
 By o tem zaniósł wieść do Stambułu. —
 Cóż ten szmer znaczy? czyż szabla Żmii
 Tak się na karkach tureckich starła,
 Że już kozackiej nie tknie się szyi?!
 Do chat Kozaki! — niech myślą Turki
 Że już drużyna nasza wymarła:
 A gdy noc głucha padnie na wzgórki,
 I na parowy — być w pogotowiu
 Na odgłos trąbki. — Do chat Kozaki —!»

Już przy zachodzie dniewrowe ptaki,
 Czuple się kładły do snu w sitowiu.
 Galera piersią nie miała wody,

A spód jej ledwo w trzcinach widomy;
 I nad zielone wysep ogrody,
 Wyrastał wielki maszt nieruchomy.
 Słońce złociste, nie émione mgłami,
 Tonie w oczeret — blaski niknące
 Spały na żaglach, a nad żaglami
 Zwieszały liście brzozy płaczące;
 A jeszcze wyżej, na żagłów szczycie
 Bandera Baszy połyska złotem,
 I jeszcze wyżej, w nieba błękicie,
 Jaskółki szybkim krążyły lotem.

Tak cichy widok. — Niech Turki marzą
 Że są panami stu wysp na Niżu;
 Niech śpią głęboko — bo już na krzyżu
 Usiadł jak do snu sokół stepowy.
 Smutny wszedł miesiąc z płonąą twarzą
 I na zamglone patrzył ostrowy.

Cichość posępna i noc głęboka.
 Na straży Turek zbrojny połyska,
 I z chat kozackich nie spuszcza oka:
 Ale po chatach gasły ogniska.
 Turek odmawia modły Proroka,
 I tak się rajska otoczył chwałą,
 Że ani dostrzegł, jak pośród cienia
 Mierzonym razem światło łyskało,
 Jakby budzone ognie z krzemienia.

Podobnie kiedy Turków ogrody,
 Bogatym w kwiaty błysną granatem:
 Tak zdala trzciny nad Dniepru wody,
 Nagle rozkwitły ognistym kwiatem.
 I blask pozłaca ciche brzóz czoła,
 Czterech płomieni błysnęły koła,
 A gdy znalazły upływu łożę,
 Pobiegły szybko, w jedno się zlały,
 I wnet ogromne pożaru morze,
 Pod okręt wzniosłe toczyło wały.

Na krzyk strażnika, ze snu zbudzeni
 Zbiegli się Turcy. Rozpacz straszliwa!
 Rozpacz bezsilna! — morze płomieni
 Suche okrętu deski podmywa.
 Zawyli strasznie i odurzeni
 Umilkli — cisza spadła straszliwa.
 Potem w tej ciszy, galerom znana,
 Dziko zabrzmiała trąbka Hetmana.

Na odgłos trąbki, jak z ogniów piekła
 Wstali Kozacy na czarnych skałach,
 Rzekłbys że zemstą dzicz ta zaciekle,
 Gasi pragnienie w ognistych wałach.
 Na nagich głazach, obwiani w dymie,
 Jako posągi stali olbrzymie:
 Rzekłbys — że dusza ich marmurowa
 Nie słyszy jęku — głosu rozpaczy.

I słyhać grzmiące Hetmana słowa:
 «Druchy! nim płomień Turków obsaczy,
 Kto do okrętu dopłynie z wodą,
 Jeżeli jest Basza? Baszy wyszuka,
 Baszę wykradnie — takiego kruka
 Bogatą piasstrów uczczę nagrodą.» —
 Kozacy milczą — — Za skarby świata
 Któż pójdzie w piekło? — Patrzcie! sam Żmija —
 Jak istna żmija ogień przelata,
 I padł do fali, wśród fal się wzbija;
 I znów zatonął — Tam iskry padły.
 Ho! ho! z tej wanny nie wyjdzie cały —
 A teraz słyhać Turków wystrzały.
 Widzę go znowu — gdzie tłum wybladły,
 Wpadł — oto Turek w rękach Hetmana.
 Już maszt się pali, już żagiel spłonął!
 Hetman do fali z Turkiem zatonął,
 A płomieniami fala zawiana — —
 Miło to płynąć w takie ukropy!
 Patrzcie tam! patrzcie! Hetman na skale,

Na znak tureckie rozwija szale:
Waż mu się, Turek, wije z pod stopy.

Nad rankiem kędy oczeret płonął,
Błękitne tylko krążyły dymy;
Galere Baszy pożar pochłonał,
Na skałach czarne znikły olbrzymy.
Tak na skinienie Hetmana ręki,
Wznoszą się ognie — gasną pożary —
Po wyspach słyhać wesołe gwary,
I dzikie śpiewy, torbanów dźwięki.
Czemuż tak głośnie wesele w Siczy?
Czemuż się tłoczy lud do tej lipy
Z tak głośnym śmiechem? Czy dział zdobyczy?
Czyli po zmarłych wyprawia stypy?
Czy mu chorągiew przysłał Król Polski?
O! nie ztąd radość — Pośród drużyny
Wznosi się wielka klatka ze trzciny,
A w klatce siedzi Basza Natolski.
Przed kilku dniami, stu miast był panem,
Zamykał tysiąc dziewięć w haremie,
Był ojcem syna: a dziś bez ziemi —
Syn jego poległ walcząc z Hetmanem.
Z Hetmanem dzikie żywioły w zмовie
Zniszczyły miasta — a zgraja dzika
Jak na tygrysa patrzy w sitowie,
Plwa mu na czoło, palcem wytyka.
Co musiał cierpieć? nikt nie wypowie —
Ale cierpienia w sercu zamyka;
Gdy go raniło goryczy słowo,
Na wzgardę chował twarz marmurową.
Lecz chociaż duma wiele wytrzyma,
Gdy z urąganiem wystąpił hardo
Kozak, ubrany w zbroję Selima,
Basza na niego spojrział z pogardą;
Lecz gdy stanęły w oczach przytomne
Syna pamiątki: piersi nabrzmiały,

W oczach się długo dwie łzy zbierały,
I spadły na twarz dwie łzy ogromne.

Już ciemnem skrzydłem noc się nasuwa,
I gmin się rozszedł, po chatach gwarzy.
Tam zbrojny Kozak stojąc na straży,
Liczy godziny, nad więźniem czuwa.
I okolica mgłami zawiana.

A teraz, słyhać hasło strażnika:

— «Kto idzie? — «Hetman!» — «Witam Hetmana!»
Żmija milczący kłatkę odmyka.

Potem odwraca twarz zamyśloną:

— «Precz ztąd Kozaku! Żmija na straży.» —

Wszedł zgięty — odkrył lampę tajoną,

Potem ją światłem podniósł do twarzy:

— «Życ będziesz Baszo! wzgardę przeżyłeś.

Znasz mnie?» — «O znam cię! znam cię szatanie!

Syna zabójco!» — «Krew za krew stanie —
Baszo, mojego Ojca zabiłeś.

Blask cię buńczuków zaślepił wabny!

Tys go oczernił — ty od Sułtana

Przyniosłeś Baszy stryczek jedwabny,

I sam na Baszę! i sam na pana! —

Ja, słabe mając do zemsty ramię,

Ja sam, syn Baszy, z miasta wygnany,

Gdym okiem żegnał rodzinne ściany,

Widziałem głowę Ojca na bramie!

I dotąd jeszcze, dotąd w noc ciemną,

Tę bladą głowę widzę przedemną,

Jak mnie krwawemi ściga oczynia.

Lecz teraz, Żmii cienie nie straszą;

Sen mój kupiłem śmiercią Selima.

Jeszcze krwi twojej trzeba mi Baszo;

Krew swoją oddasz za łzy Zulemie,

Łzy, które lała w twoim haremie;

Lecz w równej walce, oddasz ją zbrojny.

Teraz idź za mną — nie bój się zdrady.» —

Szli oba we mgłach. Basza spokojny,
 Oczy obracał na księżyc blade.
 Szli krętą ścieżką, gdzie wśród wybrzeży
 Wznosi się zamek nad Dniepru wały.
 Koło ogromnej środkowej wieży,
 Wież mniejszych lekkie wybiegły strzały:
 W wieżach się smutny puszczyk odzywa —
 Śpi blask księżyc a mgła przepływa.

Weszli do zamku, weszli do sali,
 Po ścianach błyszczą zbroje — a z góry
 Blask od kagańca padał ponury,
 I słychać zdala szum Dniepru fali.
 W dalszych komnatach — o dziw nad dziwy!
 Jakie tam cuda w zamku dniewnym?
 Na ścian wysokich tle lazuru
 Płoną lamp gwiazdy; kobierców niwy
 Kwiatem zabłysły, a kwiat tak świeży,
 Jak gdyby z ranną rosą zerwany.
 Gdzie niegdzie kryształ zastąpił ściany;
 W zwierciadłach oko bieży i bieży,
 Nową odkrywa salę, za salą!
 W każdej te same lampy się palą — —
 Czy to są czary? tak długim gankiem
 Mógłby wędrowiec zejść aż do Boga!
 Z marmuru sali cięta podłoga,
 A delfin złoty obrzucał wiankiem
 Kryształ, co daje miłe ochłody;
 A światła płoną pod szklami wody.
 Patrząc na ognie, kryształ i kwiaty,
 Oko zaśnione w ciągłym zachwycie,
 Przez okna sali bieży z komnaty,
 Bieży odpocząć w nieba błękit;
 I wpada nagle jak w otchłań ciemną,
 Przez którą srebrny księżyc przepływa.

Hetman sprężynę ruszył tajemną —
 Złota się nagle ściana odkrywa;

I nowa sala — Sali połowa
 Alabastrowem światłem zaćmiona,
 W połowie ze mgły spada zasłona,
 A za mgłą srebrna znów jasność dniowa.
 Gdy na złocistym siedli dywanie,
 Na znak Hetmana, zdala za mgłami
 Zabrzmiały arfy — słychać śpiewanie,
 Stłumione zrazu echem i łzami
 Cichej fontanny — — Potem ze śpiewem,
 Dwanaście dziewic, kwiaty kobierca
 Depce — i pynie z zasłon powiewem.
 Basza dłoń prawą podniósł do serca,
 Potem zbladł cały, oczy odwrócił,
 I twarz rękami zakrył obiema,
 I rzekł: — «Mój sztylet tak mię porzucił,
 Sztylet niewierny — jak ta Zulema.» —
 — «Baszo!» rzekł Hetman «ona szczęśliwa,
 Z waszych pałaców bierze podarki;
 Dla niej po morzu czajka ma pływa,
 Błyszcza pałasze i grzmia janczarki!
 Dla niej to Żmija przez długie lata
 Zdradzał i zaprzął swego proroka,
 I twarz zmienioną nosił dla świata,
 Choć w sercu była rana głęboka! —
 Hetman — i razem wróg mej drużyny,
 Często przebrany z bracią Tatary,
 Na własne siola niosłem pożary:
 Często przez długie, długie godziny,
 Pamiętam, nawet przed dniem wyprawy,
 Jak wąż ukryty pomiędzy trawy,
 Patrząc na słońce, leżę dzień cały
 By choć dzień jeden ukraść obłudzie,
 By świst kozackiej usłyszeć strzały;
 Sokół mnie poznał prędzej niż ludzie,
 Tak twarz wprowadziłem, aby udaną
 Nosiła barwę. W takiej niewoli,
 Jak liść dwubarwny srebrnej topoli,
 Cierpiałem mekę — niewypłakaną.

Gdym własne siola palił i burzył,
 Gdym na przekleństwa gminu zasłużył,
 Błogosławili — ! Ale już blada,
 Już gwiazda Żmii mroczy się, spada;
 Gdy w mojej dłoni pękł obraz święty!
 Odkryją zdradę, spadnie ta głowa —
 Przeklną! — Głos grzmiący przerwał mu słowa:
 «Więc bądź przeklęty! więc bądź przeklęty!» —
 I przed Hetmanem stanął w komnatach,
 Ze srebrnym krzyżem, pop w czarnych szatach.

PIEŚN VI.

W A L K A.

Szczęśliwe czasy dawnych rycerzy!
 Szczęśliwe czasy! gdy cud po cudzie
 Barwił powieści. Dziś kto uwierzy?
 Jacy to byli stalowi ludzie,
 Jakie to były zamki zakłète,
 W czarnych cyprysach dusze zamknięte!
 Takie powieści śpią nie wierzone,
 Takie powieści kryją klasztory,
 Gdzie mnich przez szyby patrząc barwione,
 Światu nadawał tych szyb kolory.
 Dziś kto uwierzy? że na skinienie
 Ręki Hetmana, we mgnieniu oka,
 Zagasły światła — arf kona brzmienie,
 Z ciemnością spada cichość głęboka.

Popa okropna przejęła trwoga —
 A Hetman mówił z twarzą wesolą:
 «Biada kto tutaj w imieniu Boga,
 Wstąpi w czarami skreślone koło.

Lecz gdyś tu przyszedł, bądź pozdrowiony —
 Zostaniesz moim gościem na wieki.
 Słońca nie ujrzą twoje powieki,
 Rdzą się okryje ten krzyż srebrzony;
 Nikt nie usłyszy jęku — prócz Boga! —
 Skinął — zapadła nagle podłoga —
 Pop przeniesiony w lochy podziemne,
 Zniknął — i słychać było westchnienie.
 Znów skinął Hetman, a na skinienie
 Dzień światła wpłynął w komnaty ciemne.
 Gdy się rozjaśnił, dwoje rycerzy
 Znów przez te same wyszło podwoje,
 I do narożnej wstąpiło wieży,
 By się do walki stroić we zbroje.

Basza wziął turban stałą podszyty,
 Piersi drucianą kryje koszulą,
 I miecz Damaszku, z dwóch mieczów zbity,
 I ciężki czekan z kolezatą kulą.
 Tak uzbrojony lekki i rześki,
 Za pasem sztylet zawiesił Fezki;
 Wziął tarcz z sitowia, jakiej do wojny
 Używa w stepach Tatar budziacki,
 I już był gotów. — Hetman kozacki,
 Bezpieczniej wprowadzie, lecz ciężko zbrojny,
 Zakuł pierś mężną w pancerz ze stali,
 Niósł hełm z przyłbicą ściśle zakrytą,
 A z piór i włosów na hełmie kitą,
 Rośnie we dwoje, do sklepień sali;
 Kopiją wstrząsa do rzutu celną:
 Przy boku błyszczy miecz obosieczny.
 Tak z Baszą sercem i zbroją spreczny,
 Wychodzi staczać walkę śmiertelną. —

Już się na biały dzień zabierało,
 Gdy wyszli z zamku. Jakby zbudzone
 Chmury, nadrannym wiatrem kręczone,
 Już się z mgłą dolin mieszały białą.

I słyhać oddech poranku świeży,
 Co lekko wzrusza nadwodne trzciny;
 Świegocą wróble na zamku wieży,
 Na pół uśpione między kaliny.
 I księżyc blade i gwiazdy blade;
 Szarzeją światłem nieba błękity,
 A kawki krążąc, stadem obsiadły,
 I ołowiane wież czernią szczyty.

Wsiadli do czajki obaj rycerze,
 Płynęli z wodą. Hetman ponury,
 Patrzył na wichrem kręczone chmury,
 Na mgły tumany, na zamku wieże;
 A jego serce choć stała zbrojne,
 Tak mocno bije, tak niespokojne,
 Jakby w przeczuciach — zadrżał — i nagle
 Chwycił za wiosło, rozpuścił żagle,
 I pędził czajkę — ta w szybkim biegu
 W chwilę na drugim stanęła brzegu.
 Tam z serca trwogę odpędził płonną:
 «Jak los osądził, rzekł, niech się stanie. —
 Baszo! czy walczysz pieszo, czy konno?
 — «Gdy Arabczyka dasz mi Hetmanie,
 Ujrzysz jak lekko na siodło wskoczę,
 Jak z konia biję i koniem toczę.»
 Hetmana trąbki słyhać odgłosy:
 Wnet, nauczone na trąbkę pana,
 Dwa szybkie konie lecą przez wrzosi:
 — «Biały twój, Baszo! Czarny hetmana.» —
 Oba rycerze siedli na konie,
 Oba pędzili szybko przez błonie,
 Póki kaganiec z wież Oczakowa
 Nie błysnął gwiazdą ze mgły wywity.
 Za wodzą Żmii stanął koń wryty,
 A Hetman rzecze: «Na próżne słowa
 Nie traćmy czasu, poleć się Bogu.
 Tam twój Oczaków, kędy się palą
 Mnogie kagańce w masztowym lesie,

Tam twoje wieże — do wież tych progu,
 Gdy mię zwyciężysz, koń cię zanieśie —
 Gdy padniesz, trup twój popłynie z falą.»

Rzekł — ściślej zamknął w przyłbice czoło,
 I czarnej tarczy okrył się skrzydłem.
 Basza jak jastrząb krążył w około,
 Na różne strony zwijał wędzidłem,
 I rzucał czekan i koniem toczył.
 Tarcza Hetmana wydała dźwięki,
 Trzykroć od tarczy czekan odskoczył
 I na rzemieniu wrócił do ręki;
 Trzykroć odskoczył — za czwartą razą
 Zgruchotał twarde hełmu żelazo;
 Lecz ugrąził w hełmie — Żmija zaś chwyta:
 Nie pośpiał Basza odciąć rzemienia.
 Tak związanego, gdy zbył strzemia,
 Hetman pod końskie ciągnął kopyta.
 Skrwawiony ostem i oczeretem,
 Czołga się Basza jako gadzina.
 Żmija miecz wznosi — Basza sztyletem
 I lewą ręką rzemień przecina,
 Wstając pod koniem, ów sztylet srogi
 Aż po rękojeść wraził pod strzemię.
 Rumak Hetmana runął o ziemię;
 Lecz Hetman szybko powstał na nogi,
 Odrzucił dzidę, miecza dobywa;
 I znów grzmi walka — walka straszliwa!

Daleko słychać szczęki pałaszy,
 I tarcza daje odgłos jak dzwony.
 Już krew turecka, krew świeża Baszy,
 Lśni po burzanach jak kwiat czerwony.
 Ten widok siły hetmana dwoi,
 Więc w obie dłonie miecz chwyta silny,
 Podniósł i spuścił — lecz raz był mylny:
 Sam padł, zwalony ciężarem zbroi.
 Nim powstał z ziemi, już wróg straszliwy

Tłoczył mu piersi, wzniosł sztylet mściwy,
 I nad bezbronnym mszcząc się rycerzem,
 Gdy mu się sztylet po zbroi zwinął,
 Podniósł pancerza i pod pancerzem
 Wbił po rękojeść, aż krwią zapłynął.
 Basza siadł na koniu, spiął go ostrogą,
 Leciał jak z wiatrem chmura stepowa;
 Lecz nie do Turków? do Oczakowa? —
 Na północ wsteczną poleciał drogą!

Już zniknął. Błado wschód się czerwieni,
 Już się oddala tentent po wrzosie;
 Tu koralową barwą jesieni
 Błyszczą burzany w srebrzystej rosie,
 I szpaków stada po nieba sklepach
 We mgle się kąpią — i lgną na łoży.
 Gdzie dwie samotne płakały brzozy,
 Hetman kozacki konał na stepach. —

Ciszej! — tam jakiś śpiew obłąkany,
 Z echem przez suche płynie burzany;
 Pieśń taka smutna, dzika i rzewna,
 Oblana złotem słońca promieni,
 Zbliża się postać, jak cień niepewna,
 Dziewica mogił — to młoda Xeni!
 Pieśń jej jak lutni niesfornej głosy,
 Nagle skonana, krzykiem ucięta,
 Bo koło Xeni skrwawione wrzosy;
 A choć przyłbica Żmii zamknięta,
 Już go poznała — tak dziewic oczy
 Wprawne w miłości, choć obłąkane.
 Ale napróżno wysłedza ranę,
 Chce krew zatrzymać rąbkiem warkoczy.
 Gdy mu przyłbicę wzniosła na czole,
 Żmiję do życia wróciły bole.
 Spojrzał i poznał — lecz nie rzekł słowa,
 Ani się zdradził nagłym poznaniem.
 I była cisza — cisza stepowa,
 Przerwana czasem łzami i łkaniem

Smutnej dziewicy. Xeni oczyma
 Ściga wejrzenie zgasłe Hetmana;
 A Żmija oczy wlepione trzyma
 W stronę, gdzie mglistą chmurą owiana,
 Wznosi się zamków Siczowych wieża.
 Nagle blask ognia ztamtąd uderza,
 Potem się rozlał po Dniepru fali —
 Między wieżami płomień się wyje.
 — «Zdrajca!» rzekł Hetman «Xeni! kluj Żmiję!
 Oto mój zamek, zamek się pali!
 W zamku twój ojciec! — A Basza mściwy
 I nad nim jeszcze zemsty dokonał.
 Przekleństwo jemu!» — Westchnął — i skonał.

Zaledwo skonał — przez kwiatów niwy,
 Rzucając za się wzrok niespokojny,
 Na koniu Turek przeleciał zbrojny,
 I zniknął we mgle. — Śmiech dziki Xeni
 Smutnie po rosach zabrzmiał. — «Mam syna!
 Ojciec mój skonał pośród płomieni.
 Syn mój jak świeża rośnie kalina;
 A Hetman? — Syn miał ojca Hetmanem,
 I żyć nie będzie pod innym panem.
 Lecz wam Kozacy, wam nie pokażę
 Syna mojego — w grób go zakopię;
 Ale krew jego przyniosę w czarze,
 I krwią mogiłę ojca pokropię.» —

Jakie tam było po chatach łkanie,
 Gdy wieść okropna biegła przez sioła!
 Zgasłeś! wołali, zgasłeś Hetmanie!
 Któż jak ty w czajce lotem sokoła,
 Z nami na czarne popłynię morze?
 Kiedyż takiego ujrzymy pana?
 Kiedyż drugiemu słać będziem łoże,
 Gruzami z wielkich gmachów Sułtana? —

Wieją tłumami kozackie kity,
 Hetmańska trumna już nad mogiłą;

A w trumnie Hetman leży odkryty.
Coś mu się we śnie straszego śniło,
Bo wyraz wzdargy w twarzy wryty.
Z żagłów tureckich śmiertelna chusta
Spowiała ciało. Złotym obrazkiem
Pop go opatrzył, posypał piaskiem,
Kawałek chleba włożył mu w usta,
Zgraję tym samym obdzielił chlebem;
A gdy wymówił ostatnie słowo,
Płaczki zaczęły pieśń pogrzebową.
Lecz jedna z płaczek szła za pogrzebem,
Śmiechem zbłąkała pieśni odgłosy;
A choć wesela taić nie umie,
Na przekor śmiechom, jak srebrne rosy,
Łzy jej do wielkiej płyną łzawicy.
A gdy łzy cudze zbierała w tłumie,
Gdy w czarę padło światło gromnicy,
Kołem się wszystkie chmurzyły twarze,
Widzieli wszyscy, krew była w czarze!
I krew do grobu wylała cieśni.
Padła — skonała — — Konaj, o pieśni!

OBJAŚNIENIE.

Romans tu umieszczony jest prawie zupełnie utworem wyobraźni. Na Ukrainie lud dotąd pokazuje wał ogromny, Wałem Żmii nazwany. Niektórzy sądzą że Żmija był jednym z pierwszych i najdawniejszych wodzów Zaporozża; inne podanie niesie, że szatan pod postacią żmii niósł wielki kamień, chcąc nim kościół przywalić, a przerażony zapianiem kura, głaz na stepie upuścił. Idąc za pierwszą z tych powieści, utworzyłem osobę bajeczną, będącą bohaterem mojego romansu, i z nią powiązałem różne przez historję wspomniane wypadki. I tak: prawdziwą jest rzeczą, że Kozacy z czajkami wybiegali na Czarne morze, spalili wiele miast Natolji i Cylicji, a zapędziwszy się aż pod Carogród, ogień w przedmieście Pera zanieśli. Sułtan przerażony, widząc płonące wieże Bosforu, złotem okupić się musiał. W papierach znalezionych w kuli na kościele św. Jana w Warszawie, a które Niemcewicz w pamiętnikach o dawnej Polsce umieścił, znajduje się wzmianka o Kozakach. Ztamtąd powziąłem wiadomość: iż któryś z Baszów w niewolę przez Kozaków ujęty, na pośmiewisko w klatce jak drugi Bajazet był uwięziony. Opisy miejsc po części z Grądeckiego, po części z Baumplana wyjęte. Za czasów tego ostatniego widziano na najwyższej z wysp Czertomeliku ruiny zamku, tak postawione, aby je woda, wiosną inne wyspy zatapiająca, osiągnąć nie mogła. W tymże autorze wyczytałem, jak galery tureckie zapędziwszy się za czajkami, zginęły w labiryncie wysp Czertomelickich oblakane. Tenże pisarz opisuje sposób, jakim Kozacy i Tatarowie na sumaki polowali, a obraz tej oblawy starałem się wiernie w pieśni

pierwszej romansu wystawić, równie jak sposób zdobywania czajkami okrętów tureckich w czwartej pieśni opisany. Nie-
kiedy idąc za duchem poezji ludu ukraińskiego, chcąc obraz
żywiej wystawić, porzucam sposób opisowy, i opowiadanie
wkładam w usta sternika kozackiego; nie sądzą zaś, aby taka
wolność wyobraźnię czytelnika obrażać miała.

Wiersz dziesięcio-zgłoskowy w niniejszej powieści użyty,
a może nadto wyraźną miarą, nieprzyjemnie mordujący ucho
czytelnika, w mojem jednak przekonaniu najwłaściwiej do ta-
kiego rodzaju utworu zastosować się daje. Z życia takowego
wiersza wynika potrzeba, nie inne jak dwunasto- lub ośmio-
zgłoskowe łączyć z nim rytmy; tak, ażeby średniówka zawsze
w połowie wiersza przypadać mogła.

JAN BIELECKI.
POWIEŚĆ
NARODOWA POLSKA,
OPARTA
NA PODANIU HISTORYCZNEM.

I.
WYPRAWA NOCNA.

Oto się ciemne księgarnie otwarły,
Te źródła bogactw w zapylonej ramie.
Czytam — — Jak dziko ten język umarły
Pod piórem w kształty nieżywe się łamie!
Język i gorszy przesąd zakonnika,
Jak rdzawa klamra myśl księgi zamyka.
Czy tu wygrzebieasz dzieła Giedyminów?
Czy głos Zygmunatów, jak echo daleki?
Są to jak Sfinxy, te ubiegłe wieki,
Mówią zagadką dziś ciemną dla synów.
Znajduję słowa: «Kraj nasz dosięgnął szczytu —
Chylić się musiał.» — Precz z myślą szatana!
Pamięć w dalekich wiekach obłąkana
Niech spocznie. — Okno klasztoru otworzę —
O! jak spokojne otechłanie błękitu,
Tam z dala płynie złote kłosów morze,
A tu klasztoru szumią ciemne lipy!

Myśl rozwesela daleki szmer lasów,
 Gdy pogrzebałem pamięć dawnych czasów —
 Jestem wesoły, jak biesiadnik stypy.

Snem jest ów obraz. Umysł się najgrawa
 Z nieszczęść obecnych, bezwładny, bez steru.
 Gdzież jestem? Oto mury Westminster!
 Tam Izba Parów — tu Tamiza mgława
 Połyska słońcem. Przebiegałem chmurny
 Ów pałac zmarłych z uczuciem przestrachu,
 Bo ja sam byłem jak umarły w gmachu;
 A oni żyli. — Nie zajrzałem w urny —
 Wybiegłem — więcej nie wchodzę w te ściany;
 Ale samotny wracam dziś i co dzień,
 W dziedziniec głazem grobów brukowany,
 Po których stąpa niemyślny przychodzień.
 Ci, co posnęli w tych grobach do koła,
 Walczyli nędzni z niezdolności wrogiem;
 Dążyli spiesznie do progów kościoła,
 I umierając, kładli się przed progiem.

Z dziką rokoszą napis mniej widomy
 Niszczyć do reszty śladem mojej stopy;
 I czuję rokosz, gdy mój cień znikomy
 Grobowi gmachu nie dopuści cienia.
 Szaleni! dążyć pod świątyni stropy,
 Nie mając w duszy wrącego płomienia?

Posepny — siadę na odłamie głazu.
 Smutna się powieść w pamięci rozwija!
 Czytałem w księgach, a godło obrazu
 Było: «Kraj zdradził — i zdrada zabija.»

W kronikach znajdziesz powieści ośnowę,
 Z kronik czerpane rysy i kolory.
 Już Zygmunt August w grobie złożył głowę,
 Na tronie zasiadł król Stefan Batory.
 Ciężkie dla szlachty były rządy nowe!

Część po wsiach własne zamieszkała dwory.
Co było w kraju? Nie skreślę od razu,
Jeden cień tylko maluję obrazu.

Pan Brzezan w cudnej mieszka okolicy!
Zamek objęła rzeka w dwa ramiona;
Nad bramą klasztor, w murach zakonnicy,
Dalej — kaplica blachą powleczonea.
W komnatach żadnej nie ujrzysz różnicy
Od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona.
Pan Brzezan lubi żyć w królewskim dworze:
Co ma król Polski i szlachcic mieć może.

Posadzki wzorem włoskim marmurowe,
Na ścianach srebrem tkane adamaszki;
Gęsto się lampy lśnią alabastrowe.
Z srebrnych sadzawek, niby dla igraszki,
Wytryska woda, tchnącą wonią róży,
I nazad deszczem brylantowym spada.
Dwóch karłów wiernie na skinienie służy,
W oczy się patrzy i chęci odgada,
Ani się kiedy śmie odezwać słowy:
Spodlonym tworom Bóg odmówił mowy!

Pan Brzezan huczne wydaje biesiady.
Oto go łatwo rozeznać za stołem:
W złocistej szacie — ale bardzo błady,
Wydaje troski zachmurzonem czołem.
Może biesiada cierpienia ukoi?
Już od tygodnia szlachtę sprasza, poi.

Dzisiaj na czole pozbył zwykłej dumy.
Już raz dziesiąty zagrzmiały wiwaty,
Wesołej szlachty ozwały się tłumy,
Wesołym gwarem zabrzmiały komnaty.
Już wino słabsze zwycięża rozumy
Dość jednej iskry, wnet ogień wybucha.
Pan Brzezan mówi — szlachta wstaje, słucha.

«Bracia na chwilę uciszcie te gwary,
Słuchajcie pilnie — a ja w krótkim słowie
Wyjawię powód, wyłożę zamiary,
A potem każdy swe zdanie wypowie.

«Słuchajcie! Szlachcic obraził mię podły!
Szedłem do króla, nie bлагаłem łaski —
Wnet sprawę długie indukta wywiodły;
I jam był winien! Winien był Sieniawski!
I oko w oko, przed króla obliczem,
Widziałem wroga — nie próżno przychodził:
Król go pochwalił — pochwalił, nagrodził —
Nie spojrział na mnie i odprawił z niczem.

«Nasz dumny Stefan do czegoż on zmierza?
Śmiałżeby władać jak niemiecki książę?
Wszak nasze państwo to gotycka wieża,
Z tysiącznych kolumn składa się i wiąże;
Niechaj się jedna usunie kolumna,
Gmach cały runie, cały się rozprzęże.
Ja się usunę! — Nieh mię grom dosięże,
Gmach cały runie, dla mnie tylko trumna! —

«Hej! Szlachta! Znacie Bieleckiego Jana?
Dawniej w niewoli gnił u Bisurmana,
A dziś się z pany w jednym stawia rzędzie,
Jak król udzielny w darowanej grzędzie!
A kiedy zamki wałą się pod gromem,
On podparł domu padające ściany,
I tak spokojny między niemi żyje,
I tak szczęśliwy — że nad jego domem
Co wiosny bocian nowe gniazdo wije.
Lecz dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda,
Jękiem i dymem, iskrami płomieni —!
Bracia, noc widna! — nie daleka jazda!
Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni.
Nim wróci, niech mi Bóg tak dopomoże,
Dom zburzę, spalę, grunt domu zaorzę!»

Miodem i winem i ucztą zagrzany,
 Tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem.
 I tam widziałbyś jakim cudnym blaskiem
 Migaly w tłumie drogie aksamity,
 Złociste pasy i jasne żupany;
 Jak się wachały brylantowe kity,
 I oko ćmiły różnobarwne krasy!
 Blask chyba równy, gdy w przedpotowe
 Wicher nowego świata zbłądzi lasy,
 Gdy aż do ziemi nachyli drzew głowę.
 Gdy się zmięszają wszystkie barwy borów,
 Liście i kwiaty płyną jak potoki;
 Zachwyca oczy cudna gra kolorów,
 Szum razem miły, straszny i głęboki.

Pali się szlachta — już dosiadła koni.
 Pieszym pan Brzezan rozdaje rumaki;
 Już most zwodowy pod kopyty dzwoni,
 Dalej, na pola, przez ubite szlaki.
 Wino zagrzewa, zemsta pośpiech radzi.
 Już pojechali — — niech ich Bóg prowadzi.

II.

W E S E L E.

W Brzezan miasteczku, w kościele u Fary
 Jaśniej ołtarz — potężne organy
 Wstrząsają pełne grobowców filary.
 Po ławkach jasne migają żupany:
 Tam poźółkniały ksiąg pergamin stary,
 A owdzie stoczek złotem malowany.
 Ołtarz upstrzony woskowemi kwiaty —
 Służba rozwija kobierzec bogaty.

Swaty i drużby wystąpili strojno,
 I młoda para przysięgi powtarza.
 Z otwartem czołem, Jan Bielecki, zbrojno
 W husarskiej zbroi, w misiurce ze stali,
 Jako do bitwy, stanął do ołtarza.
 Patrzy na młodą, a wzrok mu się pali.
 Przy męzkiej piersi, gdzie żelazo lśniło,
 Od lubej, w miłym dany upominku,
 Skłaniał się bukiet z róży i barwinku,
 I drżał listkami, tak mu serce biło,
 Tak silnie piersi wstrząsały puklerzem.
 A dalej! swaty za młodym rycerzem —
 A dalej! bracia husary, pancerni —
 A dalej! służba w wielkiem stoi kole,
 Zbroją od prostej odróżniona czerni!
 Piękny to widok, gdy przed wrogów tłumem,
 Rozwiną skrzydła na barkach sokole,
 I jako ptaki głuszą skrzydeł szumem.

Lecz panna młoda jakże przystrojona!
 Trudno weselne opisać ubiory.
 Ślubna jej szata była w dwa kolory:
 Błękitną barwą lśniąca jedna strona,
 Bo takie było męża herbu pole;
 A na mienionym jedwabiu lazurze,
 Lśnił się herb: srebrne księżycy półkole —
 Gwiazda, nad gwiazdą hełm o strusiem piórze.
 A druga strona sukni szkarłatowa,
 I herb dziewicy szyty na szkarłacie:
 Srebrzyste strzemie i złota podkowa.
 Piękna to szata, a przy takiej szacie,
 O, jakże cudna, gdy się wstydem płoni!
 Widne łzy w oku, widne drżenie dłoni,
 I cała postać powiewna i drżąca.
 Jej śnieżne łono westchnieniem odtrąca
 Tę młodą różę, co wpół wychylona,
 Aksamitnego dotknęła się łona.

Dla czego smutna? — Patrz, na wód lazurze
 Kwiat się przegląda w jeziora kryształe;
 Choć chmury słońca nie zakryją światu,
 Kwiat liście zwiesza i kryje się w fale;
 Lilija wodna może przeczuć burze,
 Kwiat czuje — ona — miała czucie kwiatu.

Wracają tłumnie weselne orszaki,
 Zagrali grajki, grzmiały liczne wystrzały,
 I pochodniami świecili Kozaki. —
 Noc księżycowa widna jak dzień biały.
 «Stójcie!» zawołał pierwszy swat, «przedemną
 Nie widzę domu. — Janie, wszak tu droga
 Do twojej chaty? Ha! cóż to? dla Boga!
 Czy dom twój zniknął? czy mi w oczach ciemno?
 Ale nie, widzę — oto orzą pługi,
 Wieśniak ostatniej miedzy doorywa — »
 Kiedy to mówił, przybiegł jeden, drugi,
 Patrzą, nie wierzą. — Sam Jan staje słucha,
 Blednieje — nagle z tłumu się wyrывa;
 A w tłumie była cichość straszna, głucha!

Wkrótce Jan wrócił — prędko jak błysk gromu
 Stał przed żoną obłąkany, blady.
 Na jego szatach widać krwawe ślady. —
 «Anno!» rzekł, «Anno! wracaj! — Nie mam domu!
 Nie wrócę z tobą — obelga dotkliwa!
 Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu.
 Już mnie domowe szczęście nie omami!
 Wracaj, o Anno! ty będziesz szczęśliwa —
 W twojem objęciu zalałbym się łzami.
 Ja nie mam domu! — » Zadrżał — i spał konia.
 I jak wiatr szybko poleciał przez błonia.

Nazajutrz rano pochowali w grobie
 Starca, co orał grunt ostatniej miedzy.

Bielecki zniknął — żadnej o nim wiedzy,
 A po nim żona chodziła w żałobie.

Jej serce straszne skołatały ciosy,
Po śnie wesela został płacz — pierścioneł.

Nazajutrz rano, skoro spadły rosy,
Gdzie był dom Jana, samotny skowronek
Wzleciał nad skiby przeoranej roli,
Nucąc piosenki smutku i niedoli.

III.

BAL MASKOWY.

Oto ubogie szlacheckie komnaty:
Skromne, jak niegdys naszych przodków życie;
Ściany drewniane, po ścianach obicie,
W różne obrazy, w różne chińskie kwiaty;
Straszne jak mary, które roi dziecię,
Z ram poczerniałe patrzą antenaty.
A przed obrazem jedna lampa płonie,
Gdzie Matka Boska w gwiazdzistej koronie.

Noc nadchodziła, mrok zapadał szary;
Lecz budzą ciszę wieczornej godziny
Głośnie wahadłem po ścianach zegary.
A na dziedzińcu lipy i osiny
Szumiały smutnie — i gdzieś między szpary
Świerszcz się odzywał. — I pies, stróż rodziny,
U wrót podwórza nieraz się odwoła
Na psów szczekanie z poblizkiego siola.

Siedziała Anna — przy niej ojciec stary
Otwiera świętych poważne żywoty,
I czyta głośnie, a spokojność wiary
Jak deszcz wiosenny krzepi bujną niwę:

Zamienia rozpacz w uczucie tęsknoty,
I lzy zamienia w płacze nieszkodliwe;
Jako płacz dziecka, kiedy rozkwilone
Ściga za matką, chwyta za kraj szaty.

Wtem zaszczeakały brytany zbudzone,
I nagle drzwi się otwarły komnaty —
Wszedł mały karzeł — czapkę miał na głowie,
Brzmiącą dzwonekami, obszytą w galony,
I rzekł: «Niech będzie Chrystus pochwalony!»
— «Na wieki wieków» starzec mu odpowie.
A karzeł znowu nizko schylił głowy,
I rzekł «Sieniawski, Pan mój na Brzezanach,
Dziś mię posyła po paniach i panach:
Jutro was prosi na swój bal maskowy.
Jutro do zamku tłum się wielki ściąga,
A wszyscy w dziwne przybrani maskary»
— «Ha! precz mi z oczu!» krzyknął Cześnik stary,
«Precz! — Pan twój z nędzy, z łez naszych urąga?
Precz! bo na Boga —» Lecz nie skończył mowy,
Upadł na krzesło i zdjęty niemocą,
Już gniewu swego nie mógł wyrzucić słowy.

Była to straszna chwila przed północą —
W około słyhać nocnych kurów pianie,
I psy szczekały co wrót chaty strzegły.
Znagła zadrżały obrazy na ścianie —
Znów się drzwi domu na ściągają rozbiegły:
Wszedł błądy człowiek — lecz na powitanie
Jak zwykle Boga imienia nie chwalił;
I opatrzone w pieczęć zawinięcie,
Złożył na stole i sam się oddalił.

«O córko! córko! to Jana pieczęcie!»
Wykrzyknął starzec, воск rozłamał kruchy,
I znalazł słowa: «Anno! bądź na balu —»
A dalej szaty z tureckiego szalu,
Wielkie ze złota ulane łańcuchy,

Brylanty lśniące jak gwiazdy w noc ciemną,
 Perły daleko łowione w Basorze — —
 Anna spojrzała i zbladła «O Boże!
 Zmiłuj się nad nim — zmiłuj się nademną!

Jak cudny obraz oczom się odkrywa!
 Czy Zygmunt z grobu wstaje, tron zasiada?
 Czy znów z Wenecji, co po morzu pływa,
 Do Polski wnosi karnawału święta? —
 Odkąd Batory sławną Polską włada,
 Polak się bije, zabaw nie pamięta.
 Snem mu się zdają te świetne Brzezany!
 Oto są złote krakowskie komnaty,
 Podobne kształtem, złożonemi ściany,
 Strojne w atłasy i drogie bławaty.
 Oto jest zgraja królewska barwiona —
 Szaty ma cudne, dorobione twarze;
 Weszli na salę — — Ale gdzież jest Bona?
 Może truciznę podaje Barbarze? —

Snują się tłumy: pomiędzy kolumny,
 Ujrzysz tu wszystkie zwyczaje, narody —
 Patrz! oto piórem błyska Hiszpan dumny,
 Nadto poważny, chociaż jeszcze młody;
 Krzyż ma na piersiach, jak obrońca wiary,
 A w ręku jego drżą struny gitary.

Patrz! oto w czarnej zasłonie dziewica,
 Z różanym wiankiem — a przy niej młodzieniec.
 Oboje widać z wysokiego stanu;
 Ona zbierała w Neapolu wieniec,
 On się urodził w Rzymie Oceanu.¹
 A pieśni majtków i szum cichej fali,
 Ukołysały umysł jeszcze młody;
 I rzucił ślubny pierścionek do wody,
 Poślubił morze i jak Tass się żali.

1 Wenecja.

Lecz w jedną stronę zbiegł się tłum balowy;
 Dziwna tam maska! dziwne jej ubiory!
 Kaszmirska szata w cudne szyta wzory;
 Od szaty bije blask diamentowy,
 We włosach toną przepaski z koralu — —

Wnet się rozlega szmer wielki po sali,
 Kto jest ta maska? — Sam król nasz Batory
 Nie ma tak wielkich brylantów w Krakowie,
 W skarbcu królewskim —! Kto jest ta dziewczica? —
 Próżna ciekawość, pod maską jej lica;
 Ani się słowem wydaje w rozmowie.

IV.

Z E M S T A.

Zgiełkiem i wrzaskiem zabrzmiały komnaty —
 Głośna to radość, lecz radość nie szczera;
 Śmiech słyhać! — śmiech ten wymuszony świata,
 Na białych licach nigdy nie umiera.
 Śmiech ten jaśnieje jako kwiaty z płótna,
 Któreimi błyszczy biesiadnika głowa —
 Ich postać wiecznie, wiecznie jednakowa,
 Wiecznie bez czucia, choć piękna, lecz smutna;
 Nigdy nie żyły i w nieba błękiecie
 Nie odetchnęły — i nigdy nie zwiędną.
 Lecz któżby przeniósł takich kwiatów życie,
 Nad jedną chwilę rokoszy — choć błędną?

Pan Brzezan smutny, milczący, ponury,
 Porzucił tłum różnobarwne fale:
 Szedł do komnaty gdzie ciemne marmury,
 I wodotryski wychładzały salę.

Okna posępne gotyckiej struktury;
 Przez okna księżyc pełnym blaskiem pada,
 Cisną się krzewy kwitnące jaśminu.
 W około stoły z marmuru, bursztynu;
 A z ram złożonych nie jedna twarz blada,
 Której wiekami ściemniały kolory,
 Twarz przodków patrzy: smutna, nieruchoma.
 Chodził Starosta, krok niepewny, skory —
 Za nim się cienie kładły od księżycy;
 A gdy na niebo podniósł blade lica,
 Na twarzy była zgryzota widoma.

W tłumie biesiadnym nowe słyhać wrzaski;
 I zbiegł Starosta do sali biesiady,
 Zawołał pazia, pomiészany, błądy.
 — «Paziu mój! paziu! co znaezą te maski?
 Prawie połowę zajęli komnaty,
 Czoła zakryte i tatarskie szaty —»
 — «O Panie! twojej bojaźni nie dzielę,
 To jakaś szlachta zjechała kulikiem.»
 — «Nie są to, paziu! nie są przyjaciele!
 Szlachta by zaraz wpadła z hukiem, krzykiem,
 Zaraz by pełne obległa szklannice,
 A oni milczą, kryją tajemnicę — —
 Paziu, wybiegnij przez drzwi boczne sali,
 Niechaj odźwierny — Lecz cóż to? O Boże! —
 Zwodową wieża i zamek się pali!
 O zdrada! — Bracia! kto mi pomoże?
 Miecz mój i zbroja! prędzej paziu młody!»

Już nie czas — Zewsząd tłumne pogan wrogi,
 Biegną przez wielkie marmurowe wschody;
 Trupami sali zawalili progi,
 Ognie pożaru zażegli na gody.
 Lecz któż na czele roznieca pożogi?
 Któż tłumy pogan prowadzi do boju?
 Jestże ich wodzem? baszą? atamanem? —
 Jakiś młodzieniec w muzułmańskim stroju,

Czoła złocistym przysłonił turbanem,
 I wiarę złotym księżycem naznaczył.
 Leci na czele i służbę pomija;
 Nikogo dotąd uderzyć nie raczył,
 Miecz jego w pochwach; on wzrokiem zabija.
 Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady,
 Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe.
 Światła zadrżały, zgasły, tylko błądy
 Świecił się promień lamp, w alabastrowe
 Ukrytych głązy — — Wpadł jak śmierci mara,
 I wejście mnogą wartą zabezpiecza —
 Pan Brzezan z mieczem stał w obec Tatara.

Lecz patrzcie! patrzcie! Tatar dobył miecza;
 Patrzcie! o zgroza! to miecz dobrze znany!
 Nad emalii zaćmionym lazurem,
 Obraz Najświętszej Panny malowany,
 I obraz krzyża — pod krzyżem, na dole,
 Herb, jakby srebrne księżycą półkole
 I gwiazda — nad nią hełm ze strusim piórem.

Błysnęły szabli obrazy święcone,
 I padł Starosta na twarde granity.
 Zaśmiał się Tatar, śmiechem obudzone
 Zabrzmiało echo — Był to jęk kobiety.

Była to maska nieznana nikomu,
 Którą brylantów moc wielka pokrywa.
 Śmiech usłyszała i jakby od gromu,
 Zadrżała, padła na głaz jak nieżywa —
 A Tatar przybiegł i padł na kolana:
 Cuci ją, węzły ścieśnione rozrywa — —
 Twarz jego była straszna, obłąkana —
 Chwycił ją w dłonie, unosił przez ganki!
 Ona jak martwa była w jego dłoni;
 Z głowy różane pospadały wianki,
 I włos się rozwiął, pełny słodkiej woni,
 Rozwiany sphywał aż do stóp Tatara.
 A strasznie bladą była twarz dziewicy!

Budzi się — gdzież jest? w zamkowej kaplicy,
 A przed nią postać jak przeszłości mara.
 Do koła było i straszno i ciemno,
 A księżyc mury oświecał kościoła.
 — «Tyż to mój luby? tyż to jesteś ze mną?
 Zaklinam ciebie, zdejm zawoje z głowy!
 Niech cią obaczę — rysy twego czoła —»
 I zdiął Bielecki turban muślinowy —
 Anna spojrzała, i padła omdlona.
 Znów po niej życia rozlały się ślady,
 I znów po chwili ciężko przebudzona,
 Rzekła: «O luby? tak straszny! tak blady! —»
 — «Ha! blady!» przerwał rycerz z dzikim śmiechem.
 «Wszak zdradzam —!» zamilkł — lecz ostatnie słowo,
 Trzykrotnie głośnem powtórzone echem,
 Przerwało ciszę kościoła grobową.
 A rycerz mówił: «Tak! twarz moja biała!
 Z inną cię twarzą w czas szczęśliwy witał —
 Ja zdradzam! będęż jak róża rozkwitał?
 Na mojem czole napisano — zdrada!
 Kraj cały we krwi —! Wznies na księżyc oczy.
 Patrz na te okna, na szkle malowidła —
 Gdy błysnie słońce, ów anioł roztoczy
 Różane lica, a srebrzyste skrzydła;
 Lecz szklisty obraz przejęty księżycem,
 Teraz do lekkiej widm podobny larwy,
 Ciemniejszym patrzy i niepewnem licem;
 Smutną ma postać, obumarłe barwy!
 Inny jest człowiek gdy o szczęściu marzy,
 Lecz gdy te same, wzniosłe, piękne rysy
 Oświeci nieszczęść lampa? od tej twarzy
 Weselsze będą grobowe cyprysy.
 O! luba moja, po co te rozmowy?
 Luba! chodź za mną wieść życie tułaczy!
 Chodź za wygnańcem potępionej głowy!
 Na twojem łonie dożyję siwizny,
 Siwizny nieszczęść, zdrady i rozpaczy.»
 — «Mój Ojciec!» — «Ojciec? — Ojciec przeklnie ciebie!

I ty się lękasz? — Przeklnie! i cóż znaczy
 Przekleństwo Ojca, braci, lub ojczyzny?
 Chodź w kraj daleki, tam będziesz jak w niebie,
 Znajdziesz tam łąki, gmachy, wonne gaje —
 Są ludzie — wszyscy przyjaciółmi memi!
 Jest wszystko! Luba, czegoż tam nie staje?
 Luba! jest wszystko! wszystko! prócz tej ziemi —!»

V.

KOŚCIÓŁ WIEJSKI.

Była to cerkiew, z modrzewiu jej ściany,
 Już pochylone, wsparte na podpory;
 Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;
 Słońce wzierając przez te szyby drżące,
 Różne już na nich wybiło kolory.
 Nad cerkwią rosły trzy brzozy płaczące,
 Krzyż się przegłądał przez ich szczyt wyniosły:
 Na progu żebrak pacierze powtarza.
 W około smętarz kwiatami zarosły,
 I wiejskie groby błyszczą wśród smętarza.

Daleko słychać wiejski dzwon kościelny —
 Zadzwonił, zewsząd lud śpieszy przez pola:
 Było to święto, był to dzień niedzielny;
 Dziś pług spoczywa, zieleni się rola.
 Dziewice ołtarz przystroili w kwiaty,
 Zabrzmiała młodzież do śpiewu gotowa;
 Wyszedł ksiądz ze mszą, pochylony laty.
 Tłumi się coraz pieśń ludu niknąca —
 Ucichła — — Księdza tylko słychać słowa,
 Cichy szmer brzozy co o szyby trąca;
 Niekiedy dzwonek jęklivy uderzy,
 Niekiedy starzec księdzu odpowiada;
 Świergocą wróble, i pod szczytem wieży
 Pierzechnie jaskółka i w gzymsy zapada.

Msza się kończyła. — Oto w nizkie progi,
 Jacys wędrowce weszli do kościoła —
 Jeden padł na twarz, całował podłogi,
 Drugi ponury, nie uchylił czoła.
 Gdy się przypadkiem płaszcz odkrył, strój drogi
 Błysnął z pod płaszcza, i twarz nie wesola.
 Bali się zasiąść w ławki, lub nie śmieli,
 Bo oba kornie przy progu stanęli.

Ksiądz modły skończył, mszał bogaty złożył,
 Teraz zaczyna mówić Boskie słowo: —
 «O Bracia! dzieci! i tegożem dożył,
 Ja stary wiekiem z ubieloną głową?
 Że kiedy nieraz osładzałem troski,
 Dziś żal pod strzechę niosę w Bożem słowie.
 Tu niegdyś siadał — oto ławka pusta,
 Nasz pan, Bielecki, niegdyś pan tej wioski.
 Zdradził kraj, wiarę: Ksiądz Prymas w Krakowie
 Wyklął go, klątwę na me przesłał usta.
 Raz go ostatni bez klątwy wspominam,
 Módlcie się! ja się będę modlił z wami —
 A teraz Bracia! dzieci! ja przeklinam —!»
 Zachwiał się starzec i zalał się łzami,
 Zabrzmiało Amen — lecz amen żałoby!
 Jakże niechętnie? dźwiękiem ledwo żywe;
 Potem się wzniosły łkania żałobliwe,
 Jakby w dzień sądu otwarły się groby.

Ale zaledwo podniosło się łkanie,
 Zaledwo doszło przed oblicze Boga,
 U progu nowy zgiełk i zamięszanie.
 Jeden w wędrowców co stali u proga,
 Zadrżał i upadł bez czucia na głazy;
 Drugi zaś drżący i błady straszliwie,
 Kląkł nad nim, ciche przemawiał wyrazy,
 Twarz towarzysza ukrywał troskliwie.

Ksiądz na ratunek śpieszył od ołtarza.
 Zaraz na smętarz niesiono wędrowca,

I tam na zimnym kamieniu grobowca,
 Kładą martwego wśród kwiatów smętarza.
 Cieniem świeżości okryły go drzewa,
 Cieniem co groby kwitnące okrywa;
 Wiatr go ochłodził co w grobach powiewa;
 Z pomocą pasterz troskliwy przybywa,
 Spojrzał i zadrżał — jakby błyskiem gromu
 Twarz go ta razi — twarz błąda, nieżywa:
 I rzekł: «Wyklęty! — my idźmy do domu! —»
 Wnet się oddalił tłum kościoła wierny,
 A ksiądz wychodził za kmieciów gromadą;
 We wrotach stanął, twarz odwrócił błądą,
 I rzekł poważnie: «Bóg jest miłosierny!
 A jego litość, liczniejsza nad ziarna
 Morskiego piasku, i głębsza nad morza —!»

Jeden z wędrowców spał wśród mogił łoża;
 Oto z drugiego spadła szata czarna,
 I twarz odkryła — Przebóg! to dziewica!
 To Anna! z ust jej nie słyszano słowa,
 Czy brak w niej czucia? bo sucha żrenica,
 Twarz nieruchoma — jakby marmurowa,
 A w oczach ogień gorączki się pali.
 Jeczce na czole miała zwiedle kwiaty,
 I brylantami oświecone szaty!
 We włosach jasne przepaski z koralu.

«O mój najmilszy!» rzekła «o mój drogi!
 Jesteśmy sami — już jesteśmy sami!
 Tyś na mogile usnął, a w te progi
 Umarli wchodzą i śpią pod grobami. —
 Ty milczysz? luby! odpowiedz mi łzami! —»
 Nagle spojrzała i krzyknęła srodze,
 Potem nań kwiaty rzuciła wonnemi:
 «Luby nie zaśniesz na rozstajnej drodze,
 Sama w święconej pochowam cię ziemi.»

Rzekła; krzyż jeden wyrwała z mogiły;
 Kopie grobowiec wśród świeżej darniny,

Lecz coraz słabsza, coraz mdleją siły —
 I cicho smutne płynęły godziny.
 Zachód ozłocił słońca blask jaskrawy,
 Brzozy po grobach długie kładły cienie;
 Wonnej czeremchy orzeźwiało technienie,
 Szumiały wzniosłe po grobowcach trawy.
 Lecz coraz bardziej ciemnieją kolory,
 I przez liść brzozy, księżyc zaploniony
 Topił się we mgłach, w różne kształty, wzory,
 Lica wysrebrzał — a nocne zasłony
 Okryły cerkiew i groby smętarza.

Już ciemno — Anna sama jedna w nocy,
 Do drzwi cerkiewnych stukanie powtarza:
 Nieszczęsna, Boskiej wzywała pomocy!
 Widna jej postać przy blasku miesiąca,
 Jak mgły ulotnej srebrzyste obrazy.
 Bije we wrota coraz słabszą dłonią,
 Smutne się echo o groby roztrąca,
 Lecz echo coraz słabsze niosło razy;
 I coraz słabsze — nikły — jako w Bogu
 Tonące modły — jako śpiew daleki — —
 Dziewica blada, na kamiennym progu,
 Usnęła — może usnęła na wieki —!

I cicho! niechaj głos pieśni stłumiony,
 Nie budzi ciszy w wieczornej godzinie;
 Całego świata gdy się odgłos spłynie,
 Tworzy tę ciszę co ziemię osłania;
 Lecz myśl głęboko zadumana słyszy,
 Jak gdzieś daleko, brzmia pogrzebów dzwony,
 Jęki rozpaczy i wrzawa wesoła,
 I płacz boleści i śmiech obłąkania —
 I wszystko można rozróżnić w tej ciszy:
 Słuchem anioła i myślą anioła —!

HUGO.

POWIEŚĆ KRZYŻACKA.

I.

U C I E C Z K A.

Młoda dziewczica dziś w klasztorным murze,
Bogu na całe poświęcona życie;
Gdy odrzucała świeże wianku róże,
Łzy z pięknych oczu płynęły obficie;
Gdy pod całunem legła na marmurze,
Ustało prawie drżące serca bicie;
Łzy już nie płyną, lecz bladość straszliwa,
Jak w chwili śmierci jej lica pokrywa.

Już mrok zapadał, już wieczorne chłody,
Wróciły niebu barwy lazurowe.
Przed krzyżowemi kryjąc się narody,
Słońce skwarami utrudzoną głowę,
Chowało w morza Bałtyckiego wody:
Lecz nim się skryło w fale bursztynowe,
Zajrzało w gmachu zasępione skrzydła,
Przez szyb kościelnych ciemne malowidła.

Już lud ze świętych wychodzi podwoi,
Skończone Boskich tajemnic ofiary.

Czemuż ten rycerz nieruchomy stoi,
 O marmurowe oparty filary?
 Twarzy nie widać — ale znać ze zbroi,
 Że to obrońca chrześcijańskiej wiary —
 Lecz w noc tak późną czegoż jeszcze czeka,
 Gdy wszyscy wyszli, on odejście zwleka?

Stał nieruchomy, jako posąg z głazu
 Co strzeże grobów zimnego marmuru.
 Tam coś mignęło? — Nie, to błysk obrazu,
 Co tak pąłotą odbija od muru.
 Jakiś szmer słyhać? — To odgłos wyrazu
 Cichej modlitwy, przyniesiony z chóru.
 A rycerz zadrżał — to może ze strachu?
 W tak ciemną porę, w tak posepnym gmachu?

Już księżyc wstąpił na niebieskie smugi,
 I patrzył w ciche klasztoru ustronie.
 Wychodzi rycerz — z rycerzem ktoś drugi —
 Oba skoczyli z pośpiechem na konie;
 Pewnie miał giermka, pazia do posługi;
 Lecz czemuż pędzą tak śpiesznie przez błonie?
 Czemuż tak prędko z bitej zeszli drogi,
 Biorąc się w lasy i dzikie odłogi?

Z początku żadnej nie wiedli rozmowy;
 Starszy ostrogą zachęcał rumaka,
 A potem nagle gniew gorzkiemi słowy
 Wyrwał się z piersi gorącej Krzyżaka:
 «Z radośnem sercem jam rzucić gotowy,
 Kraj ten przekłety! Chciałbym lotem ptaka
 Z miejsc tych ulecieć, kędy mojej głowie,
 Grożą tajemnych wyroków sędziowie.

«Lubię zakonu turnieje, gonitwy,
 Ale nie znoszę szpiegów tajnej sprawy —
 Od nich uciekam w kraje dzikiej Litwy.
 Lasy mi słodsze nad ciągle obawy.

Jagiello z bratem tocząc krwawe bitwy,
Przyzwał nas w swoje odległe dzierżawy;
Już zamek Trocki do niego należy,
I tam krzyżackich osadził rycerzy.

«Tam ja nad braćmi zakonu przewodzę,
Śledzę Litwinów i spraszam biesiady;
A ufny w silnej i licznej załodze,
Wrogów choć licznych nie lękam się zdrady;
I sąd, co trzymał mych czynności wodze,
Puścić je musiał i stracił ich ślady.
W Litwie podstępem zradnym nie otoczy,
W Litwie nie dojrzy, choć ma bystre oczy

«Oto krzyżackie zniknęły klasztory,
I błyszczy Niemen szeroki przed nami!»
Zaraz się w rzekę rzucił rumak skory,
Parskał i pianę miewał z wód pianami.
Na drugim brzegu czerniły się bory.
Srebrnemi nocy uwieńczone mgłami;
Księżyc posępny płonąc na zachodzie,
Długim się słupem srebrzył w Niemna wodzie.

Nim je grom spali — nim je ludzie wytną,
Piękne są bory, cudny las sosnowy!
Tysięczne kwiaty w jego głębiach kwitną,
Wiatr tajemnicze prowadzi rozmowy —
Tam dzwonki barwą błyszczą się błękitną,
Owdzie kobierce ściele wrzos różowy —
Przez takie bory zarośnięte wrzosem,
Prędkim tętniły kopyta odgłosem.

W pośpiechu szybko mijają rycerze,
Rozległe Książąt na Lidzie dziedziny.
Z wschodzącem słońcem witały się wieże,
Choć cień pod zamkiem zalegał doliny;
Ze słońcem jeźdźców migały puklerze,
Słońcu nadbrzeżne kłaniały się trzciny —

Nie jeden pączek przed słońcem rozkwita,
Błyszczą się ziemia kwiatami okryta.

Lecz prędko szybkie przemknęły rumaki.
Znikł obraz Lidy jak senne marzenie,
Znów ciemne bory, zarośla i krzaki,
I jednostajne rumaków tętnienie.
Słońce, przebiegłszy lazuruje szlaki,
Już za Ponary chowało promienie;
Już dzień na ziemię spuszczał się ponury,
Gdy starszy Krzyżak wskazał zamku mury.

«Patrz! oto pyszna Kiejstutów stolica,
To ich dzierżawy, kędy zajrzysz okiem.
Nad zamkiem wieża — to pogan kaplica;
Tam między gęstym kadzidlą obłokiem,
Boga piorunu szczerozłote lica,
Patrzą się jasnym brylantowym wzrokiem.
Widzisz to wielkie błękitu przestworze,
To Trocki zamek! a to — Trockie morze!»

II.

RYCERZ SĄDÓW TAJEMNYCH.

Stokroć weselsze są Malbarga gmachy,
Niż te posępne Kiejstuta komnaty;
Ani je srebrne rozjaśniają blachy,
Ani kobierców złocą jasne szaty.
Sala zamkowa jak głuche więzienie:
Wiatr po niej szumi i wolno przewiewa —
Jej głębie wieczne zalegają cienie;

A setne z ziemi wybiegłszy filary,
 To się zrastają jak altany drzewa,
 To się snów dzieląc na setne konary,
 Wspierają różnie łamane sklepienie.
 A okna, cięte w gwiazd rozlicznych wzory,
 W dzień dają światło słabe jak o świcie;
 Inne okrągłe lśni w tęczy kolory —
 Dziś okna, jutro strzelnice w potrzebie.
 A jedno w sklepień zasępionych szczycie,
 Tak błyszczy zdala, jak miesiąc na niebie.

Choć noc głęboka, choć w tak późnej chwili,
 Jeszcze się lampa w ciemnym gmachu pali;
 I dwaj rycerze czuwają na sali —
 Dwaj, którzy wczoraj jeszcze z Prus przybyli.
 Starszy miał szyszak i pancerz stalowy,
 I płaszcz szeroki z wizerunkiem krzyża;
 A ile razy do światła się zbliża;
 Na piersiach miga krzyż diamentowy,
 I miecz u boku obosieczny, długi.
 Znam go! to Komtur zakonu Krzyżaków,
 To młody Hugo — — Lecz kto jest ten drugi?
 Ile z widocznych poznać mogłem znaków,
 Nie miał on jeszcze ostrogi rycerza,
 Ani swej piersi krył ciężką koleczuga;
 Ubiór miał pazia — lecz pan mu się zwierza,
 Pan z nim rozmawia nie tak jak ze sługą.
 Słowa Hugona skryte, tajemnicze —
 Często na pazia spogląda oblicze.
 Bo też oblicze tak piękne, czarowne,
 Spojrzenia pazia tak czułe, dobitne!
 I oczy jasne, jak niebo błękitne,
 Ćmią długie rzęsy, gdy nadto wymowne;
 Włos jego spływa w złociste pierścienie —
 Ale na twarzy smutek, zamyslenie.

Jakież to rycerz w tę porę przybywa?
 Czarną miał, ściśle zamkniętą przyłbicę,

I czarny pancerz i naramiennice —
 Olbrzymią postać żelazo okrywa.
 Schylił się, wchodząc pod wielkie filary,
 Stał w milczeniu i załamał dłonie.

— «Czegoś tu przyszedł? Rzekł Hugo ponuro,
 «Czyś jest brat rycerz chrześcijańskiej wiary?
 Co mi przynosisz?» — «Twoją śmierć Hugonie! —»
 Czoło komtura okryło się chmurą,
 I rzekł do siebie: «Wybadać go muszę — —
 Twa mowa, bracie, śmiercią mi zagraża?
 Czyliś gdzie widział Bodelszwingu gruszę?
 Czyli z Saudkirchen powracasz smętara?»
 Na te nazwiska rycerz spuścił dłonie,
 I milcząc, tylko dwakroć głową skłonił —
 Pielęgnowany troskliwie w wazonie,
 W oknach zamkowych kwiat róży się płonił.
 Zerwał go Hugo i rycerza bada;
 A rycerz milczy — milcząc wziął kwiat róży,
 Do piersi niesie i do ust przykłada.
 Czoło Hugona posępniej się chmurzy,
 Zgasły na licu rumieńca szkarłaty;
 Ale dowodów jeszcze nowych szuka.
 — «Powiedz rycerzu czyliś jest bogaty?
 Gdzie twoi bracia? gdzie twoja rodzina?»
 — «Bogactwem mojem jedna złota sztuka,
 Bogactwem mojem są trzy miary wina;
 A brat mój tutaj na mieczu wryty;
 W jednej ma ręce wieniec z róż uwity,
 A w drugiej sztylet co w krwi wroga tonie.
 Tacy rycerze są braćmi mojemu!

1. Pod gruszą Bodelszwingu i na smętara Saudkirchen odbywały się wielkie sądy trybunałów tajemnych. Cała powyższa rozmowa jest wyszczególnieniem znaków tajnych, po których sędziowie ukrytych zbrodni, jak dzisiejsi wolni mularze, poznawali się pomiędzy sobą.

2. Róża była godłem trybunałów.

3. Każdy przyjęty do bractwa tajnych Sędziów, powinien był wkupić się jedną sztuką złota i trzema miarami wina.

Taka rodzina jest w Czerwonej ziemi.¹
 Czy dosyć na tem? Czy znasz mię Hugonie?

Znasz mię! i dom mój i moją rodzinę.
 Słuchaj więc — krótkie są wyroku słowa,
 Zbrodnia spełniona i kara gotowa.
 Znasz wielkość zbrodni — umrzesz za godzinę!
 A ty, co pazia pożyczasz ubiory,
 Ażeby kazić ludzi świętej wiary;
 Tam zkąd przybyłaś, wracaj do klasztoru!
 Tam cię czekają wstyd, hańba i kary.»

Wyszedł, a Hugo jak ze snu się zbudził.
 «Czy słyszysz luba odgłos jego kroków?
 Słyszysz! to poseł okropnych wyroków!
 On mi śmierć przyniósł, gdym się szczęściem łudził.
 O łatwiej! łatwiej było skonać wczoraj —
 Dziś szczęśliwsiemu trudniej mi umierać.
 Patrz! księżyc zaczął przez szyby przezierać.
 Słyszysz jak szumią tam fale jeziora?
 Księżyc mię żegna, żegnają mię fale.
 A sen mój jaki będzie za godzinę? —
 Lecz próżno! próżno! Ja marnie nie zginę;
 Mielizby życiem zarządzać zuchwale?
 Czekaj tu Blanko, zostawiam w tej sali
 Ten płaszcz — on w boju płatał by mi dłonie;
 Ten hełm z piórami z nadto kruchej stali,
 I miecz ten nadto lekki na ich głowy.
 Weź moja luba, i krzyż brylantowy;
 On długo! długo błyszczał mi na łonie;
 Może ci kiedy przypomni po zgonie — —
 Nie, ja żyć będę, chcę żyć moja luba!
 Wszak jam w krzyżackim shodował się domie,
 I nieraz sławy szukałem za domem.
 Mam miecz, co zdziwia Polaków ogromem;

¹⁾ Tak nazywała się Westfalja, główne ognisko trybunałów tajemnych, a nazwanie to wzięta od czerwonego koloru swoich herbów.

Mam zbroję, której stal tak twarda, gruba,
 Że jej żelazo żadne nie przełomie.
 Gdy się tak Hugo na boje ustroi,
 Nie wydrą serca z pod żelaznej zbroi.

«Jest jeszcze inna ocalenia droga.
 Może w świątyni pogańskiego Boga
 Można się ukryć, w jej lochach podziemnych,
 W krętych przechodach i kryjówkach ciemnych.
 Ta droga bardziej pewna i ostrożna —
 Wszak zdradą zdrady uchronić się można.»

To rzekł i wyszedł. Straszna zbroję wkłada,
 W której już nieraz występował w szranki;
 Potem zbiegł szybko przez zakryte ganki,
 Do świątyń Boga, który gromem włada.
 Tu ogień Znicza dymny i ponury —
 Czarne filarów łamały się cienie.
 Szedł rycerz, ciemne przeglądając mury —
 Może w tych murach tajemne schronienie
 Zbiegów bezpiecznie do świtu zatrzyma?
 Lecz przebóg! zadrżał: kamienne bożyszcza,
 Stojąc w około święconego zgliszcza,
 Żywemi w niego patrzyły oczyma.

III.

Z G O N .

Nadeszła straszna godzina wyroku.
 Znów wszedł do sali mściciel tajnych zbrodni,
 Wszedł pod filary i zatrzymał kroku —
 Przy świetle błado tlejącej pochodni,

Na dłoni rycerz oparty spoczywa —
 Ofiara śmierci. — Znany płaszcz komtura
 Z posępnym krzyżem na barkach mu spływa;
 Na hełmie znane kołyszą się pióra,
 I dobrze znany krzyż na piersiach miga,
 I dobrze znany miecz u jego boku.
 Lecz czyliż męztwo tak prędko ostyga? —
 Hugo, ów śmiały, mężny przed godziną,
 A teraz śmierci lęka się widoku?
 Dla czegoż kryje lica w obie dłonie?
 Czy łzy zasłania, co po twarzy płyną?
 Cichość ponura — « Czyś gotów, Hugonie?
 Biada ci! milczysz!» Błysnął zamach stali.
 Krzyżak się długo nad trupem nie bawił,
 Sztylet mu w piersiach rozdartych zostawił,
 Spojrzał — i zwolna wyszedł z krwawej sali.

Lecz przebóg! drzwi się otwarły zarazem:
 Wszedł młody rycerz. To on! Hugo młody!
 Cały hartownem odziany żelazem,
 Męztwem młodzieńcze płynęły jagody.
 Wszedł, spojrzał bystro: «Blanko! Blanko droga!
 Po co ten ubiór? te pióra? ta zbroja?
 Czemu tak milczysz? Ach, na miłość Boga!
 Odpowiedz słowo? Droga! luba moja!
 Odpowiedz słowo! Przebóg! twarz jak sina?
 Jej dłoń jak zimna! i szklisty blask oka!
 I sztylet w piersiach! Więc biła godzina —!
 On był tu — — » Zamilkł; tak boleść głęboka,
 I żal tak ciężki jego serce ścisnął.
 Piersi pracują jak wzburzone fale;
 Na chwilę w oczach płomień zemsty błysnął,
 Lecz go zgasiły nowe łzy i żale.

«Może myślała Blanka nieszcześliwa,
 Że mnie swym zgonem od zgonu zachowa?
 Nie, kiedy szczęścia zerwane ogniwa,
 Ja mam żyć? — Luba, bądź zdrowa, bądź zdrowa!»

Księżyc nad rankiem srebrzył zamku wieże,
Niech on nam powie dalszy los Hugona.
Zbójcecy sądów zniknęli rycerze,
A strasznym losem pana przerażona,
Cała się służba rozbiegła z wieczora — —
Hugo już nigdy nie powstał w zakonie,
Gdzież się więc podział? Niech powiedzą tonie!
Niech mówią Nimfy Trockiego jeziora!
Płakały po nim — a gdy z nocy końcem
Słońce promienną ukazało głowę,
Długo w dzień jeszcze ich lży brylantowe
Na srebrnych liljach lśniły się przed słońcem! —

DO

MICHAŁA ROLA SKIBICKIEGO,

PODPULKOWNIKA WOJSK RZECZYPOSPOLITEJ

KOLUMBIJSKIEJ,

POŚWIĘCAJĄC MU POWIEŚCI WSCHODNIE

MNICA I ARABA.

I znowu ciebie ziemia przywołuje stara,
Z Kolumbijskiej krainy, z grobu Boliwara;
Z nowych światów, żadnemu nie uległych panu,
Gdzie pył tronów nie spada jako proch Wulkanu,
I nie pokrywa grodów — ani grom tronowy
Szuka pomiędzy tłumem wyższej nad tłum głowy.

Dopóki światów nowych ludzie nie przeculi,
Myśl nie śmiała biedz skrajem przewróconej kuli.
Na kartach kładł rytownik chmurną dłoń olbrzyma.¹
Myślano że Bóg ziemię tamtą stroną trzyma,
Jak czarę, wręcym stworzeń napełnioną tłumem.
Dopiero Genuńczyk przeniknął rozumem
Tajemnicę tej dłoni, i z jej skrzepłych palców
Wyłamał świat drzew, złota, brylantów, padalców.

¹ Na kartach przed odkryciem Ameryki kreślonych, na ogromnej przestrzeni Atlantyku rysowano dłoń olbrzymią z otwartymi palcami. Ta dłoń przerażała rozognioną podówczas fanatyzmem wyobraźnię ludzi.

Europejska zbrodnia napelniła lasy,
 Pod Korteżów mieczami padały Inkasy:
 Czarni misionarze duchownemi berły,
 Z łona muszel skrwawionych nieraz pruli perły.
 Potop krwi religijny świat wyludnił młody.
 Dzisiaj z krwi odrastają zielone narody —
 Snać płodne serce nowej ziemi nie ostygło.

Lecz myśl twoja żeglarską obłąkana igłą,
 Zwracała się na północ — — Przebywasz otchłanie
 Drogą, po której niegdyś biegli Luzytanie.
 Myślą budzisz tajemnie tłum na dnie korali,
 Oczyma Kamoensa czytasz w drżącej fali.
 I może przed delfinem napiersnym okrętu
 Powstał duch Luziady, ów olbrzym odmetu,
 Co niegdyś wróżbą nieszczęść tłukł Hiszpanów statki,
 A dziś może ci wróżył śmierć ojczyzny matki.¹

To ląd! Czy słyszysz ztamtąd jaki gwar i wrzawa?
 To stary świat! spróchniały jak rozbita nawa.
 Żagiel, który ją nosił przez wypadków fale,
 Spróchniał dziś, na odległej mórz zatknięty skale.
 Dziś go ziele zarasta. — Stara, obumarła,
 Długowieczną płodnością ziemia się pożarła —
 Walcząc o skąpe reszty płodów, się wysieczem!
 Tu drobnych państw granice karły kreślą mieczem.
 Z tą dziką ziemią kraj twój porównywaj złoty:
 Tam słońce twarz ociemnia, tu czernią zgryzoty;
 Jak struś, co głodny gardziel żwirem pustyni dławii,
 Tu człowiek kamień wzgardy polyka i trawi.
 A te, co na świat stary zbladłem patrzy licem,
 Słońce Europy, pięknym nazwałeś księżycem.

Tyś smutny? O! szaleństwo ciemnej twarzy rysem,
 Pobielanych tu grobów stawać się cyprysem.

¹ W Luzjadzie olbrzym, duch morza, grozi Hiszpanom i śmierć przepowiada za to, iż odważają zapuszczać się w jego królestwo,

Skłoń lico do uśmiechu, w tej szalonej zgrai
 Zamaskowana boleść łatwo się utai.
 Tu śmiech jest znakiem życia — Śmiać się nauczyłem
 Gorzko — niszczyć się — skonom i nie powiem: żyłem.

Lecz twoja dusza marzyć przyuczona szczytnie,
 Jeżeli uschnie obecnie, wspomnieniami kwitnie;
 Myśl wraca po błękitnym oceanów szlaku.
 Teraz się wahasz lekko w jedwabnym hamaku — ¹
 Tu mangolii róże, a pod palmy cieniem
 Skrzą czarne oczy — światła przecięte promieniem,
 Jak gwiazdy nad odbieglą od kraju żeglarzem.
 Teraz płocha, z piór złotych uwitym wachlarzem,
 Prysnęła wonią kwiatów, czysta myśli z czoła,
 Smutna, jeśli uśmiechu śmiechem nie wywoła.
 Tyś ją opuścił? — Jako perła odrzucona,
 Będzie gasła powoli — i zamrze — i skona.
 Gdy pamięć za daleko w kraje marzeń wkroczy,
 Nim ją odwołasz, łzami zalane masz oczy.
 Lecz te łzy muszą oschnąć w rzeczywistej burzy:
 Tu świat jak ciemny obłok gromami się chmurzy.
 Wzmagaj siłę ciężarną pracującą w ziemi,
 Dawniej fanatyzm, wolność czasy niedawnemi.
 A gdy się ta rozwiąże, wałem otocz grody,
 Na prędko-stawnych mostach rzucaj szyk przez wody;
 Niechaj ulotna para z paszcz działowych gromów
 Rzuca zgon, nakarmiona pożarami domów.
 Czy maską tajemniczej zemsty osłonięty,
 Jak dawny sąd tajemny, w same królów trony,
 Zapozew przed sąd Boga wbij ostrzem sztyletu.
 Czekaj! może Muezin ² z szczytów minaretu,
 Ogłosi pacierz zemsty, wśród murów Stambułu.
 Czekaj! może z dzikiego w Kaukazie Aułu, ³
 Ujrzymy błyskawicę — Ciszej! — Zdradzam myśli,

¹ Rodzaj krzeseł używany w Kolumbji i stosowny do gorącego klimatu krajny: jest to siatka jedwabna zawieszona na dwóch kwiecistych drzewach.

² Muezin, zwołujący pieśnią lud na modlitwę Proroka.

³ Auł, wioska Czezeńców.

Które mi wyobrażenia, które zemsta kreśli;
Zemsta chciwa pokarmu, drżąca jak zmysł głodu.

Chcąc myśl obłąkać, czytaj dziką powieść Wschodu,
A choć odbiegiesz treści, dźwięk rymów powrotny
Będzie jak szmer fontanny bezmowny, lecz smutny! —

M N I C H.

POWIEŚĆ WSCHODNIA.

Jeden z braciszków zakonu w klasztorze na górze Sinaj w Arabji, trudniący się, zwyczajem średnich wieków, przepisywaniem dzieł starożytnych pisarzy, na ostatniej karcie przepisanej księgi dodaje następujące słowa.

W samotnej celi w Sinaju klasztorze,
Czekam posępny aż wiek mój przeminie;
Modłę się, patrząc na czerwone morze,
Albo na skwarne Arabów pustynie.
Oto jest owoc pracy zakonnika;
Oto na białym księgi pargaminie,
Co się na klamry srebrzyste zamyka,
Są dzieje Rzymian, są dumania Greków,
Wskrzeszone myśli, które się zatarły,
Wskrzeszona pamięć dawnych wielkich wieków,
Które bez pisma jak ludzie pomarły.
Moja to praca nadal je zachowa!
Pod mojem piórem wzrastały wyrazy —
Różnie barwiłem początkowe słowa;
Po ścianach błyszczą święcone obrazy —
Purpurę, złoto i drogie błękity,
Łączyłem cudną malowidła sztuką.
Księga ta będzie dla wieków nauką —
Księgę tę pisał mnich w celi ukryty.

Oto została karta nieskalana —
Zapiszę na niej zdarzenie klasztorne.

Było to w roku — Narodzenia Pana —
 W dniu, gdyśmy zbójców odparli napady.
 Gdy już ucichły modlitwy wieczorne,
 Stałem przy łożu śmiertelnem z gromnicą:
 Brat jeden konał, pośpny i blady —
 Tak pod spowiedzi mówił tajemnicą:

SPOWIEDŹ MNICHA.

I.

«W zakonnej celi, pod habitem mnicha,
 Konam samotny — — Włóż kamień pod głowę,
 Niech na nim zasnę — Noc ciemna i cicha.
 Myśl moja wyschła jak źródło stepowe,
 Ja sam jak palma usycham i więdnę.

«Niegdyś na czele pokolenia ludu,
 Ścigałem w piaskach z płócien miasta błędne;
 Niegdyś szczęśliwy, wśród nędzy i trudu,
 Pogardy okiem patrzałem na nędzę.
 A gdy mię rozpacz przycisnę gwałtowna,
 Nie zwykłem jęków tłumić pod namiotem.
 Sam cierpiąc, drugim cierpienia oszczędzę,
 I cisnę sztylet, stal jego hartowna —
 Tak można było pisać na nim złotem,¹
 Jako ty piórem piszesz w twojej księdze.

II.

«Marzyła dusza. Ileż razy w spieki
 Ścigałem w stepach znikome obrazy;

¹ Jest to oznaką prawdziwej damasceńskiej stali, iż potarta złotem, zatrzymuje na powierzchni ślady kruszcu.

Często myślałem że już niedaleki,
 Odpocznę w cieniu kwiecistej oazy —
 Płocze to było i marne złudzenie.

«Raz jednak z wiatru zachodnim powiewem,
 Doszło mię dzikie, melodyjne pienie —
 Wypuszczam konia i gonię za śpiewem.
 Śpiew ten brzmiał w niebie, na ziemi, do koła!
 Coraz doganiam wyraźniejsze tony;
 Wkrótce ujrzałem złoty krzyż kościoła:
 Tym smutnym śpiewem brzmiały wasze dzwony.

«Wchodzę, stanąłem przy ciemnym filarze,
 Już nie pamiętam wrażenia tej chwili —
 W oczach się lśniły złociste ołtarze,
 Wyście śpiewali i światła palili.
 Ściana jak niebo gwiazdami okryta,
 Każda kolumna jak palma stepowa,
 A na jej czole złoty liść rozkwita,
 A pod jej stopą skała marmurowa.
 Promień z barwionych bijąc szyb kościoła,
 Niósł z sobą obraz na szkle malowany,
 A potem w dymie kadzideł zbłąkany,
 W mglistych błękitach utworzył anioła.
 Nie znałem wówczas sztuki malowidła:
 Widziałem tylko, że anioł nademną
 Roztaczał złotem malowane skrzydła,
 Spływał i patrzył w duszę moją ciemną — —
 Wtenczas rzuciłem ojców moich wiarę!

III.

«Ty mówisz mnichu, że to dzieło cnoty?
 Ale Bóg ciężką zesłał na mnie karę!
 Dni moje gorzkie zatrwały zgryzoty:
 Wszyscy odbiegli, bracia się zaparli —
 Sam ojciec przeklął: — Idź, wyrodne dziecko!

Idź w świat i zostań sam jeden na świecie! —
Przeklął — i wszyscy przedemną pomarli.

IV.

«Jej piękność wiecznie tkwi w sercu wyryta!
Piękność dziewczicy jest jak piękność kwiatu:
Cudnie się błyszczy, lecz prędko przekwita.
Ale gdy róża strojna w liść szkarłatu,
Utonie kiedy do mogiły piasku,
Jeżeli ją tuman nakryje stepowy,
Róża w nim uschnie, lecz nie straci blasku;
Wiecznie zachowa swój liść rubinowy,
Jak gdyby wczoraj rosła wśród oazy,
Jak gdyby wczoraj zerwana na błoni:
Tak postać Zary kwitnącą, od skazy,
Mogila myśli gasnących ochroni. —

«Pamiętam dotąd jej dziecinne słowa.
Patrzac na śnieżne gór Iranu szczyty,
Raz mię pytała: «Tam, pod gwiazd błękity,
Co to za lampa błyszczy kryształowa?
Patrz, jakim blaskiem gór wierzchołek spłonął!
Zapewne księżyc w ich łono utonął,
I w alabastrach błyszczy się ukryty — »

«Nie przeszła chwila, już byłem na górze,
Wśród śniegów, lodu — i w tak prędkim biegu
Wróciłem nazad, że doliny róże
Kwitły, utknięte w wazonie ze śniegu.

V.

«Ja miałem brata — Całe pokolenie
Było mi niegdyś jak wierna rodzina,
Dzieliło razem i głód i pragnienie;

A teraz każdy z braci mię przeklina,
I chce mi szkodzić jawnie lub obłudnie.

«Raz zapędzony na łowach daleko,
Wracałem w skwarne pustyni południe.
Koń mój z pod kopyt miotał piasek wrzący —
Chwiał się, znużony pragnieniem i spieką,
W rozwarte nozdrza chwycił wiatr gorący.

«Wtem jedzie Arab przez pustyni błonia.
Rzekłem do niego: «Słuchaj, bracie młody!
Musisz mieć wodę — daj mi kroplę wody.
Widzę że pełne twe juki podróżne;
Wody! nie dla mnie, lecz dla mego konia.» —

«A on mi na to: — «Czary moje próżne;
Ostatnia pełna, ciskam ją o głązy.
Umieraj zdrajco. Giaur niechaj nie żyje!
Gdybym gdzie wiedział pobliskie oazy,
Z których ty pijesz, albo koń twój pije,
Zatruję wody — — Bogdaj nie ochłódło
Niebo, z kąd chłodu twa dusza wygląda.» —

«Krzyknąłem wściekły: «W żywocie wielbłąda
Dla mego konia znajdę wody źródło!»

«I obaj zbrojni zwarliśmy się razem,
Jako dwa wichry wśród piasków tumanu.
Upadł przeciwnik przebity żelazem —
Koń mój pił wodę!!! Turban wroga złata!
Patrzę się — przebóg! ta twarz z pod turbanu
Dobrze mi znana — — Już nie miałem brata.

VI.

«Lecz koń mi został i biegł przez pustynie,
Koń, który myśli Araba przenika.

Jak struś na stepach, gdy skrzydła rozwinie,
Ledwie się ziemi stopami dotyka;
I grzywa konia z wiatrami igrała.

«Lecz przebóg! koń mój chwieje się, upada.
Patrzę! a w piersiach tkwi zbójecka strzała.
Ojciec mój! Ojciec! okropna to zdrada!
Tę strzałę w twoim widziałem kołczanie!

«Rumaka mego przeszło śmierci drganie,
Parsknął i głowa na piasku zaległa.
Wtenczas spojrzałem na pustyni błonia,
Pierwszy raz mi się zdała tak rozległa —
Stepy bez końca — — Już nie miałem konia.

VII.

«Patrz! czy to śmierci posłaniec ponury
Wleciał do smutnej celi zakonnika?
Motyl, nie strojny w złoto ni w lazury,
Ledwo z jedwabnej dziś zmartwychwstał truny,
I znów tak blisko pogrzebu świecznika.
Skrzydła czernieją jak zmarłych całuny,
I ma na skrzydłach pisany gniew Boży,¹
Co mu tak cięży, że je w ogniu pali — —
Tak dziki Arab, gdy się los rozsroży,
W dzień jest spokojny i zatłumi jęki;
Lecz gdy noc ciemne przywdzieje zasłony,
Lśni przed nim jasność samobójczej stali;
Patrzy posepny na niebios sklepienia,
Twarz ma pobladłą i wzrok zapalony,
I widać drżenie wstrzymywanej ręki,
Silne, jak drżenie głodu czy pragnienia.

¹ Na skrzydłach wielu motyli, a mianowicie szarańczy, znajdują się niewyraźne znaki. Lud prosty wierzy, iż to są litery arabskie i że zawierają napis «Gniew Boży».

VIII.

«Piękny nasz kościół! U stóp jego wały
 Spienione miecą na głazy ukropy;
 Stoi na skale, jego krzyż nad skały,
 Jak ptak uleciał aż pod nieba stropy.
 A cudne palmy, pustyni królowe,
 Przy nim się zdają jak powiewne zioła;
 Czołem zmiatają ganki marmurowe,
 Jak gdyby chciały w prochu złożyć czoła. —

«Lecz wczoraj —! Wspomnij godzinę przestrachu,
 Kiedy na kościół napadli Arabcy.
 Straszliwy odgłos rozbiegł się po gmachu,
 W klasztornej sali zebrali się mnichy —
 Ale cóż znaczył mnichów odpór słaby?
 Już miano wydać kościelne kielichy,
 Gdy ja stanąłem: «Bracia! czyż niegodnie
 Mamy się poddać? Niech nas Bóg ośmiela!
 Weźcie do ręki psalmy i pochodnie,
 I czarne szaty i krzyż Zbawiciela!»
 Rzekłem, i zbrojny rzuciłem się pędem
 W sam tłum Arabów, niósłem ślepe ciosy.
 Za mną się światła snuły długim rzędem,
 I brzmiały hymnów pobożne odgłosy.
 Pod mieczem mnicha legł nie jeden zbójca;
 A kiedy wodza spotkałem na błoni:
 Mnichu widziałeś! On poległ z tej dłoni —
 W twarz mu zaglądam — — Już nie miałem ojca.

«A gdy nieszczęściu nie mogłem uwierzyć,
 Rzekł mi, konając: «Synu! kryłem lica,
 Abyś się w boju nie wahał uderzyć,
 Abyś wyrzucił sobie śmierć rodzica.
 Teraz, gdy możesz! teraz zapominaj
 O zmarłych — ciesz się z tymi, co zostali —»

«Ona — umarła — od zgryzot? od stali?»
 «Nie wiem, nie pytaj — lecz ojca przeklinaj!» —

IX.

«I pokolenie płacze po swym królu;
 A jam ostatni z królów pokolenia,
 Jako pszczoła matka, gdy w wymarłym ulu,
 Siedzi posępna nad córek grobami.
 I sama szuka grobowego cienia!
 Ale łza moja pamięć przodków plami.
 Myśl moja niegdyś tak cudna, skrzydlata,
 Błąka się w zbrodni i jak kwiat przekwita.
 Dzisiaj w księżycu widziałem twarz brata;
 Lecz kiedy oko podobieństwo czyta,
 Znowu spostrzegłem rysy ojca twarzy.
 I znów się głębiej oko moje wkłada:
 I znowu patrzy, znowu dziko marzy,
 Z łona księżycy wykwita twarz błąda —
 I znów poznałem — to były jej rysy!
 Smutne pamiątki wzrastają bez końca,
 I tak się krzewią jak czarne cyprysy;
 Już duszy mojej odjęły blask słońca.

X.

To moje życie — Teraz śmierć się zbliża.
 I czuję w sercu nieznaną tęsknotę.
 Wyznam ci mnichu, choć ściskam znak krzyża,
 Noszę na piersiach amulety złote,¹
 Przez nią mi dane, jej ostatnie dary.
 A w nich koranu drzemie myśl zamknięta,
 Nie drżysz — myśl godna chrześcijańskiej wiary.

¹ Amulety są rodzajem talizmanów; urobione z drogiego kruszcu, zamykają najczęściej wiersz koranu.

Tak mówi Prorok: «Dusza wiernych święta,
 «Niechaj miłością nienawiść odpłaca;
 «Niech jako muszla srebrzystego łona,
 «Kiedy pod ciosem chciwych ludzi kona,
 «Morderce swoje perłami zbogaca.»
 Mnie przyjaciele zdradzili najszczerzi —
 Mnichu, ty gniew mi ukazujesz z czoła,
 Więc zerwij! zerwij talizmany z piersi!
 Muzułman gdy się z amuletem dzieli,
 Słyszy ostatnie westchnienie anioła —
 Zerwij. — Co słyszę! czy to wiatr w tej celi
 Smutnie zaszumiał? — Słyszałem westchnienie!»

XI.

CIEŃ DZIEWICY ARABSKIEJ.

«Ciebie głos westchnień tłumionych zasmucił?
 Zniknęłam niegdyś jak senne marzenie,
 A obraz drżący i zbladły powrócił
 Do twojej myśli, gdy masz zawrzeć oczy,
 Aby cię znowu do snu ukołysał.
 Pomyśl! sen wieczny wkrótce cię otoczy,
 A ty się wiersza pozbywasz koranu?
 O luby! pomyśl kto ten wiersz napisał,
 Wspomnij na piękne krainy Iranu!
 I patrzaj na mnie — tu jestem, tak blisko!
 Czyliż ci moje nieznane wyrazy?

«Pamiętasz skwarów stepowych igrzysko?
 Te cudne, błędne pustyni obrazy,
 Których cień miły podróznego nęci,

A gdy się zbliży, we mgłach się rozplywa:¹
 W nich teraz żyję, w nich cień mój przebywa,
 Blady, jak iskra gasnącej pamięci.

«Oto przybyłam na blasku księżycy —
 Patrzaj! cień Zary ciebie nie przerazi,
 Śmiertelna bladość twarzy mi nie kazi.
 Chciałam być piękną — ukraśliam lica
 Kolorem róży czarownego kraju;
 Chciałam być piękną — ożywiłam oczy
 Promieniem rosy — woń moich warkoczy,
 Jest tak łagodną jak tchnienie róż maju.

«Pomysł mój luby! chwila już się zbliża —
 Czyliż być mamy wiecznie rozłączeni?
 Odrzuć daleko ten czarny znak krzyża!
 On nas rozdziela — odrzuć go daleko!
 Pójdziemy błdzić, para błędnych cieni,
 W błędne krainy. — Tam przed skwarną piekłą
 Wiecznie nas kryją z mgły uwiane drzewa;
 Wśród kwiatów źródła z sennym szmerem płyną —
 Jażmin srebrnymi kwiatami powiewa —
 Inne tam słońce lśni nad tą krainą,
 Inny tam księżyc srebrzysty jaśnieje;
 Jak eter czyste wody kryształowe,
 Czarne cyprysy i drzewa palmowe,
 A wiatr liśćmi wonnych kwiatów wieje.

«A gdy twa dusza już od ludzi stroni,
 Będziemy żyli samotni w tym raju.
 Ani Araba koń nas nie dogoni!
 Gdy będzie ścigał, próżno się utrudzi,
 Na skrzydłach wiatrów, po piaszczystej fali —
 Kraj nasz czarowny, i mieszkańcy kraju,

1. Wielu podróżnych wspomina o tych dziwnych zjawiskach przyrodzenia. Pielgrzym dręczony pragnieniem, często spostrzega w pustyni niedalekie jeziora a nawet obrazy palm, które za zbliżeniem się wędrowca nikną. — Są to może krainy duchów.

Spłyniemy w stepy — coraz dalej! dalej!
Żeby już nigdy nie napotkać ludzi.

«Ach pomyśl! pomyśl nad szczęścia obrazem,
Powiedz mi słowo — sen twój nie daleki —
Ty milczysz — Chcesz nas rozdzielić na wieki?
Pomyśl! — już nigdy nie będziemy razem,
I nigdy nasze nie złączą się duchy —
Ty milczysz —!»

MNICH.

Boże! zniknęła — O Mnichu!
Precz mi z gromnicą! precz ze słowem skruchy!
Daj mi truciznę w święconym kielichu,
Albo mi powróć święty wiersz koranu!
Słyszałeś! smutna to była rozmowa!
Słyszałeś? —

SPOWIEDNIK.

Bracie ufaj w niebios Panu.
I sam się łudzisz — i twe myśli, słowa,
Brałeś za płonne wyrazy dziewicy —

XII.

MNICH.

«Ojcze! zgrzeszyłem — — Gniew Boskiej prawicy
Rozkruszy serce obłąkane, wrące —
Mnichu! gdzie koń mój! gdzie koń mój stepowy?
Koń co tak prędko pustynie przelata,
Miećąc kamienie i piaski kipiące!
Wody dla konia! choćby ze krwi brata! —

«Ach szybkie! szybkie odbyłem dziś łowy;
Ledwo wieczorem chmura tu nadpłynie,
Którąm dziś rano wyścignął na wschodzie!

«Mnichu! gdy potok lat prędko przeminie,
Zdaje się krótkim, jako przelot konia;
A ja tak prędko śpieszył się przez błonia,
Anim odpoczął gdzie w palmowym chłodzie.

XIII.

«Naprawdę oczy podnoszę ku niebu,
 Ciężka śmierć moja — z podwoi kościoła
 Dochodzi do mnie smutny śpiew pogrzebu;
 I orszak mnichów niosą kir, kobierce,
 I światła w rękach i zakryte czoła —
 Modlą się za mnie, lecz nawet pozoru
 Nie ma boleści — — Zimne mnicha serce!
 I modły zimne jak mury klasztoru! —

«Nieście mnie w stepy tam szukać grobowca;
 Miło umierać wśród kwietnej oazy.
 Widziałem drzewa co proszą wędrowca
 Zachwianym liściem, by spoczął pod cieniem;
 A gdy się zbliży drżą radości drzeniem —¹
 Tam drzewa czują — tu ludzie jak głazy.

XIV.

«Niech po mnie zabrzmi w pustyni jęk dzwonu.
 A może Arab co się jazdą strudzi,
 Kiedy go odgłos pogrzebowy zbudzi,
 Na pół oekniony, nim znowu zadrzymie,
 Przypomni sprawcę swego króla zgonu:
 Senny, z przekleństwem wymówi me imię!»

1. Tomasz Moor w poemacie Lalla-Rook, wspomina o drzewach, które drżą liśćmi za zbliżeniem się człowieka.

A R A B.

Kłęka mój wielbłąd jak Iman ubogi,
Co się w modlitwie obraca do wschodu.
Jukami garby ładuję do drogi,
Kilka daktyłów w zapasie od głodu;
U boku szabla dobrze wyostrzona,
W kołczanie śmierci ukryte nasiona.

I łzy i rozpacz są skarbnicą moją,
I z tej skarbnicy lud podły obdarzam.
Śmierć niosę nędznym co się śmierci boją,
Wesołych cierpień widokiem przerażam;
Gdy na mej twarzy ujrzą boleść srogą,
Szczęśliwi, bladną i śmiać się nie mogą.

Puścił się wielbłąd na stepów zacisze,
Z pod racie ogień wypryska mu gęsty,
I siodło lekko jak do snu kołysze,
A w zębach żutej trawy słyszę chrzęsty.
Nim księżyc srebrem pomaluje lica,
Więcej ubiegnę drogi od księżyca.

I.

Możnym być muszę, gdy za moją sprawą
Tylu na świecie płakało i płacze.
Raz, kiedy na świat niosłem zemstę krwawą,

Gdym biegł na stepy, wróg ludzkiej uciechy,
 Z łez cudzych winne wybierać haracze —
 Patrząc: nad morzem uklecona z trzciny
 Chata uboga, z ziemi bite strzechy,
 Kwieciste morza okryły rośliny;
 Światło błyszczało przez łatane szyby,
 Po strzechach dym się błękitny rozciągał.
 Ha! czyż mieszkaniem tej nędznej siedziby
 Będzie mi jeszcze weselem urągał?

Nizkiej zagrody przestąpiłem progi,
 Nędza tam była, lecz mieszkaniem chaty,
 Człowiek na pozór nędzny i ubogi,
 Choć ciężką pracą utrzymywał życie,
 Ten drżący starzec, pochylony laty,
 Trzymał garść piasku i śmiał się jak dziecię.
 Był to ubogi nurek, a w tym piasku
 Odgrzebał perły. — O nędzo żebraka!
 Perły — to perły! tak małe? bez blasku? —
 Spojrzałem gorzko na szczęście rybaka,
 I wiodłem starca po nad brzegi morza.
 Patrz, rzekłem, oto z łupów karawany
 Perła ogromna, błyszcząca jak zorza;
 Oto ją rzucam w te wiry, w te piany,
 Dostań ją z głębi, a który z mocarzy
 Perłę zakupi, da ci skarby złota.

Nadzieja w starca zabłysnęła twarzy,
 I wnet się rzucił w wiru fale ciemne.
 Zginęła perła, starania daremne!
 Wypłynął — była na twarzy zgryzota.

Zatrąłem szczęście i pokój człowieka,
 Dałem truciznę, dałem mu nadzieję.
 O! jakże gorzko nad brzegiem narzeka,
 O jak obfite do morza łyż lej!
 Widziałem potem jak poszedł do chaty,
 Z rozpaczą upadł na liściane łóżę;

I wołał z jękiem i płaczem: O Boże!
 Byłbym szczęśliwy! mogłem być bogaty!

Śmiałem się gorzko, był to śmiech szatana.
 Dalej wielbłądzie! dalej na pystynie!
 Może gdzie radość błysnie niespodziana —
 Nie dam ja urosć tej bujnej krzewinie;
 Może gdzie zemsta to serce obudzi,
 Już skamieniałe wśród kamiennych ludzi.

Tak koral niegdyś żył pod morską wodą,¹
 Nieraz się smucił przewidując burze;
 Gdy słońce w niebios błysnęło lazurze,
 Koral jak majtek cieszył się pogodą!
 Ale zerwany wichrami jesieni,
 Skamieniał, błędząc wśród zimnych kamieni.

II.

Pamiętam kiedyś, było to w południe,
 Płynęła zwolna wielka karawana;
 Gdy przyплыnęła nad pustyni studnię,
 Powstała wrzawa ze śmiechem zmieszana;
 Tłum cały bieży prędkimi zawody.
 Potem jak stadem spłoszone żurawie,
 Gwarzy wesoło i zaczerpia wody —
 Ale śmierć była w tej wody przyprawie.
 Była trucizna. — Ha! po co się śmieli? —
 Już piją! piją! jedna twarz pobladła,
 Tam upadł drugi — tam bracia skostnieli,
 I czara drżąca z martwych rąk wypadła.
 Rzekłbyś, że Diwy, że ciemni Anieli
 Na świat zarazy wyrzucili technienie!
 Ani tak liczne na brzegu kamienie,
 Jak były trupy! — Z całej karawany
 Pozostał starzec — młodszy go ubiegli —

1. Zdaniem naturalistów koral jest istotą żyjącą, a każda z jego gałązek składa się z mnóstwa ożywionych stworzeń.

Pięciu miał synów — wszyscy trupem legli —
 Przybiegł nareszcie, gdzie rozbite dzbany,
 Gdzie ciała synów leżały na brzegu,
 O! rozpacz! martwe było całe plemię!
 Chciwie, jak sorbet ochłodzony w śniegu,
 Chwycił truciznę, z synami się złączy!
 Przybiegłem — starca chwyciłem na strzemię,
 I szybko w biegu uniósł nas koń rączy —
 Z pod kopyt iskry rozniecał w granicę.
 Uniosłem starca i puściłem cało.
 Ha! on chciał umrzeć, ja mu dałem życie,
 Gdy w życiu iskry szczęścia nie zostało —

Dalej wielbłądzie! po co zwalniasz broku,
 Gdy mię rokoszne zajmują wspomnienia.
 Tu cicho, pusto — i tylko z obłoku,
 Księżyc posępne czoło rozpromienia.
 Gdy człowiek w stepy od ludzi ucieka,
 Myśl własna wtenczas jest wrogiem człowieka.

Serce jak muszla wyrzucona z fali,
 Pełna, ślimakiem życie zamknie w sobie;
 Cicha — lecz kiedy słońce ją wypali,
 Słuchaj — usłyszysz gwar w kamiennym grobie;
 Rzekłbyś że wspomnień napełniona tłumem,
 Wszystkie zmieszanym rozpowiada szumem.

III.

Dawnemi laty; — jeszcze byłem młody
 Kiedy za strusiem na piaski zagnany,
 Bystrego konia puściłem w zawody!
 Leciał i parską i białemi piany
 Srebrzył skrwawiony munsztuk i wędzidła.

Strus nie mógł skrzydeł rozwinąć, ścigany,
 A koń mój leciał jak gdyby miał skrzydła.

W tem patrzę — między dzikie pustyn głązy,
 Jakby czarowne raju malowidła,
 Kwieciami błysnęły zielone obrazy.

Pod palmą między źródła kryształowe,
 Stała dziewica, królowa oazy,
 Omgłona w lekkie szaty muślinowe.

Twarz z pod zasłony jak księżyc z obłoku,
 W połowie widna, skryta przez połowę;
 A promień szczęścia jaśniał w czarnem oku.

Szczęśliwa! ona kochała Solima!
 Uciekać trzeba od szczęścia widoku,
 Oto koń nawet spina się i żżyma.

Dalej mój koniu — — Sroższy nad tygrysy,
 Leciałem gnany rozpaczą Kaima.
 Koń mię zrozumiał — zaniósł pod cyprysy,
 Tam Solim w cieniu cyprysowym drzymie.
 Dzięki ci koniu! Patrzę, jego rysy
 Błyszcząły szczęściem — zginąłś Solimie! —

Dziewico! wkrótce wróciłem w te strony,
 Chciałem się łzami nacieszyć twojemi:
 «Ha gdzież twój Solim? gdzież twój ulubiony?
 Czy jeszcze jesteś szczęśliwą na ziemi?»

— «Mój luby» rzekła «na piaskach spoczywa,
 A wiatr pustyni jego ciałem miota;
 Lecz skoro pierwsza błysnie gwiazda złota,
 Dusza się jego od ciała odrywa —
 Ty nie wiesz, nie wiesz, jakem ja szczęśliwa!
 Jego duch w niebios niesiony błękiecie,
 Przybywa do mnie, odzywa się w duszy,
 A dusza jego zgaduje przybycie.¹

1. Obraz, który tu następuje, jest oparty na podaniu wschodniem, że upiory wracając na świat, piją krew i dręczą osoby, które niegdyś kochali za życia. Arabowie zaradzają powrotowi na świat upiora ucinając zmarłemu głowę.

«Gdy nie milczenia nocy nie poruszy:
 Gdy nawet serca, co wruszone bije,
 Zanadto głośnem wydaje się bicie;
 On znowu przy mnie, znowu dla mnie żyje.
 Nie są to zmysłów znikome utwory,
 Ja go tu czuję — widzę — on ponury!
 Lekki, jak z mglistej utworzony chmury,
 Ubrany w tęczy złociste kolory.
 Jego głos, długie i długie godziny,
 Jak szmer fontanny duszę mi zachwyca!
 A gdy ustami dotknie lekko lica,
 Zda się że spadły kwieciste jażminy.

«Potem się zbliża i krwi krople pije,
 Ciężkie rozpaczy wydając westchnienie;
 A kiedy od niej błysnie i odżyje,
 Gdy w nim już krążą mojej krwi strumienie;
 Widzę z roskoszą jak źródło wysycha.
 On z piersi moich chwyta wątłe tchnienie,
 I sam z roskoszą tem tchnieniem oddycha;
 Na chwilę moje zatrzymuje serce,
 I jego serce zaczyna bić z cicha.
 Z oczu mi bierze po światła iskierce,
 I jego oko tym się ogniem pali:
 Z lic mych pożycza jasnego szkarłatu,
 I jego lice bierze blask koralu,
 Cały rozkwita podobny do kwiatu.

«A gdy on smutny wini los i siebie;
 Serca Solima zachwycona biciem,
 Słucham uderzeń, szczęśliwa jak w niebie,
 Że Solim jeszcze żyje mojem życiem!
 Wśród nocy, w całej piękności i sile
 Błyszczący, jak niegdyś błyszczał w szczęścia chwile.
 Lecz skoro pierwsze promienie poranka,
 Oświecą niebo w mgły różano-strojne,
 Próżno go tuli do łona kochanka,
 On drży i zwraca oczy niespokojne;

I coraz gaśnie i coraz blednieje —
 I tak jak księżyc kiedy słońce zoczy,
 Blednie i we mgłach topi się i mroczy —
 Tak Solim w mgły się błękitu rozwieje.»

Więc jeszcze szczęścia usnułaś budowę?
 Zniszczę ją! Solim do ciebie nie wróci.
 Znalazłem trupa i uciąłem głowę,
 Upiór mogiły stepów nie porzuci!
 Teraz dziewica cienia nie zobaczy —
 Napróżno czeka każdego wieczora;
 I miała umrzeć w objęciach upiora,
 Przemennie tylko — umarła z rozpacz.

Dalej wielbłądzie! tak pusto do koła —
 Czy już na ziemi szczęśliwych nie stało?
 Żaden jęk do mnie w pustyni nie woła,
 Tylko sęp krąży nad samotną skałą,
 I głośno bije skrzydłami czarnemi.
 Szczęśliwszych nie ma odemnie na ziemi.

IV.

O nie! ta palma musi być szczęśliwa.
 Źródło się kryje pod stopami drzewa,
 Patrz jako liściem miłośnie powiewa;
 Kocha się w źródle, przed słońcem zakrywa,
 Bo słońce wzrokiem wykradłoby wody.
 Lęka się oczu srebrnego księżyca,
 Na liściach spuszcza rosę i ochłody;
 Wodom niebieskie odebrała szaty,
 I dała swoją barwę — swoje lica —
 Kocha się w źródle i stroi się w kwiaty.

Stój! stój wielbłądzie! tę palmę podpale
 O nie, zasypię źródlane kryształ.

I skona palma w piekielnym upale —
 Wkrótce z jej czoła kwiat opadnie biały.

Zostanie sama wśród pustej krainy,
 Jak ja sam jeden zostałem wśród świata.
 Niech cień uwiedłej wskazuje godziny,
 Jak cień cierpienia wskazuje mi lata.

Stój! stój wielbłądzie, zakończyłem drogę.
 Trudno już szkodzić ludziom — śmierć się zbliża.
 Czuję do biegu mniej polotną nogę,
 I strzała z mojej cięciwy mniej chyża.
 Widzę zdaleka śmierć posępną, ciemną —
 Już się czarnemi skrzydłami nasuwa;
 Zasnę — Już widzę jak wkrótce nademną,
 Ten wielbłąd, który śmierci nie przeczuwa;
 Gdy wicher w stepach posępnie zawyje,
 I zwłoki moje toczy przez tumany,
 W piaskach się czał, myśli że pan żyje,
 Że się pod śpiące skrada karawany.
 Wielbłądzie! pan twój w innym błądzi kraju,
 Zasnął na stepach i marzy o raju.

Nie! nie chcę raju — lecz proszę Proroka,
 Niech mojej duszy da stepy bez końca,
 Dzikie i puste, bezbrzeżne dla oka,
 I wiecznie wrące promieniami słońca.
 A gdy zapragnę, wśród dzikiego błonia,
 Na me skinienie niech źródło wypływa;
 Niech mi tam Prorok wróci mego konia,
 Który gdzieś w piaskach pustyni spoczywa.
 Niech dla rajskiego duszy zachwycenia,
 Step ten mych wrogów okryją mogiły;
 Niech mi się wróć znów młodości siły,
 Lecz nie wracają młodości cierpienia.
 O takim szczęściu serce moje marzy.
 Ach! wtenczas będę spokojny! szczęśliwy!
 Niech tylko żaden, żaden człowiek żywy,
 Tej samotności przerwać się nie waży.

POEZJE
D R A M A T Y C Z N E.

MINDOWE

KRÓL LITEWSKI,

OBRAZ HISTORYCZNY

W

PIĘCIU AKTACH.

O S O B Y.

MINDOWE, Król Litewski.
ROGNEDA, matka Mindowy, ociemniała.
HEJDENRICH, Krzyżak, Legat Papieжки.
DOWMUNT, Książę Znalszawski.
ALDONA, żona Dowmunta.
TROJNAT, synowiec Mindowy.
HERMAN, Krzyżak.
WOJSIEŁKO, mnich, syn Mindowy.
LUTUWER.
KRZYŻAK.
MNICH ISZY.
Litwini, Krzyżacy, Paziowie, orszak Mnichów.

Scena w Zamku Nowogrodzkim.

MINDOWE.

A K T I.

SCENA I.

(Sala w zamku Mindowy.)

TROJNAT, HERMAN, PAZIOWIE niosą kobierce.

HERMAN, do Paziów.

Rozścielcie tu kobierce, Papież je przysła
Dla króla poganina, co dzisiaj chrzest bierze.
Święta korona skronie pogańskie okryła,
Niech więc czci wiarę, niechaj jej świętości strzeże;
Niech poważy Krzyżaków święcone klasztory.

TROJNAT.

Jakże cudnie utkane zamorskie bisiory!
Po takich łąkach nieraz śledzę sarny tropy.
Niemcy musieli pokraść z naszych dolin kwiaty,
Wstąpię na nie, woń może wydadzą z pod stopy.

HERMAN, wstrzymując go.

Wybacz Książę Trojnnacie, nie masz chrzestnej szaty,
Nie możesz po nich stąpać, z Rzymu je przywożę.

TROJNAT.

A kiedy będę królem! będę mógł?

HERMAN.

Ha! może,

Jeśli razem zostaniesz i kościoła synem.

TROJNAT.

A kiedy będę królem nie chrześcianinem?

HERMAN.

Marzysz Książę!

TROJNAT.

Ty marzysz! jam dziedzic korony.
Kto wie czy będę czekał aż losu kolejną,
Spadnie na mnie dziedzictwo?

HERMAN.

Łudzisz się nadzieją,
Płonącą nadzieją — Słyszysz chrześciańskie dzwony!
Słyszysz? chrześciańskimi przemawiają słowa.
Umilkły wasze bory, ustały drzew szumy,
I ludzie milczeć będą i uchylą głowy.
Słyszysz te dzwony! teraz zbądź niewczesnej dumy.
Zbladłeś?

TROJNAT.

O nie! myślałem — że dzwony usłyszę
Na progrzebie Mindowy.

HERMAN.

Przy dzwonów odgłosie
Może ciebie w grób włożą!

TROJNAT.

Ja — spłonę na stosie!
Mnie modrzew cichym szumem do snu ukołysz —
Jeszcze usiądzie sokół na martwym ramieniu,
Nastrzępi pióra — chartów zaskowycze sfora.
Ani mię ciasna ziemi uwięzi zaporą:
Ja z pieśnią Wajdeloty ulecę w płomieniu,
Ulecę — może razem z jaską Niemca duszą.

HERMAN.

Nie słyszę twojej mowy, bo ją dzwony głąszą.

TROJNAT.

Wykręt krzyżacki — słyszał —

HERMAN.

Już wydane hasła,
Śpieszę chrzcic Króla Litwy.

TROJNAT.

Tyś zawsze gotowy
Chrzcić i grzebać ochrzczonych — idź na chrzest Mindowy,
Zapal tam świecę — zapal — i strzeż by nie zgasła —
Nim się dopali, pójdziesz za Mindowy trumną,
Oszczędzisz sobie trudu.

HERMAN.

O Księżu Trojncie!
Nadto słabą masz rękę, duszę nadto dumną;
Do czegoż próżne groźby — ?

TROJNAT.

Czyliż wy mniemacie
Że trudno zabić stryja? Ochrzcić trudniej było,
A wyście go ochrzcili. Byłem królem we śnie,
A o chrzcie nigdy mi się nawet i nie śniło.

HERMAN.

Jeżeli tak? zamiary odkrywasz zawczasie.
We mgle ukryta zemsta, posępna i cicha,
Jest stałością rycerza: jawna — dumą dziecka.

TROJNAT.

Gdzież więcej dumy, jako pod tą zbroją mnicha!
Jak wąż się kryje, podła, nikczemna, zradziecka!
Sam cel częstołożonych trudów nie opłaci —
Patrz! Braciszek zakonu, najpodlejszy z braci,
Ostatni, wśród posępnej wychowany celi!
Nędzny — na granitowej zasypia pościeli,
Lub, o nędzo człowieka! w trumnie odpoczywa.
I tam uśpiony, dumę zdradza przez sen, słowy:
Rządzi klasztorem, z dumnej przełożonych głów
Brylantami błyszczący znak godności zrywa,
I sam się stroi. — Patrzaj! a ten przełożony,
Już marzy o czerwonym na głowę birecie!
A ten co biret posiadał — przez sen już ma trony,
Trony papieżkie — — Papież? Papież, starzec, dziecko —
Dziecię przy Królu Litwy — nie straszny nikomu!

HERMAN.

Wielki nasz Papież usiadł gdzieś w Italskim domu,
Z drżącą starości dłonią, z osiwiałą głową.

Wielki! — Niechaj wyrzeknie jedno ciche słowo,
 Którego brzmieniem ledwo zabrzmia echa sali:
 Od dźwięku tego słowa mnogi tron się wali —
 Spadają króle, berła wypuszczają z dłoni,
 Lub chwieją się jak wieże, gdy Bóg wstrząsa ziemię!
 Ale gdy twarz łagodną przed ludem odsłoni,
 Chrześcian mnogie na twarz pada przed nim plemię —
 Drżące błogosławieństwo starca się rozlega,
 Od wzniosłych wież Solimny do Bałtyku brzegu.
 Książę! będziesz przytomny przy chrzestnym obrzędzie?

TROJNAT.

Nie jestem wam potrzebny.

HERMAN.

Żegnam cię.

(Odchodzi z orszakiem paziów.)

TROJNAT sam.

Więc wszędzie!

Wszędzie mnichów spotykam! — Ale przyjdzie pora —
 Przyjdzie — on zginąć musi — z nim Niemcy wyginą.
 Mindowe, pierwszy z Książąt, Niemcom groził wczora,
 Dziś tron otoczył zdrađną Krzyżaków drużyną!
 Lecz ten sztylet — w nim Litwa pokłada nadzieję —
 Ze mną jest lud, kapłani, Dowmunt mąż Aldony.
 Dowmunt gdy na się zbroję krzyżacką przywdzieje,
 Przyjdzie szukać wydartej przez Mindowę żony;
 I mścić się będzie — dla mnie wolny tron zostanie.

(Patrząc w głąb.)

Oto matka Mindowy, ciemna, obłąkana.

(Rogneda wchodzi chwiejającym się krokiem, rękami naprzód wyciągniętymi
 szukając drogi.)

Rognedo! przyjm od twego wnuka powitanie.

REGNEDA.

Wnuka? ja nie mam wnuka — nie mam syna — zrana
 Miałam syna i wnuka — już syna grób kryje.

TROJNAT.

Rognedo, ty masz syna! Syn twój żyje.

ROGNEDA.

Żyje?!

Syn mój żyje — ze wzrokiem pamięć utraciłam —

Kiedys patrzałam na świat — wtenczas i ja żyłam,
A teraz noc tak ciemna! — Boże Litwy! — Boże!

(Siada z obłąkaniem starości.)

Anno! daj mi przedziwo, oto zeszło zorze —

Dziewczęta! wy do pracy — miły szmer wrzeciona —

(Usiłując śpiewać.)

Śpij moje dziecię! matka przy tobie,

Na twojej głowie korona.

Śpij moje dziecię! śpij moje dziecię!

(Po chwili.)

On żyje i ja żyję — ale moje życie

Bliskie! bliskie już grobu — i on zaśnie w grobie.

Nie ujrzę go przed śmiercią — śmierć prędko się zbliża.

Czy go widziałeś? jak on wygląda? —

TROJNAT.

Mindowe?

Krzyż ma na piersiach.

ROGNEDA.

Nigdy nie widziałam krzyża

Jak on straszny być musi —

TROJNAT.

Krzyże brylantowe

Są darami Papieża.

ROGNEDA, podnosząc się ze zgrozą.

Papież! Papież!

(Pada na krzesło.)

TROJNAT.

Kona.

ROGNEDA, po chwili.

Anna! staw kołowrotek, podaj mi wrzeciona.

Papież! kto tu wspominał Papieża? — To echo,

Echo mojej pamięci rani mię boleśnie.

Dwóch miałam synów — tamten był moją pociechą,

Twój ojciec — drugi — marzę — ja marzę jak w śnie,

Drugi — gdzież jest syn drugi? —

(Podczas ostatnich słów wchodzi na scenę: MINDOWE w białej chrzestnej szacie z koroną na głowie. HEJDENRICH w ubiorze Legata; z pod komiży przeźroczystej przebija się zbroja. HERMAN, niesie krzyż złoty przed Legatem. DOWMUNT w krzyżackiej zbroi z zapuszczoną przyłbicą, na której jest godłem róża; na węgłowiū również niesie złotą różę i opodal od tłumu opiera się o jeden z filarów. LUTUWER.)

Czuje krew koło mnie,
 Mindowe jest tu blisko — Przybliż się Mindowe!
 Pewnie z nowej wyprawy wieziesz łupy nowe?
 Pewnie teraz twa sława zabrzmi wiekopomnie?
 Słyszę jak lud okrzykiem uwielbia twe czyny,
 Czy wracasz z ciemnej Żmudzi? z ponad brzegów Dźwiny?
 Czy ukorzyłeś Niemców zakon świętokradzki?
 Czy Ruś drżała przed tobą? czy drżał król Kipczacki?
 Czy z mnogim wracasz łupem? z mnogimi dostatki?
 Powiedz, cieszyć się będę, i ze łzami matki
 Będę ci błogosławić — przybliż się mój synu.

MINDOWE.

Matko! co te szydercze słowa mają znaczyć?
 Na ubłaganie Bogów dam kubel bursztynu,
 Dam dwa, jeśli za jeden nie zechcą przebaczyć.

ROGNEDA.

On bluźni! jam słyszała — on bluźni! — O Książę!
 Nie mogę równie pojąć co znaczy ta mowa!
 Z ust twoich płyną dzisiaj niezwykłe słowa;
 Lecz jeszcze miłość matki do ciebie mnie wiąże —
 Zbliż się, z błogosławieństwem dłoń ma na cię spadnie.
 Cóż to? ty mnie unikasz jako zgryzot mary;
 Czy bez wszystkiego możesz obejść się tak snadnie,
 Jak bez błogosławieństwa matki — i bez wiary?

MINDOWE.

Nie; są rzeczy bez których obejść mi się trudno,
 A wszakże się obchodzę, potrzebą naglony.
 Tak z niejedną dzierzawą rozstałem się ludną:
 Oddałem Haliczanom brylant mej korony,
 Ów Słonim, co wśród smugów wznosi się pod niebo,
 I Wołkowyskie moje rozległe dzierzawy.
 Rognedo! trudno mi się obejść i bez sławy,
 Jednak sławie ująłem, naglony potrzebą.
 Jestem królem, lud wielbi — szydzą wojownicy!
 I straszniejszy dla Niemców był połysk przyłbicy,
 Niżeli ta korona, która tylko świeci
 Blaskiem marnym dla niewiast i gminu i dzieci:
 Ale cierpmy do czasu, taka losu wola —

Trudno, nawet Mindowie, z losem działać sprzecznie. —
 Matko! czyliż mnie będziesz nienawidzić wiecznie?
 Matko! czyż ci nie miło widzieć w synu króla?
 Oto przed tobą czoło wieńczone uginam,
 Błogosław mnie więc Matko! błogosław!

ROGNEDA, wyciągając nad nim rękę.

Przeklinam!

HEJDENRICH.

Nikt nie odpowie Amen.

ROGNEDA.

Mindowe! Mindowe!

Posłuchaj mnie — słuchajcie wy mnichy krzyżowe!
 Przekleństwo wam! przekleństwo krzyżackiej obłudzie,
 Co jak zaraza Litwę ciemnem skrzydłem kryje!
 Synu! ciebie zaraza dotknie — nie zabije,
 Ale od ciebie będą uciekali ludzie.
 Zostaniesz sam na świecie, będziesz żył mój synu!
 Wymrą ludy, na któreś kładł żelazne pęta,
 I zostaniesz samotny na mogiłach gminu.
 Ta wiara! wiara ciemna, przez ciebie przyjęta,
 Połączy cię z narodem co Litwę pochłonie.
 Siedzisz na tronie, z tobą i Papież na tronie!
 Mindowe ty masz dzieci — to będą morderce!
 Idź, zabij je w kołysce, własne morduj syny!
 Urodziłam gadzinę, ty rodzisz gadziny!
 Ha! rozdarłam ci serce! rozdarłam ci serce!

(Wychodzi wsparta na Trojnasie.)

MINDOWE.

Słyszeliście!

HEJDENRICH.

Cóż znaczy przekleństwo poganki?

MINDOWE.

To jest przekleństwo matki! Ale tak — cóż znaczy?
 Marne słowa bezsilnej zemsty i rozpacz?

HEJDENRICH.

Zaprzestałmy już przykrej o przekleństwach wzmianki — —
 Oto z błogosławieństwem niosę list Papieża.

MINDOWE.

Ja nie znam pisma — czytaj!

HEJDENRICH.

Krótko rzecz przełożę —

Papież ciebie pozdrawia królu, w imię Boże,
I chrześcian poddanych twej pieczy powierza.
Przypomina ci królu, abys był gotowy
Bronić twej wiary mieczem, a rozszerzać słowy.
Nadto — znając jak wielka jest twoja potęga,
Gdy państwo Litwy mieczem skreśloną granicą,
Od Bałtyckiego morza, do hord Krymu sięga,
Powiększone nie jedną ościenną dzielnicą,
I jak potok wezbrany ciągle się rozlewa. —
Z wielkich krajów nasz Papież twej wielkości miarę
Biorąc, po wtornym synu słusznie się spodziewa,
Że skoroś tak ukochał chrześcijańską wiarę,
Dając nam przywiązania niemyłne dowody,
Zechcesz jak czynią Polski i Niemiec narody —

(Mindowe się marszczy.)

Znana albowiem wielka wspaniałość Mindowy —
Zechcesz mówię, jak czynią inni wojownicy,
Na olej lampy, w Piotra świętego kaplicy,
Przysłać rocznie w darze jeden grosz od głowy.
A chcąc dowieść jak wielce cnotę twą miłuje,
W zawdzięczenie ci Papież, daje i daruje,
I wszelkiej władzy tobie Mindowe użycza,
Nad wszystkimi krajami, które w dalsze lata
Zagarniesz mieczem w Rusi, u Towtwiła brata,
Lub zyskasz na Danielu książęciu z Halicza.

MINDOWE.

Czy to szyderstwo? pierwszy raz papieżka mowa,
Zabłądziła aż w Litwy ponure krainy;
Pół dnia płynęły słodko twe miodowe słowa,
Z trudnościami rzecz wyszedł wśród słów płataniny.
Cenię łaskę Papieża — korzystać z niej będę —
Zatrzymam pewno kraje które sam zdobędę;
Nikomui nie ustąpię mojej pracy plonu.
Wezmę kraje zdobyte na Haliczu, Rusi,

A gdy się uda, kraje waszego zakonu.
Papież gdy tak rozdaje, sam wiele mieć musi,
A ztąd rzecz uważając, łatwo teraz wnoszę,
Że mu na olej Litwy niepotrzebne grosze.

HEJDENRICH.

Ze zlej widziana strony rzecz, złą się okaże;
Lecz wierzaj mi, najlepsze są chęci Papieża.
Patrz jaką drogą świętość przysyła ci w darze;
Jej straży twoje ciało i duszę powierza,
Ona ustali cnoty, zagasi zapaly. —
Pewnie wiesz, jak Sebastjan z cnót swych znakomity
Skonał męczeńską śmiercią — oto drzewce strzały,
Którą ten święty został na krzyżu przebity,
Obficie napojone we krwi Sebastjana.

MINDOWE, wyjmując sztylet.

Dam ci podobną świętość dla Papieża pana.
Ten sztylet od dzieciństwa wisi mi u boku —
Pił krew starców i niewiast — i tkwi mi w pamięci
Że kiedy umierali, w tym ofiar natłoku,
Było kilku tak świętych, jak są wasi święci.
Cóż to? drżysz.

HEJDENRICH.

O Mindowe! godzien Boskiej kary
Ten, kto wiarę przyjąwszy, bluźni przeciw wiary!
Z naszej ręki niedawno wzięłeś tytuł króla,
Jeszcze nowa twa godność niepewna i drżąca!
Wiesz jak czarno pisana nasza Rzymska bulla,
Dawnych królów, cesarzów, z dawnych tronów strąca,
Jednym pociąganiem pióra, bez sporu, bez bitwy — —

MINDOWE.

Kiedy nie będę królem, będę Księciem Litwy,
Będę was darł i palił, rabował i łupił,
I teraz nadtom drogo tytuł króla kupił.
Jeżli miałbym pochlebiać i ważyć w umyśle
Słowa, które wymawiam, mówiąc to co myślę — !
Ci wolno nie gadają, których jarzmo gniecie —
Ale mnie kto da prawa? kto mi zwiąże mowę?

Czy jest gdzie jaki drugi Mindowe na świecie?
Albo może wasz Papież jest drugi Mindowe!

HEJDENRICH.

Panie! oba innemi przemawiajmy słowy.
Przez usta posła Papież uczucia wynurza,
Zakończę więc poselstwo —

(Wskazując na niesione przez Dowmunta wezglowie.)

Oto złota róża,

Dla twojej, panie, żony — Litewskiej królowy.

MINDOWE.

Dla mojej żony? dawno umarła mi żona.
Czyż nie wie o tem Papież?

HEJDENRICH.

Przebacz błąd Papieża.

Ale ta ciemna Litwa, lasami omglona,
Zasłania cię przed światem; zamku twego wieża
Jest niższą niż te sosny. Komuż złożę dary?

MINDOWE.

Matce mojej —

HEJDENRICH.

Święconej nie przyjmie ofiary.

MINDOWE.

Posłuchaj więc Krzyżaku, złoż je przed Aldoną —
Jest siostrą mojej żony, będzie moją żoną.
Niech tu stanie Adona!

(Jeden ze straży wychodzi.)

Wy! głowie kościoła

Odnieście te wyrazy: Choć korona złota,
Z lekkiej blachy, zaledwo dotyka mi czoła;
I gdyby nie przecudna jej liści robota,
Ledwie kilka florenów zaważy na szali;
Jednak wdzięcznie przyjmuję dar papieża pana —
Lekką jak liść koronę żelazo ustali.
Jakiż tron jest świetniejszy? Czyli Ruś znękana,
Gdzie książęta, stargawszy krwi związki przyjazne,
Łodowaty kraj niszczą — jedno tylko Lachy,
Rosnącej Litwie piersi stawiają żelazne.

(Aldona wchodzi.)

Oto jest pierwsza z dziewic Litewskiego grona,
Sprawiaj twoje poselstwo.

HEJDENRICH, do Aldony.

O ty! której skronie

Wkrótce uwieńczy Litwy złocista korona,
Przyjm różę, którą Tybru wychowało błonie!
Tam pod wiary promieniem złote rosną kwiaty.

ALDONA.

Źle się zgadza blask złota z żałobnemi szaty!
Miałam męża — mam męża, jeśli jeszcze żyje —
On się tuła po świetle — Przysięgłam mu wiarę —
Nigdy korona moich skroni nie okryje;
Ale wdzięcznie przyjmuję Papieża ofiarę.
Czuje, wkrótce z tym zimnym rozstanę się światem,
Ten kwiat niezwiędły, będzie mym śmiertelnym kwiatem.

HEJDENRICH,

Jak niemieckie dziewice, przyjęła bez braku —
Złoto zawsze jest złotem —

(Daje znak Dowmuntowi aby podał różę. Dowmunt się zbliża drżący.)

MINDOWE, wpatrując się w Dowmunta.

Co? Ty drżysz Krzyżaku?

Ktoś ty jest? —

ALDONA, wznosi oczy na Dowmunta.

Ach!

(Pada omdlała. Dowmunt wychodzi.)

MINDOWE.

Omdlała! wynieść ją z komnaty!

Ścigać tego Krzyżaka. Ha! co to się znaczy?

Kto on jest?

HEJDENRICH.

Nie wiem panie, nosi giermka szaty.

Przbył do nas posepny, z wyrazem rozpaczny,

Zaciągnął się w szeregi nieznany nikomu;

Sądzę że to wygnaniec z wyspy Albijonu,

Na hełmie nosi różę, znak Lankastrów domu.

MINDOWE.

Precz stąd mnichy najemne! koło mego tronu

Widzę sztylety — precz stąd —!

HEIDENRICH.

Wiara królów strzeże.

Żegnamy ciebie, panie!

(Odchodzi z orszakiem Krzyżaków.)

MINDOWE.

Przystąp Lutuwerze.

Nie wiesz co to za jeden jest ów Krzyżak młody?

LUTUWER.

On najmniej podejrzanym zdawał mi się w tłumie —
 Młody, jeszcze rycerskiej nie nosi ostrogi —
 Milczy, bo po niemiecku nikt go nie rozumie;
 Stroni ludzi, bo smutny — smutny, bo ubogi.

MINDOWE.

Trudno abyś podejrzeń ciemny tłok rozegnał.
 Jam go dobrze uważał przy chrzestnym obrzędzie,
 Gdy kapłan błogosławił, on się nie przeżegnał.
 To Litwin — —

LUTUWER.

O Mindowe! pewnie jesteś w błędzie.
 To Krzyżak. — Czyżby Litwin przywdział taką zbroję?
 Z czarnym krzyżem, w krzyżackim święconą kościele;
 Sambym się nie odważył, wyznam królu śmieie,
 Że ja się więcej krzyża, niż Krzyżaków boję.
 A chociaż chrzest przyjąłem za twoim rozkazem,
 Lękam się nowej wiary, jako nowej tarczy;
 Nowa nie zawsze z wrogiem w obronie wystarczy,
 Często jak szkło się kruszy, dotknięta żelazem.
 Zmuszony żyć wśród Niemców, męcę się i żyję,
 Lecz nienawiść do tyła rozkrzewia się w duszy —
 Kiedy jestem przy Niemcach tak mi serce bije,
 Że mi się kiedyś w piersiach od wzgardy rozkruszy.

MINDOWE.

Tak myśli lud Litewski — — Słuchaj Lutuwerze,
 Wierzę twej nienawiści jak w twą wierność wierzę.
 Teraz mi tej ostatniej potrzebne dowody:
 Ten Krzyżak, przewiduję, jest to Dowmunt młody.
 Nie wiem — nigdy Dowmunta nie widziałem twarzy;
 Lecz przeczuwam — on śledzi by mię zejść bez straży,

Zdradziecko zamordować — Trzeba rzecz wybadać,
Wyśledzić — jeżeli Dowmunt, pewna śmierć go czeka.
Dowiedz się —

LUTUWER.

O Mindowe i na cóż odkładać?

Nigdyś nie myślał tyle nad śmiercią człowieka —

MINDOWE.

Jeżeli teraz myślę mam słuszne powody.
Śmierci Krzyżaka mszczą się wszyscy krzyżownicy —
A ja, nim z nimi zerwę, chcę ażeby wprzód
Rozeszły się ich wojska z Litewskiej granicy;
Chcę żeby się wprzód Rusi rozproszyły tłumy,
Które jak czarne chmury ponad Litwą wiszą,
Potem u siebie rogi litewskie usłyszą.
Teraz niechaj rozsądek trzyma miejsce dumi.

LUTUWER.

Gdybyś posłuchał królu co radzi to serce,
Tybyś wszystkich Krzyżaków zebrał w dolnej sali,
Potem zamek podpalił, niech się z nimi spali!
Lub Litwinów ukrywszy za ściennie kobierce,
W kryjówki, w czece kolumny, i w próżne filary,
Skinąłbyś, na skinienie padłyby ofiary,
I krzyżackiej krwi strumień po murach popłynął. —
A jeżeli jest, w tym tłumie i Dowmunt by zginął.

MINDOWE.

Poradziłeś z zapalem — tak radzą rycerze,
Co wolą mieczem działać, niż myślą i słowy;
Lecz nie pójdę za twoją radą Lutuwerze,
Inny mam wcale zamiar — usnuty, gotowy.
Ona sama odkryje tajemnic zasłony,
Dowmunt zginie, padając przy stopach Aldony.

A K T II.

SCENA I.

ROGNEDA, TROJNAT.

ROGNEDA, stoi oparta na kamiennym stole.

Podaj mi czarę — Litwo! Litwo nieszczęśliwa!
 Dla twoich Bogów nową poświęcę ofiarę,
 Syna poświęcę — rozpacz serce mi rozrywa!
 Ja go zabiję z płaczem — podaj mi tę czarę! —
 Napełnię ją trucizną. — Boże Litwy! Boże!
 Niech on umrze spokojnie — niech nie cierpi długo,
 Ja go łzami obmyję — na stosie położę,
 Zaspiewam pieśń — grobową uczczę go posługą.

(Sypie truciznę.)

Łza upadła do wina, może ta łza matki
 Zniszczy skutek trucizny? Czy już noc na niebie?
 Tak mi ciemno — Wsypałam trucizny ostatki,
 Dla mnie nic nie zostało —

(Mindowe wchodzi na scenę; Lutuwer rozmawia z nim, wskazuje na czarę i sam oddala się.)

MINDOWE, z udaną spokojnością.

Matko! witam ciebie!

Witam młody synowcze. Powracam z ogrodu,
 Słuchałam jak z nad Niemna śpiew słowika płynie,
 Zachwycony urokiem wieczornego chłodu;
 Ale niemniej szczęśliwy przy mojej rodzinie,
 Znajduję szczęście w domu — zawsze miłość wasza,
 Chmury nieszczęść wiszące nademną rozprasza.
 Przy was jestem bezpieczny — zasypiam w pokoju.
 Ty milczysz matko? —

ROGNEDA.

Synu! może chcesz napoju?

Oto wino —

MINDOWE.

Już wino piłem dzisiaj rano,
Przy chrzcie moim.

ROGNEDA.

Bluźnierca!

MINDOWE, do Trojnata.

Nim gwiazdy powstaną

Trojnacie masz opuścić litewską stolicę.
Zaniesiesz Wojsielkowi to pismo odemnie;
Zawiera ono w sobie ważną tajemnicę.
Powinno być wręczone prędko i tajemnie.
Wojsielkowi zkaż inną znane są me chęci,
Wymagam więc pośpiechu — pomnij nakaz srogi!
Biada! jeśli się zwrócisz z przykazanej drogi,
Biada! jeśli woskowej naruszysz pieczęci.
Oto masz list.

ROGNEDA, na stronie.

Już odkrył Trojnata zamiary —

Więc pozbawiasz mię wnuka? przynajmniej z tej czary
Spełń toast pożegnania.

(Mindowe bierze podaną czarę lecz jej nie pije. Rogneda po chwili drżącym głosem.)

Czyś wypił? —

MINDOWE, uderzając się w czoło.

Rogneda!

ROGNEDA.

Nigdyż krwawe sumienie spoczynku ci nie da?
Widzisz krew w głębi czary?

MINDOWE.

W napojach biesiady

Nigdy krwi nie spostrzegam, ale trucizn jady.

ROGNEDA.

Pokażę ci jak twoja podejrzliwość zwodna,
Spełnię ją do połowy, ty ją spełnisz do dna.

MINDOWE, ciska i tłucze czarę.

O matko, coś wyrzekła? Precz czaro przekłeta!
Tyś mi była najdroższym przodków moich darem!
Jedyny prawie spadek, zawsze dla mnie święta,
Nieraz na ucztach słodkim szumiąca nektarem.

Gdzieś za morzami w kryształ roztopione piaski
 Wydały ciebie z łona — nieraz pełna wina,
 Zachwycalaś zdumione wejrzenie Litwina,
 Gdy słońce w tobie grało tysięcznymi blaski!
 Ja ciskam cię o głazy! — Matko, coś wyrzekła!
 Zkąd ta nienawiść czarna? zkąd ta zemsta wściekła?
 Chciałaś umrzeć i syna wtrącić do mogiły!

ROGNEDA.

Ukarz mię — zniosę karę, ja mam jeszcze siły!

MINDOWE.

Ha, tak! chciałaś matko, znosząc karę srogą,
 W obliczu ludu umrzeć męczenniczką wiary?
 Alem nadto przezorny, bym powściągał kary
 Tych, którzy chcą mi szkodzić, lecz szkodzić nie mogą.
 Bądź więc spokojna matko — uraza tak mała —

ROGNEDA.

Nie chciałam cię urazić — jam cię zabić chciała.

(Wychodzi wsparta na Trojnatcie.)

MINDOWE sam.

Sam więc jestem, sam jestem; walczyć, szerzyć mordy,
 Śledzić spiski — trucizną chłodzić spiekłe wargi;
 Wędziłem krwawem ściągać dzikie ludu hordy —
 To moje życie — usta nie wydadzą skargi!
 Nie widzą że ja cierpię. — Zbędę się Trojnata:
 Pochwycą go, postrzygą, zamkną w mur klasztorny.
 Przed ludem mię zakrywa tajemnicza szata.
 Chrześcianin, Krzyżaków przyjaciel pozorny,
 Wkrótce zgnębię te zmienne, dwugłowe poczwary.
 Wyginą wszyscy! — Wiara? wiara — czeze wyrazy?
 Chrzciłem się, bo mi wtenczas trzeba było wiary;
 Teraz, cóż za różnica — czy krzyż od Papieża,
 Czy w cerkwiach ruskich złotem błyszczące obrazy,
 Albo księżyc Mogołów — Miecz wiarą rycerza. —
 Lecz Aldona nadchodzi, zbadam tajemnicę,
 Kto jest ów tajny Krzyżak.

(Aldona wchodzi.)

Aldona! twe lice

Zawsze we łzach — więc wszędzie widzę łzy i zdrady.

Sztylety, trucizn czary, i miodowe słowa,
 Przebac, ciebie przeleżała ta gwałtowna mowa,
 Ty drżysz Aldono? zniknął twój rumieniec bładny.
 Oto czara z trucizną o głazy rozbita —
 Chciałem ją spełnić, dotąd byłbym w cichym grobie;
 Lecz wyznam ci Aldono! nadzieja ukryta
 Wytrąciła mi czarę! — jedna myśl o tobie.
 Aldono! powiedz słowo.

ALDONA.

Panie! twe cierpienia,
 Ani mię twoja miłość nigdy nie zniewoli.
 Nacóżeś mi domowe przerwał zatrudnienia!
 Które mi słodzę długie godziny niedoli?
 Gdy w gronie moich dziewic, przy lampy płomieniu,
 Widzę jak w koło srebrne toczą się przedziwa;
 Gdy słyszę pieśń rodzimą w ich łagodnym pienu,
 Przez chwilę cichem szczęściem tak jestem szczęśliwa,
 Że często nad mojemi krośnami schylona,
 Widząc jak kwiat pod igły dotknięciem rozkwita,
 Cierpień moich zapomnę — póki ciężkie z łona
 Nie wyrwie się westchnienie, z oczu łza ukryta.

MINDOWE.

Tys spokojna? ja nie chcę widzieć cię spokojną!
 Szczęśliwa? nie chcę żebyś ty była szczęśliwą!
 Niech serce twoje zawre sprzeczną uczuć wojną,
 Niech je niszczy rdza cierpień, zgryzota rozrywa.
 A gdyś z widokiem cierpień nadto oswojona,
 Śmierć jest dla ciebie nową, dziś skończysz dni twoje.

ALDONA, z przerażeniem.

Błagam cię panie! błagam na bogów imiona!
 Nie zadawaj mi śmierci, ja się śmierci boję!
 Wszystko mi, wszystko blizki zgon już zapowiada!
 Koniec mój — o, przeczuwam, będzie nadto skory!
 Patrzaj Mindowe! patrzaj! jak twarz moja biała,
 Na twarzy rozmarzone gorączki kolory,
 Szklistym blaskiem posępnie ożywione oczy;
 Wkrótce mię całą cichość grobowa otoczy.
 Nie jedna z dziewic moich, co cierpień nie znała,

Mówiąc do mnie, nim skończy, łzami się zaleje;
 A gdy mówi, głos zniża, jak gdyby nie śmiała,
 Dźwiękiem mowy, lub marne podając nadzieje,
 Zbudzić głębokiej ciszy, która jak sen miły,
 Żyjącą, osłoniła świętością mogiły.

MINDOWE.

Ty chcesz żyć, jakże silna chęć życia? Aldona!
 Może w sercu nadzieje karmisz brylantowe?
 O wiem ja, że głęboko oczy dziewic toną,
 I przenikają głązy i zbroje stalowe.
 Aż dopóki z pod hełmu nie wykwitnie lice.
 Znajome, ukochane — wglądasz pod przyłbice.
 Musiał być blady?

ALDONA.

Paniel kto?

MINDOWE.

Ten Krzyżak młody —

Krzyżak, czy Litwin —

ALDONA, na stronie.

On go nie poznał!

MINDOWE.

Widziałem!

Jakeś zadrżała — padła! Silne to dowody,
 Lecz jeszcze będą inne. — Niegdyś ja sam drżałem,
 Kiedy bladeść cierpienia omgłiła twe czoło;
 To dzikie serce z twoim sercem biło razem —
 Kiedyś się weseliła, brałem twarz wesołą.
 Dziś to już przeszło — dzisiaj jestem zimnym głazem.
 Słuchaj! czy znasz Krzyżaka co wśród mnichów zgrai,
 Nieznajome mi lice czarną zbroją tai?
 Znasz go?

ALDONA.

Wierzaj mi! wierzaj! ja go nie znam panie!

MINDOWE.

Może go poznasz, słodkie to będzie poznanie!
 Prózne prośby, mam zbroję i serce ze stali. —
 Aldona! ja się skryję w tej przybocznej sali,
 Tam każde wasze słowo dojdzie mego ucha,

Zwłaszcza gdy teraz nocy panuje milczenie;
Kiedy go będziesz witać pomyśl że król słucha,
I mieczem przerwie krótkie szczęścia zachwycenie.

(Odchodzi przez drzwi boczne.)

ALDONA, sama.

Mindowe! o Mindowe! — Poszedł. — Nieszczęśliwa!
Zostałam sama jedna, czekać chwili zgonu,
Chwili nad zgon straszniejszej. — Lampa dogorywa.
A na dworze noc ciemna, słychać szum jesionu,
Szum sosen cichy — wszystko! wszystko mię przeraża,
Ten szum drzew i ta cisza — to cisza smętarza.
O jak mi ciężko! — Nie ma i — jeszcze go nie ma,
Może nie przyjdzie? — Boże! niechaj nie przychodzi!
Niech go anioł ostrzeże! — przecucie zatrzyma! —

(Patrzy przez okno.)

Tam widzę, za lasami błądy księżyc wschodzi,
Czarne sosny posepnym witają go szumem;
Rozdarte chmury duchów napełnione tłumem —

(Po chwili.)

Nie przychodzi — on może nie przyjdzie — ja płaczę,
W tej chwili groźnych króla niepomna wyroków!
Smutno mi że nie przyjdzie, że go nie zobaczę —
Chciałam go widzieć — Boże! słyszę odgłos kroków! —
O nie, to źródła szumią w zamkowym ogrodzie.
Ach! on idzie! to — Dowmunt poznałam po chodzie.
Jeszcze głośniej — i głośniej — jam znowu słyszała —
Udam że ja go nie znam — żem nigdy nie znała.
Król go nie pozna —

DOWMUNT, wchodzi z zapuszczoną przyłbicą w krzyżackiej zbroi.

Potwarz okłamała zdradnie

Serce Aldony — teraz widzę ją — tak błąda —
Czy dręczona sumienia wyrzutami, bladnie?
Umię rozróżnić błądność od błądności. — Siada —
Nie odwróciła lica. — Dawniej szelest szaty,
Szelest kroków odgadła — poznała — a teraz
Nie odwróciła lica! Idąc w te komnaty,
Będąc na progu, z progów wracałam się nie raz.
Tak mi okropnie! ona mię nie pozna? może
Nie zechce poznać. — Pani! — Zadrzała.

ALDONA.

Rycerzu

Ktokolwiek jesteś, w północ błędząc po tym dworze,
 Módl się — oto różaniec widzę przy puklerzu,
 Módl się i — wyjdź —

DOWMUNT.

Wyjdź? — Widać że Litwy królowa,
 Przywykła rozkazywać — na jej zawołanie
 Przybiegnie zbrojna, liczna, warta pałacowa.
 Wyjdę z wrót gmachu — tylko po mnie tu zostanie
 Krew —

ALDONA, cicho.

Moja —

DOWMUNT.

Nie wiem! nie wiem — lecz tu krew zostanie.
 Wiesz kto ja jestem? Czyli twe serce przeczuwa? —

ALDONA, jak echo tym samym głosem.

Czy twe serce przeczuwa? —

DOWMUNT.

Powtarza pytanie!

Odpowiedz! —

ALDONA.

Wyjdź —

DOWMUNT.

O Boże! ona myśli, czuwa,
 I tak jak śpiąca związać nie może wyrazu,
 I myśli ją odbiegły. — Słuchaj! czyś ty z głazu?
 Dwa słowa! imię moje! — Szalony! szalony!
 Oto mi czoło ciemna przyłbica okrywa,
 Postać kradnie, płaszcz czarnym krzyżem naznaczony,
 I jakże poznać mogła?

(Odkrywa przyłbicę.)

Patrzaj! nieszczęśliwa —

Czy ty mnie znasz? Jak żądasz być zbawioną w niebie?
 Odpowiedz — i uciekaj! ach uciekaj ze mną —
 Znasz mnie? —

ALDONA.

Czy ja znam? Boże! nie, ja nie znam ciebie,
 Nie! nie! nie przypominam — może — tu tak ciemno,

Może dla tego. — Słuchaj teraz moje oczy
 Od ciągłych łez posępną skryły się zasłoną,
 Mgła ciemna wszystkie dla nich przedmioty pomroczy,
 I zaledwo z łez oschną, znowu we łzach toną.
 Szcześnie moje z nieszcześnie nie zna równej szali,
 Jak mara obłąkana kończę życia drogę.
 Nie! nie! ja ciebie nie znam — teraz znać — nie mogę. —

DOWMUNT.

Nie poznała — to lampa tak ciemno się pali.

(Bierze lampę ze stoły i oświecając twarz, przybliży się de Aldony.)

Patrz! patrz!

ALDONA.

Błagam się! błagam, ach oddal się panie!

Oddal się — światło lampy oczy moje razi.

O patrzaj! nieza długo zabłyśnie świtanie,

Patrzaj! już blask jutrzeńki twarz księżycą kazi.

O nieba! — ciebie w sali światło dnia zastanie.

DOWMUNT.

Ha! męczarnio okropna! męczarnio szatana!

(Do Aldony która się zbliżyła pomieszanie.)

Czego chcesz? precz odemnie! śmierć jedna została. —

(Ze śmiechem obłąkania.)

Cha! cha! jaka myśl dzika! upaść na kolana,

Upaść przed nią. — Cha! cha! cha! prosić, by poznała —

Lub może kupić pamięć zimnym, złotym kwiatem? —

Więc wrócę tak samotny w dziką świata drogę?

Przepaść się otworzyła między mną a światem. —

Nie mogę wrócić — trzeba umrzeć — umrzeć mogę. —

I przed śmiercią nauczę ją wymawiać imię

Znajome, zapomniane — naucze jak dziecię,

Lub jak uczą sokoła, wtenczas gdy zadrzymie

Przerywając sen — przerwę jej sen — senne życie —

Słuchaj! wiesz kto ja jestem? —

(Dobrywa sztyletu.)

Nie! nie! bezimienny

Upadnę przy jej stopach jako liść jesienny —

Rzucam się całą duszą do grobowej ciszy —

ALDONA.

Dowmuncie! ach Dowmuncie!

DOWMUNT.

Jeszcze głos Aldony?

ALDONA.

Znam ciebie! kocham! słuchaj — on widzi! on słyszy!
Sam! Mindowe w tej sali! za temi zasłony! —

DOWMUNT.

O Boże! jakże miło powrócić do życia —
Ty mię kochasz? Mindowe gdzie jest, gdzie się kryje?
Ach straszną! straszną miałem chwilę do przebycia,
Dotąd mi krew wzburzona głośno w piersiach bije;
O Aldona! ta chwila stoi przed oczyma,
I nie che zniknąć, póki szczęście się rozpali —
Ta chwila wszystkie myśli nad przepaścią trzyma!
Ale nie wróci. —

ALDONA.

Luby! słyszałam dźwięk stali —

Chroń się! chroń się Dowmuncie! mój drogi! mój miły!

DOWMUNT.

Co mówiłaś? Mindowe gdzie jest? w tamtej sali?
To daleko — uciekać nie chcę — nie mam siły —
O nie! nie! tyle szczęścia! Nie, to nie jest zdrada?
Ja muszę być szczęśliwy — muszę widzieć ciebie.
Zgasła lampa, lecz księżyc przyświeca na niebie,
Chodź do światła Aldona. — O! jaka ty błada! —
Rumieniec łzy obmyły, żar gorączki strawił;
Jaka ty błada! — jam cię nie taką zostawił!

ALDONA.

Nie, to bladszy niż zwykle, to ten blask księżyca,
Twarz mi dzisiaj ociemnił. —

DOWMUNT.

Więc księżyc przeklinam!

Jeżeli barwę róży kradnie z twego lica.
Ha! przeklinając księżyc, ludzi zapominam.

ALDONA.

Luby! słyszysz dźwięk stali? Czy słyszysz? To oni!

DOWMUNT.

Słyszę jakieś stąpania — słyszałem chrzęst broni,
Idą jakby tygrysy na mą krew zażarte.

ALDONA.

Dowmuncie! wychodź! wychodź! — jeszcze drzwi otwarte!

Wychodź! — Aldona wiecznie wiary ci dochowa —

Tu wszyscy nas zdradzają: Bogi, ludzie, ściany —

Uciekaj! —

DOWMUNT.

Moja luba, bądź zdrowa! bądź zdrowa! —

(Wychodzi, lecz po krótkiej chwili wraca.)

ALDONA.

Przebóg! czemuś powrócił? błady, pomieszany,

Powiedz coś widział?

DOWMUNT.

W końcu przybocznej komnaty

Oni już są! — już przyszli! —

ALDONA.

O nieba! o zdrady! —

Słuchaj, wyłam te okien pozłacane kraty,

Pod niemi nie daleko są zamkowe sady —

Uciekaj! nad głowami grożą czarne burze —

Uciekaj! —

DOWMUNT, usiłując wyłamać kratę.

Kraty mocno osadzone w murze —

Wyłamać niepodobna — nie, to próżnym szaleńcem —

Niepodobna. — Ha pękły! pękły! wyłamałem —

Bądź zdrowa! daj mi rękę — dłoń zimna jak z lodu —

Bądź zdrowa. —

(Staje na oknie — po chwili wraca do sali —)

Nie — napróżno! pośród drzew ogrodu,

Widziałem tłumy zbrojnych Mindowy rycerzy;

Pod samemi oknami las włóczy się jeży.

Daremna więc ucieczka — przyszedłem bez miecza

By nie wzbudzić podejrzeń, cóż ten sztylet znaczy?

Ani mię przeciw wrogów ciosom zabezpiecza,

Ani usłucha dłoni — zdradzi ją w rozpacz!

Bez ulgi i bez zemsty w zimnym legnę grobie —

Aldona! tyś pobiła! Aldona co tobie?

ALDONA.

Nic, nic — daj mi tę różę, z hełmu twego różę,

Może zmysły orzeźwi.

(Dowmunt daje różę.)

Tak mi w oczach ciemno! —

DOWMUNT.

O rozpacz! — ona bladnie. Chodź ze mną! chodź ze mną!

Chodź! uciekajmy! Boże, gdzież uciec? w tym murze

Są kryjówki — szalony! tam będą i ludzie —

Te gmachy już zdradzieckiej nawykłe obłudzie —

O Aldona! nieszczęście — usiądź tu Aldona!

Oczy moje jak dziecka całe we łzach toną.

ALDONA.

A ja płakać nie mogę. — Cha! cha! luby! drogi!

Śmiech mi straszliwy łamie na ustach wyrazy —

Cha! cha! cha! niech tu przyjdą! niech przestąpią progi!

Oto próg pałacowy! —

(Pada przed drzwiami.)

DOWMUNT.

Aldona! Jak głązy

Zimna —

(Sklada omdlałą na krześle.)

Rękami będę rozdierał tych ludzi —

Chodźcie tu! — O te oczy! ta twarz, błąda, sina! —

(Po chwili.)

Z rąk martwych wyrwę różę — kiedy się obudzi

Mnie już nie będzie — niech mię nic nie przypomina.

(Obrywa liście kwiatu.)

Kwiat zerwałem — gałązka w jej została dłoni,

Tak mocno trzyma.

(Pod koniec tej sceny słychać coraz mocniejsze szczęki oręza.

Słyszę! już idą — to oni!

A K T III.

SCENA I.

HEJDENRICH, HERMAN.

HEJDENRICH.

Oby już prędzej rzucić Litewskie krainy.
 Hermanie! oto wracam z królewskiej biesiady,
 Radość niezwykła wrzała pomiędzy Litwiny,
 Ja jeden byłem smutny! jeden tylko blady.
 Dzikie ich uczty. Słuchaj! w granitowej sali,
 W około stół dębowy puharami błyska;
 W środku komnaty ogień z modrzewia się pali,
 I w koło wieje dymem, w koło iskrą pryska.
 Sześciu Litwinów w burkach bez ruchu jak glazy,
 Unosili nad stołem smolnych sosn pochodnie,
 Jako żywe świeczniki. Gwar, dzikie wyrazy!
 Dziwnie się wydawałem — ja, mieszkaniec Rzymu
 Wśród tej niesfornej zgrai — mój krzyż brylantowy
 Ledwo blaskiem roztrącał czarne kłęby dymu —
 Hermanie! oby prędzej rzucić dwór Mindowy!

HERMAN.

O Panie! nie czas teraz rwać z Litwą przymierze,
 Nie są przygotowani do wojny Krzyżacy;
 Jeden krok nierozmyślny korzyść nam odbierze,
 Z długich naszych podstępów, z misjonarskiej pracy.
 Gdyby Mindowe umiał korzystać z tej pory,
 Przycisnąłby i zgłębił krzyżackie klasztory.

HEJDENRICH.

Prawda, trzeba lwa głaskać. Lecz wyznam ci bracie,
 Że mi w niesmak już idzie poselstwo Papieża!

Mam sławny miecz komtura, mam serce rycerza,
 Jednak bawię tu dotąd! bawię w mnicha szacie,
 I nadto, muszę podle, mnicha obyczajem,
 Starać się wzięść przewagę podstępniemi słowy.
 Dawniej Krzyżak pogardzał tym księciem i krajem,
 A teraz jam spowiednik? jam sługa Mindowy!
 Czy pamiętasz Hermanie braciszka zakonu,
 Który przybył tu z nami, nosił róży znaki,
 Nazywany od braci synem Albijonu?
 On zniknął teraz, żadnej nie mamy poszlaki —
 Jeźli Mindowe zgwałcił tajemne umowy?
 Jeźli się targnął z mieczem na służbę kościoła —
 Słusznie zakon oburzy postępек takowy,
 I krew brata naszego, o krew Litwy woła.

HERMAN.

Rycerz o którym mówisz w więzieniu zamknięty,
 Nie oburzaj się — Litwin nie wart tych zabiegów.
 On poganin, zagnany aż do Niemna brzegów.
 Chroniąc się przed Mindową, przybrał habit święty,
 I znów pod tą opieką wrócił utajony,
 Szukać wydartej sobie przez Mindowę żony.
 Ale go nie zbawiły nasze święte szaty.
 Wczoraj, kiedym w ogrodzie odmawiał modlitwy,
 Odkryłem jego wieżę i przez okien kraty,
 Miecz mu podałem ostry.

HEJDENRICH.

Zbawiasz syna Litwy —

Nienawidzę Litwinów! pocóż z taką pracą
 Nawracać ich na wiarę? jakie ztąd korzyści?
 Chrzest nie zgasi wzajemnej ludów nienawiści;
 Mogliby płacić haracz — a teraz nie płacą.
 W nas gaśnie duch rycerstwa, zakonu granice
 Otoczą zewsząd tylko przyjazne krainy;
 Pójdziemyż ścigać błędne po stepach księżyce?
 Ha! chyba z morzem walczyć! lub z nurtami Dźwiny!
 Wygaśnie duch rycerski. — Idzie Litwy książę —
 Trzeba znów przybrać postać podłości, pokory —
 Jak jaszczurka zamorska zmienne mam kolory;

Lecz jestem posłem, straszna przysięga mię wiąże:
Cały zakon w Legata przedstawiam osobie.

(Daje znak, Herman oddala się. Mindowe wchodzi.)

Wielki królu, Bóg z tobą!

MINDOWE.

Pozdrowienie tobie!

HEJDENRICH.

Panie, tyś pomięszany? wzrok zamglony wróży,
Jakiś tajne zamiary, znamię wewnętrznej burzy.
Zapewne nie dość jeszcze ustalony w wierze,
Nie umiesz zbroić serca przeciw troskom świata;
Niepewny Boga, który z nieba czuwa, strzeże,
Niepewny jaka w niebie dla cnoty zapłata.
Modlitwą prędko ziemskie rozproszysz zgryzoty.

MINDOWE.

Modlić się? dzisiaj wziąłem ten różaniec złoty,
Ostrzem sztyletu święte przebiegałem ziarna,
Lecz na sztylcie była krew spiekła i czarna,
Nie wiem czyja? i kończyć nie mogłem pacierzy.

HEJDENRICH.

Królu! jeśli twoje serce żałuje i wierzy,
Bądź spokojny! nasz kościół nigdy nie zostawi
Twojej wiary bez nagrody, żalu bez pociechy:
Litościwy, odpuszcza, kocha, błogosławi.
Odkryj nam skryte myśli, wypowiadaj grzechy,
Nic nie ukrywaj synu, a sługa ołtarzy
Rozwiąże je na ziemi.

MINDOWE.

I któż się odważy

Zajrzeć w głąb tego serca, w tę przepaść rozpacz
I zbrodni. — Kto? ty, trwożny mieszkanię klasztoru?
Ja sobie nie przebaczę, nikt mi nie przebaczy.
Najmniejsza z moich zbrodni, a wielka z pozoru,
Żem się krwią zmazał —

(Pokazując sztylet)

Patrzaj tą krwią wypisane

Wszystkie są moje czyny na tej rdzawej stali —
Czy mi przebaczysz?

HEJDENRICH.

Ufaj! od Boga mi dane,
Mam prawo tych rozgrzeszać, co się krwią zmazali.

MINDOWE.

Żądasz czarniejszych zbrodni? Słuchaj! przez sklepienie
Jęczy! — Jego korona moje czoło kryje —
Słuchaj! usłyszysz drugie pod ziemią westchnienie,
Ale nie, nie usłyszysz — dotąd on nie żyje —
Czy mi przebaczysz?

HEJDENRICH.

Ufaj! wielka moc kościoła!
Nie będzie próżno błagał chrześcijański książe.
Szczerą twoją pokutą grzech okupić zdoła,
Co rozwiąże na ziemi, Bóg w niebie rozwiąże.
Więc odpuszczam! niech zniknie ta występku skaza.

MINDOWE.

Ty chcesz czarniejszych zbrodni? ty chcesz duszę ciemną
Przejrzeć aż do dna? patrzaj! pod berłem z żelaza,
Lud podły, ciemny, dziki, czołga się podemną.
Przycisnąłem go całym ogromem ciemnoty —
Bojaźń już nosi w sercu, chytrość w miejscu cnoty.
Patrz, jak ów ciemny Litwin na moje skinienie
Uchyła korne czoło, piersi krzyżem znaczy,
Choć wolałby przy piersiach czuć węża pierścienie,
Niż ten krzyż nienawistny. — Któż mi to przebaczy?

HEJDENRICH.

Panie! jesteś nad ludem byś mu przewodniczył;
A jeśli daną władzę spełniasz nadto srogo,
Jeśli chcesz posłuszeństwa, jeśli rządysz trwogą,
Bóg ci przebaczy — on sam władzy ci użyzył —
Ja ci przebaczam. —

MINDOWE, z gorzkim uśmiechem.

Dobrze! już jestem spokojny!

Pójdę teraz krzyżackie napadać dzierzawy! —
Dawno czekałem chwili sposobnej do wojny,
Skarb mój wycieńczał — ja sam stęskniłem do sławy.
Z waszej zaś strony nic mi nadal nie potrzeba;
Mam już złotą koronę, przebaczenie z nieba,
Idę kraj wasz napadać, szarpać włości Żmudzi.

HEJDENRICH.

Panie! ty mię doświadczasz tak gorzkimi słowy,
Lecz Krzyżak się marnemi słowy nie uludzi.

MINDOWE.

Com tobie wypowiedział, jam dowieść gotowy.
Patrz przez te ciemne kraty, na błonia stolicy,
Tłumem zebrani w polu błyszczą wojownicy —
Może się oni tylko zebrali na łowy?
A tam, niebo ogniste przywdziewa kolory,
Może to pożar wkraść się w nadniemeńskie bory?
Co, łatwowierny mnichu? teraz znasz Mindowę?

HEJDENRICH.

Niech cały ciężar zbrodni spada na twą głowę,
Pomnij na świętą wiarę!

MINDOWE.

Szydzisz ze mnie mnichu!

Pójdę się jutro modlić w krzyżackim kościele,
Pić będę wasze wino w święconym kielichu,
Moje gmachy klasztorным kobiercem zaściele.
I zmówię pierwszy pacierz gdy Mistrz Wielki skona.

HEJDENRICH.

Ty przez nas jesteś królem.

MINDOWE. rzuca koronę.

Tak! precz ta korona!

Rzucam ją — to mi ręce splecione rozwiąże —
Teraz jestem Mindowe, Książę, wróg Krzyżaków.

HEJDENRICH. rozdiera komżę i staje w zbroi i w zwierzchnim krzyżackim płaszczu.

A jam jest — brat Hejdenrich — Krzyżak, wróg twój Książę.
Pozbędę się tej szaty, tych pokory znaków —
Jak mię tu widzisz w zbroi, przysięgam na Boga,
Że słowa posła, memi nie były słowami.
Widzisz we mnie rycerza! widzisz we mnie wroga!
Po takiej czarnej zdradzie już zdrada nie plami,
Będę działał podstępnie i walczył otwarcie —
W twoim zamku podniecę zdrady i pożary,
Za morza pójdę błagać o zemstę — o wsparcie.
Płaszczu tego nie zrucę, aż na twoje mary

Rozściełę go całunem — i w wieczór i rano,
 Dodam jedno przekleństwo do moich pacierzy;
 Jeżeli Bóg je usłyszy? Bóg na cię uderzy,
 Nim te pochodnie zgasną! nim zorza nastaną!

(Wychodzi.)

MINDOWE, sam.

Grozi, ale napróżno, przezornym być muszę,
 Kiedy zwiódłem Krzyżaka — oni światem rządzą,
 Zbłądzili, choć myśleli że nigdy nie błędzą.
 Serce moje spowiedzią pozyskali skrusze.

(Lutuer wchodzi.)

LUTUER.

Panie spełniłem rozkaz. —

MINDOWE.

Dowmunt już nie żyje?

LUTUER.

Dowmunt nie żyje!

MINDOWE.

Starcze! starcze, biada tobie!

Jeżeli się jaki podstęp w twoich słowach kryje.

Chcę widzieć martwe ciało.

LUTUER.

Panie! on już w grobie.

Dotąd jeszcze, tak dotąd słyszę pieśń wesolą,
 Którą tam śpiewa grabarz kopiąc grób głęboki,
 I pot zimny na moje występuje czoło.

MINDOWE.

Gdzież go grzebią. —

LUTUER.

W więzieniu pochowano zwłoki.

MINDOWE.

Starcze! mój zamek w wielki zamieniasz grobowiec.

LUTUER.

Smutno mi, gdy rycerza zgon niesławny ima —
 Grób jego zapomniany, i żadem wędrowiec
 Kamienia nie dorzuci, wzroku nie zatrzyma.

MINDOWE.

Dość tego — słuchaj starcze! zerwałem z Krzyżakiem,
 W strasznym gniewie wręcemi odpowiadał słowy.

Dziś wojsko poprowadzisz Nowogródzkim szlakiem,
Przez głuche lasy — dalej przejdiesz bród Niemnowy,
Na łodziach lub wplaw — czasu oszczędzać należy —
A skoro ranek błysnie, ty, z poczem rycerzy,
Zagrzmisz pogańską pieśnią — od waszego śpiewu,
Zadrzą szyby Malbarga, wieże się zachwieją.

LUTUWER.

Jestże ten napad skutkiem gorącego gniewu?

MINDOWE.

Snułem go przewidzianych wypadków koleją.
Nigdy głębszą ufnością nie spały zakony —
Mysła że chrztu szatami jak dziecię spowity,
Zapomniałem o zbroi; że w blasku korony,
Zapomniałem o sławie; że w lasach ukryty,
Cieszę się barwą królów purpurowej szaty. —
Lecz powiedz Lutuwerze, jestżem tak bogaty,
Bym zapomniał o wojnie, napadach i chwale?
Patrz na kraje krzyżackie! O brzegów bursztyny,
Łamią się Bałtyckiego morza szklanne fale;
Na falach płyną miasta z dalekiej krainy,
Z płuciennemi żaglami — i z podległych danin
Wypłacają się mnichom, szlą im Franków wina,
Czary z kryształu, zbroje, sukna z cudnych tkanin
Jedwabiu, lub wielbłądów błędnych Tatarzyna.
A tu lasami łąki zarastają żyzne — —
Jakiż tu kupiec zajrzy? gdzież bogactwa moje?
Ubogą tylko wzięłem po ojcu spuściznę. —
Nie dbam ja o bogactwa! o złoto nie stoję!
Ale w skarbcu jedyna po ojcu pamiątka,
Jedna szata w rozliczne lśniąca malowidła,
Wagę złota płacona, z jedwabnego wątka,
Której barwy tak zmienne jak motyle skrzydła;
Jeden pas złoty, jedna kryształowa czara,
I ta się już rozbiła. Patrz! Krzyżaków miasta,
Czy to Malborg, czy morska Klepidawa stara,
Każde co dzień zamkami pod niebo urasta!
Lud jak w mrowisku tłumne napęlnia ulice,
Złotem błyszczą się gmachy, marmurem kaplice,

Dym z ognisk uwięziony wzlatuje nad dachy,
 Dachy łączą się z niebios przejrzystym błękitem :
 A tu — patrz Lutuwerze! jak posępne gmachy!
 Tu każda sala ciemnym połyska granitem —
 Gołe i zimne ściany — jeszcze los szyderca,
 Jakby mi chciał urągać? często w dnie zimowe,
 Ściany zdobi pokryciem srebrnego kobierca,
 Wilgoć mroząc na ścianach w kwiaty kryształowe.
 Nędza i wszędzie nędza!

LUTUWER.

Panie, noc uchodzi,

Trzeba śpieszyć —

MINDOWE.

Tak prawda! zeszła twarz miesiąca.

Pójdę — może mię nocy powietrze ochłodzi.
 Zawsze skarga tysiące wyrazów natrąca.
 Nadtom długo wyrzekał na mój los ubogi —
 Naprawię go, gdy w Żmudzkie uderzymy rogi.
 (Wychodzi z Lutuwerem.)

SCENA II.

(Przedsienie gmachu.)

ALDONA, leży bez czucia na ziemi. HEJDENRICH chodzi.

HEJDENRICH, podnosząc Aldonę.

Ha! cóż to za dziewczica? padła na marmury
 Bez czucia. Jakie cudne rysy bladej twarzy!
 Widziałem nieraz w kraju Franków kształtne córy,
 O których śpiewa truwer, błędny rycerz marzy;
 Żadna jej nie wyrówna — oto już spłonęła,
 Jak kwiat gdy się rozwija — budzi się — westchnęła. —

ALDONA, z pomięszaniem.

O mój luby! — on umarł — śmierć moja snem była.

HEJDENRICH,

Dziewico bądź spokojna! czuwa sługa Boży.

ALDONA, osuwając mu się do nóg.

Ktokolwiek jesteś? broń mię! strzeż mię! twoja siła
 Może te rygle więzień żelazne otworzy!

Boże! tam trup — trup jego bez głowy — o Panie!
Nieszczęsna jest ta, która twej pomocy wzywa.

HEJDENRICH.

Jesteś ty Chrześcianką? —

ALDONA.

Okropne pytanie!

Nie! nie jestem! nie jestem! jestem nieszczęśliwa!

HEJDENRICH.

Chrześcianin modlitwą nieszczęście osładza.

Lecz powiedz mi dziewico! ja wszystko uczynię.

ALDONA.

Wszystko? o nie, rycerzu, próżna twoja władza,
Nie wskrzesisz go! Widziałam, krew strumieniem płynie!

(Śmieje się z wzrastającym obłąkaniem i wpatruje w ciemność.)

Jakaś postać znikoma lecz do mnie podobna,
Oddziela się odemnie, przedemną się snuje;
Jest to część mej postaci, a jednak osobna —
Przy niej zostały uczucia — ona myśli — czuje —
Ja sama jak głaz jestem. — Wołam cię znikomy!
Cię się coraz oddala — coraz dalej — dalej —
Rozpływa się — już błądy — już ledwo widomy —

(Z rozpaczą.)

Ja bez uczucia zostanę!!! Serce się nie pali —
Ostygło — zapominam — pamięć słabo kreśli;
Mówię — a słowa moje nie są wątkiem myśli,
Myślę — a myśli moje nie są wątkiem serca. —

HEJDENRICH.

Jestem świadkiem początku zmysłów obłąkania.
Mindowe, ten poganin, ten ludzi morderca,
Godzien jest niebios kary. Lecz moje starania
Przywrócą jej spokojność, czarne zmysłów mary
Znikną przed złotem słońcem, przed promieniem wiary.

ALDONA.

Wiara? ja miałam niegdyś mojego anioła,
Byłam kapłanką wiosny, niedawnemi laty.
Pamiętam — obraz wiosny w gaju, w końcu siola,
Jej czoło uwieńczały świeże róży kwiaty,
W około jodły cichym usypiały szumem.

Ileż razy przy blasku srebrnego księżyca,
Sama, lub dziewic wiejskich otoczona tłumem,
Marzyłam — modliłam się! —

HEJDENRICH.

Nieszczężna dziewica!

Trzeba ją, jakby dziecko, łudzić wrażeń blaskiem.
Uchodź ze mną dziewico — po nad Niemna piaskiem
Stoi klasztor, tam świętych obaczysz królowę,
Jej obraz jest do wiosny podobny obrazu;
Będziesz ją kochać, wieniec z róż krasi jej głowę —
Tak piękna, tak litośna — a kolumny z glazu
W każde święto okryją gałązki jodłowe.

ALDONA.

Pójdę! pójdę za tobą. —

HEJDENRICH.

Już się księżyc zniża —

W cieniach nocy Mindowe ścigać nas nie może.
Weź płaszcz krzyżacki — kaptur — zawieś znamię krzyża.
(Okrywa ją swoim płaszczem.)

Dzisiaj jeszcze w Wojsielka staniemy klasztorze.
Wojsielko syn Mindowy, tygrys w szacie mnicha,
Ukorzy się przed świętą Legata osoką. —
Nie płacz piękna dziewico! nie płacz — Pan Bóg z tobą!
O! prędko w oczach dziewic strumień łez osycha.

A K T IV.

(Sala ciemna w klasztorze Wojsielka.)

SCENA I.

TROJNAT, WOJSIELKO, ORSZAK MNICHÓW.

WOJSIELKO.

Bracia, mówcie pacierze — oto w nasze progi
Nowy gość przybył, nowy klasztoru mieszkaniec.

Trojnacie porzuć zbroję, weź habit ubogi,
Za pasem bursztynowy zawieszaj różaniec,
Prędko! nie zwlekaj chwili.

TROJNAT.

Błagam was na Boga!

Wojsielko! nie chciej w grobie zakopywać brata.
Powróć mi wolność! — Wolność nad życie mi droga!
O Bogi! więc się za inną wieczna zamknie krata,
Życie pełne zwiednieje w samym wieku kwiecie.
A ten świat! świat —!

WOJSIELKO.

I cóżeś zostawił na świecie?

Ludzi? ja ich widziałem, oni mię widzieli,

(Pokazując na miecz wiszący na murze.)

Ten miecz krwią był obłany. — I bezpiecznieję głowę,

Złożysz tu na kamiennej klasztoru pościeli,

Niż na łonie człowieka. — Marności światowe!

Tu mniej marności, płyną godziny mniej chyże,

I ludzie tu się snują z zasepioną twarzą;

Ale ludzie ci milczą jak grobowe krzyże,

Chcą skarżyć brata? chyba przed grobem oskarżą.

Zakonnik ciemny, twardym miodem zapalony,

Mniej straszny od człowieka w miłośnej godzinie.

Lecz ty żądałeś władzy? żądałeś korony?

Będziesz ją miał. — Postrzydz go!

(Mnichy sadzają Trojnata na ławce kamiennej i przystępują do postrzyżyn.)

TROJNAT.

Nim chwila przeminie,

Te nożyce mię wiecznie rozdziela z światem.

Błagam ciebie Wojsielku! jesteś moim bratem — —

WOJSIELKO.

Jestem mnichem. — O! bracia zapalcie gromnice,

Niech wiecznie pochwalone będzie Boskie słowo.

Trojnacie — podnieś czoło! rozjaśń blade lice,

Śmiej się — a my pieśń będziemy śpiewali grobową.

Klasztor jest ciemnym grobem — tu wiara określi

Wszystkie twoje uczucia, zniknie zawiść czarna.

Tu zapomnij o myślach — gdy masz jakie myśli,

Powiąż je razem z krzyżem jak różańca ziarna.
 Wiecznie ograniczony murami ciemnymi,
 Gdy zgaśnie ta pochodnia, ty zgaśniesz na ziemi.
 Twoja prośba litości mojej nie obudzi.
 Ja byłem — byłem niegdyś tygrysem dla ludzi,
 I jeszcze raz nim będę. — Stańcie tu w około —
 Patrzcie — litość wzbudzają te włosy trefione,
 Co w tysiącznych pierścieniach spadają na czoło!
 Przystąpcie mnichy! włóżcie mu świętą koronę.
 (Mnich ustrzyga Trojnatowi pierścień włosów.)

TROJNAT.

O świat! świat!

WOJSIEŁKO.

Pierścień włosów spalić w kadzielnicy,
 Jest to dar serca, co się poświęca dla Boga.

TROJNAT.

Te włosy, twardą stałą przetarte przyłbicy,
 Przyłbicy, która była postrachem dla wroga,
 Spadną pod nożycami, jak za ciężkie winy —
 O świat! świat!

WOJSIEŁKO.

Dalej bracia kończyć postrzyżyny —
 (Wchodzi Hejdenrich i Aldona, zakryta całą krzyżackim płaszczem.)
 Któż to?

HEJDENRICH.

Papieżki Legat i książę kościoła —

WOJSIEŁKO.

Aż do ziemi pokorne uchylamy czoła —
 Panie! uświęć ten klasztor łaskawości względem,
 Właśnie dzisiaj zebrani w tem ustroniu cichem,
 Byliśmy wyświęcania zajęci obrzędem.

HEJDENRICH.

Cóż to? Trojnat! masz że ty wolę zostać mnichem?

TROJNAT.

Na moje wybawienie niebo cię przysyła,
 Ja nie mam! nie mam woli — tu mną rządzi siła.
 Oto gwałtem wiedziony do stopni ołtarza,
 Zalewałem się łzami —

HEJDENRICH.

I któż się poważy,

Przed ołtarze niechętnie prowadzić ofiary?

WOJSIEŁKO.

To za wolą Mindowy.

HEJDENRICH.

Ja mam wyższą wolę.

Uwolnić go natychmiast — albo święte kary

Jak gromy spadną na was zebranych w tem kole.

Kłątwa! kłątwa na klasztor! Już wasze modlitwy,

Posłane, nie ulecą aż do Boga tronu.

Wasze pacierze ściągną nieszczęścia dla Litwy,

W proch się rozsypią mury waszego zakonu;

Znamię przekleństwa nosić będziecie na twarzach —

Nikt zmarłych nie pogrzebie, trumny nie poświęci!

Kwiaty leśne porosną na waszych ołtarzach,

Na waszych murach spocznie Anioł niepamięci —

Ha! zadrżeliście Mnichy? chciałem byście drżeli —

Podnoszę kłatwę — moja przytomność jest darem,

Darem dla was. — Ja przez noc odpocznę w tej celi,

Wy zaś idźcie się modlić i złotym puharem

Pijcie za moje zdrowie. — Tyś wolny Trojnatcie.

TROJNAT.

Więc żegnam cię Krzyżaku! żegnam ciebie bracie!

Bracie Wojsielku, będę pamiętał o tobie!

(Odechodzi. — Po chwili Wojsielek i Mnichy, oddawszy ukłon Legatowi, oddalają się.)

HEJDENRICH.

O, lepiej Trojnatowi na świecie, niż w grobie —

Dla Mindowy wskrzesiłem zaciętego wroga —

Pomści się za mnie. — Zdala słyszę Mnichów śpiewy,

Za Legata modlitwy wznoszą się do Boga!

Wzburzam to morze mnichów i uśmierzam gniewy. —

Odpocznij tu Aldona. — Nieme obłokanie

Wyrte ma na twarzy, nie wyrzekła słowa.

(Aldona siada w głębi.)

Noc głęboka — nie prędko zabłyśnie świtanie.

Jaka w około cichość panuje grobowa!

O Bogu zapomniałem wśród światowej wrzawy.

Ja! zakonnik i po cóż mieszam się do świata?
 Dla czego przypasałem do boku miecz krwawy?
 Ubiegła dni połowa, mnogie przeszły lata,
 A ja pierwszy raz myślę — o! jak straszne męki —
 Myśleć —

(Słychać dzwon klasztorny.)

Klasztornych zdala dzwonów słyszę jęki —
 Kiedyś — może i prędko — dla mnie dzwon uderzy
 I cóż czynić? modlić się — niech się modlą ludzie!
 Zapomniałem modlitwy, nie umię pacierzy,
 A jednak — nieraz, nieraz w udanej obłudzie
 Klęczę, całuję zimne podłogi kościoła.
 Krwią skalany, mgłą czasu osłoniiony ciemną,
 Jestem wyższy nad ludzi; dla czegoż przedemną
 Aż do ziemi pokorne uchylają czoła?
 Mnie uczcili — uczcili szatana w człowieku —

(Po chwili.)

Jestem ostatni z ludzi? gdy wieki przeminą,
 Będą mię pokazywać jako widmo wieku;
 Mnich i zabójca ludzi. — Ciemna mar drużyno!
 Czemuś mię otoczyła? Precz! precz blade duchy!
 Oto chwila myślenia! oto chwila skruchy —!
 Precz szatanie! nie jestem już twoim w tej chwili.
 Już dno odkryłem w prawdy zatrutym kielichu —

(Po chwili, coraz gwałtowniej.)

Lecz po co ta dziewica? po co ta dziewica?
 Zastanów się nad sobą — zastanów się mnichu?
 Litość w tobie wzbudzają ukraszone lica —
 Ludzie jej nie wzbudzili? — Już dusza wyrwała,
 Włos osiwał — ja grzeszę? — Precz ztąd nieszczęśliwa!
 Ty mię wiedziesz do zbrodni, tyś mię obłąkała!
 Szatan w tobie zwodnicze ponęty ukrywa! —
 Precz! precz! Ona nie słyszy — dotknąłem się dłoni,
 I ogień mię pożera. — Aldona! Aldona!
 Weź ten sztylet — zabij mię. — Moje zmysły płoną.
 Zabij mię! zabij! — Boże! w tej cichej ustroni
 Tyle zgryzot. — Precz! idź się błąkać w lasach Litwy!
 O nie! zostań, nie mogę rozłączyć się z tobą.

ALDONA z obłąkaniem.

Słuchaj, naucz mię modlitwy.

Okryta czarną żałobą,

Będę się modlić. —

HEJDENRICH.

Nędzna, mów Ave Maria!

Uciekaj ztąd! Nieszczęsna! ona mię zabija!

Chodź ze mną, uciekajmy, te sklepienia choru

Spadną na nasze głowy — patrz już drżą filary.

Kocham ciebie Aldona! lecz w murach klasztoru

Nie śmiem tego powtórzyć — patrz te krwawe maryl

Męczenników, rzucają już obrazów płótna,

I stoją tu przedemną — ożyły obrazy. —

ALDONA.

Róża grobowa, smutna,

Okryła mogił głazy,

Usypia liści szelestem;

A on śpi w grobie! a on śpi w grobie!

Cha! cha! cha! powiem tobie,

Czem byłam dawniej — teraz już nie wiem czem jestem!

HEJDENRICH.

Obłąkana. — Mnich jakiś do tej sali zmierza.

(Wechodzi Mindowe w habicie mnicha, z zapuszczonym kapturem.)

Z czem tu przychodzisz nędzny klasztorny żebraku?

MINDOWE.

Z rozgrzeszeniem. —

HEJDENRICH.

Dla kogo?

MINDOWE.

Dla ciebie Krzyżaku.

HEJDENRICH.

Wiesz kto ja jestem? Komtur i Legat Papieża.

MINDOWE.

Wiesz kto ja jestem?

HEJDENRICH.

Może klasztoru posłaniec,

Co zbiega okolice i prosi jałmużny? —

Oto masz dar obfity.

(Rzuca mu pieniądź.)

MINDOWE.

Tyś mi jeszcze dłużny.

Jednym pacierzem — patrzaj! oto mój różaniec —

(Wyjmuje miecz z pod habitu.)

Z takim różańcem będziem odmawiać modlitwy.

HEJDENRICH.

Precz Mnichu!

MINDOWE, zruca ubiór mnicha.

Mnich już odszedł — został Książę Litwy.

HEJDENRICH, dobywa miecza.

Już ztąd nie wyjdiesz Księciem!

(Biją się. — Wpada Wojsielko i mnichy z pochodniami.)

WOJSIEŁKO.

Boże! Wielki Boże!

Mój — ojcie! ojcie! zkąd ta wściekłość sroga?

Na kogóż miecz podnosisz w święconym klasztorze?

Jest to posel Papieża! jest to posel Boga!

Mnich niezachwianej wiary, pobożny i święty.

Będziesz wyklęty ojcie i klasztor wyklęty.

MINDOWE.

Poznaj go synu, tego Papieżkiego posła.

Święty? dobrego nabył do świętości prawa?

Patrz na jego oblicze — ta postać wyniosła,

Raz się płaszczy do ziemi, znów z ziemi powstawa,

Jak wąż, w żelaznej łuski pierścienie uwita.

Raz jest nędznym grzesznikiem, znów świętą osobą.

To poczwara spragniona i nigdy niesyta —

Gdyby mógł lasy zabrać, zabrałby je z sobą.

Złotą ukrywa zbroję w płaszcz z wełny ubogi —

Poznajcie posła — dobrze poselstwo odprawił!

Więcej zabijał ludzi, aniżeli zbawił.

Nie sam ujechał — patrzcie! to towarzysz drogi,

Myślicie że to Krzyżak pokorny i cichy?

Odkrycie jego szaty. — Skamienieli mnichy!

Patrzcie! on z tą dziewicą uchodził do piekła.

WOJSIEŁKO. Słuchał z natężeniem słów Mindowy i rozerwał różaniec,
który trzymał w dłoni; ziarna posypały się po ziemi.

Otoczyć wejścia! — Ojcie — patrz! różaniec złoty

Pękl w drżącej wściekle dłoni — płonę ze sromoty.
Dajcie miecz. —

HEJDENRICH.

Precz ztąd! mnichów zgrajo wściekła!
Pogardzam waszą zemstą! zapęd marny, płonny.
Oto się ciemnym tłumem napełnia komnata,
Ja rzucam miecz na ziemię — sam wyjdę bezbronny,
I nikt się tknąć nie waży osoby Legata;
O tyle jestem wyższy nad te podłe tłumy!
Wychodzę — wam przekleństwo zostawuję Boga!
(Mnichy rozstępują się, Hejdenrich wychodzi.)

WOJSIELKO.

Któż widział tyle zbrodni? razem z tyłą dumy?
Wyznaję: mnie samego ogarnęła trwoga!
I ty milczałeś ojcie. —

MINDOWE.

Dziwi mię odwaga.

Gdzie Trojnat?

WOJSIELKO.

Przez Legata został uwolniony.

MINDOWE.

Trojnat wolny! o nieba on pragnie korony!
Zły los moje zabiegi niszczy i przemaga.
Wyście go uwolnili — — O! mnichy przekłete,
Miło wami szeptać pacierz po murach zakonu,
Na łonie beczynności wiodąc życie święte;
Lub dzwonić po umarłym, a słysząc jęk dzwonu,
Razem z dziedzicem z cudzej radować się śmierci,
Że wam znów grosz za pogrzeb wpłynie do karbony.
Z ziemią ja kiedyś zrównam ten wasz gmach święcony!
Was samych wplotę w koło, rozsiekam na ćwierci.

MNICH I.

Tobie służymy panie, służąc naszej wierze,
Za ciebie codziennie mnogie mówimy pacierze.
Obraliśmy patronkę — na jednym z ołtarzy
Kędy Solimskiej matki Boskiej malowidło,
Stawialiśmy sześć wielkich złocistych lichtarzy,
I tyleż świec z żółtego wosku — i kadziło.

Lecz jeśli modłów naszych nie miała na względzie,
 Odtąd inna patronka stróżem Litwy będzie;
 Odtąd ołtarzom panny Marii z Ankony,
 Powierzamy los Litwy i straż twej korony.
 Lecz ołtarz jej ubogi —

MINDOWE.

Skarbu nie wycieńczę,
 Bogacąc nowej dzisiaj patronki obrazy;
 Znam jej łaskę i za nią sownie odwdzięczę.
 A mając do Marii Solimskiej urazy,
 Chcę żeby wszystkie złoto i drogie kamienie,
 Przeszły odtąd na ołtarz Marii z Ankony. —
 Oto niedługo słońca zabłysną promienie,
 Może się zdrada wciska w mój gmach opuszczony;
 Wracam do zamku śledzić podstępny Litwina.
 Aldona, co krzyżackie ukochałaś zbroje,
 W nadziei że Malbarga okraszysz pokoje,
 Dziś wrócisz do ciemnego zamku poganina.
 (Mindowe wychodzi z Aldoną. Mnichy szepejąc pacierze rozchodzą się po celach.)

SCENA II.

(Noć. Las sosnowy.)

LUTUWER, wyciągając rękę.

Już się do Nowogródzkich zamków nie dostanę.
 Rycerze mię odbiegli — umrę! umrę w lesie!
 Jutro spłonę no stosie, wiatr prochy rozniesie —
 Miecz krzyżacki głęboką zadał w piersi ranę.
 I Krzyżak co ugodził, miecz zostawił w ranie,
 A ja ten miecz poznałem — okropne poznanie!
 Na nim godło Dowmunta. — A gdzież jest Mindowe?
 Powiem mu. — Oh! oh! konam — do zawarcia powiek
 Pomóżcie cichym szmerem gałęzie jodłowe —
 Konam w rodzinnych lasach. —

(Mindowe wchodzi — za nim Aldona.)

MINDOWE.

Ha! cóż to za człowiek?

Zraniony — krew na wrzosach!

LUTUWER, wyciągając rękę.

O Panie! o Panie!

Przybliż się — tajemnica. —

MINDOWE.

To ty Lutuwerze?

LUTUWER.

Konam! —

MINDOWE.

I tajemnicę odkrywa skonanie.

Jakaż to tajemnica?

LUTUWER, cicho.

Królu! w krzyż nie wierzę —

Nie mam wiary — i krzyż mię nie może przekonać.

MINDOWE.

Skonaj bez wiary. —

LUTUWER.

Panie! panie! daj mi wiarę!

Jakąkolwiek! nie mogę tak bez wiary skonać —

Przyjąłem chrzest gdyś kazał — dzisiaj Bogi stare

Wołają mię! wołają! każ mi wrócić —

MINDOWE.

Każę.

LUTUWER.

Jodło, tyś moim Bogiem! — Oto Litwy gromy,

W proch obróciły złote Krzyżaków ołtarze.

Od twoich zamków, niższe dziś krzyżackie domy. —

O straszny! straszny byłem, gdy na mnichów głowy

Ciskałem oszczep — zakon czoła nie podniesie —

MINDOWE, odwraca się. —

Co to za stuk? —

LUTUWER.

O panie! to nic — to po lesie

Litwini tną gałęzie na mój stos grobowy.

Czy to mi rosa spadła na czoło!

MINDOWE.

Łza moja. —

LUTUWER.

Od dzisiaj będzie rosą rdzawieć starca zbroja — —

Jak za temi chmurami mgli się blask księżyca,

Jeżeli jej od rosy wnuki nie ustrzegą.
 Oh! panie jak mi cięży jedna tajemnica!
 Przeklniesz! nie wypełniłem rozkazu — —

MINDOWE.

Którego? —

LUTUWER.

Oh!!! zabójstwa! —

MINDOWE, zimno.

Którego?

LUTUWER.

On żyje. —

MINDOWE.

Kto taki?

LUTUWER, coraz słabiej.

Nie pomnę już imienia — Muszę przypominać —
 On mię zabił — chcę przekląć, on walczył z Krzyżaki.
 Nie pamiętam imienia — nie mogę przeklinać!
 Oh! oh! oh! —

(Kona.)

MINDOWE.

Skonał — zimny. — Patrzę na twarz bladą,
 I zamiast starca rysów, z uwiędłym wyrazem,
 Widzę rysy dziecięcia — — Wychowani razem
 Ja go dzieckiem widziałem. — Dziś go na stos kładą.

(Wchodzą żołnierze.)

Litwini — nieście za mną Lutuwerę zwłoki,
 Do zamku Nowogródka. — Tam wzniesć stos wysoki —
 (Odchodzi dając rozkazy, za nim wynoszą ciało Lutuwerę.)

SCENA III.

(Świątynia pogańska w Nowogródzkim zamku.)

ROGNEDA, przy ołtarzu sypie kadzidło.
 Boże Piorunu! rzucam dla ciebie kadzidło!

Wonny się bursztyn pali.
 Niechaj twoje mgliste skrzydło,
 Białowiejskie puszcze wali;

Zostaw tam lasy ogniem zapalone gromu.

Przybywaj! przybywaj Boże!

Wszystkie duchy do książąt przybywajcie domu,
Nim wasze ciemne twarze, jasne rozmgli zorze. —

Już słyszę jako szumi wzdęta nawałnica,

Kiedy sosny druzgota Boga wichru ramię;

Z takim szumem wir duchów przy blasku księżyca,

Płynie, topi się i łamie.

Matka królów was wita!

Oto dla was ofiary,

Rzucam w kadzielnic żary.

To dla bogini wiosny — ten kwiat co rozkwita,

A to dla Boga zimy — ten kwiat co usycha,

A to dla Boga piekieł — brylant z krzyża mnicha.

(Po chwili.)

Rozwidniają się duchy w mrocznym kadzidl dymie.

Bogi! syn mój do dawnej znów powrócił wiary,

Na waszych zgłiszczach setne zapali ofiary.

Mindowe — syn mój — z dumą powtarzam to imię!

Mindowe! czy słyszycie! powiedzcie mi Bogi

Czy on będzie szczęśliwy? czy długo los błogi

Utrzyma go na tronie? czy przekleństwa moje,

Które niegdyś ściągnęła gorzka jego wina,

Nie zaszkodzą mu w życiu? Przeklinając syna,

Bałam się ich spełnienia i teraz się boję.

Mówcie —! Lecz serce własnym modłom nie dowierza:

Już mi braknie na wasze zakęcie wyrazu — —

Mówcie!

GŁOS Z OŁTARZA.

Mindowe zginie od ręki rycerza,

Który poległ zabity z Mindowy rozkazu.

ROGNEDA.

To był głos ludzki! nie, nie, to są Boskie słowa!

Bogi, czemuż tak nagle znikacie przedemną?

Daliście mi odpowiedź okropną i ciemną.

Zniknęli, znów mię ciemność okryła grobowa.

To może natężone zmysły mię uwiodły.

(Oddała się. — Trojuat i Hejdenrich wychodzą z za filarów gdzie byli ukryci.)

TROJNAT.

Rogneda za Mindowę zasyłała modły.
Nie można na nią liczyć — to matka. —

HEJDENRICH.

Trojencie!

Słyszałeś jaką dałem odpowiedź z ołtarza?
Pierwszy raz Legat zasiadł w takim majestacie;
Pierwszy raz posłańcowi papieżów się zdarza,
Dawać wyrok przez usta pogańskiego Boga —
Lecz Mindowe za nami z klasztoru przybędzie;
Nie wie że w zamku znajdzie ukrytego wroga!
Gdy walczy w Prusach, Krzyżak stolicę zdobędzie,
I za wszystkie poprzednie zdrady mu zapłaci. —
Panie! na twe rozkazy mam dwudziestu braci,
A każdy zbrojny mieczem i krzyżem i tarczą.
Teraz gdy na Krzyżaków wyszli wojownicy,
Te małe siły w naszych zamiarach wystarczą;
Potem miodem znęcimy zmienny lud stolicy.

TROJNAT.

Z nocą trzeba otoczyć zamek z każdej strony,
Ja sam się wkradnę z mieczem w znany gmach zamkowy,
Zgładzę dzieci, by przez nich nie stracić korony.

HEJDENRICH.

A Mindowe?

TROJNAT.

Kto inny knuje śmierć Mindowy.

HEJDENRICH.

Lecz książę gdy zasiądziesz w Litewskiej stolicy,
Czy wspomnisz że ci Krzyżak dopomógł w zamiarze?

TROJNAT.

Wzniosę ołtarz. —

HEJDENRICH.

O! niechaj w proch padną ołtarze!

Ale nie waż się wdzierać do pruskiej dzielnicy,
Nie waż się —

TROJNAT.

Tak, zadosyć uczynię twej chęci,
Usługę waszą w wiecznej zachowam pamięci.

Idźmy! Idźmy! Mindowę już w rękę trzymamy,
Idźmy otoczyć zamek i osadzić bramy.

A K T V.

(Sala w pałacu Mindowy.)

SCENA I.

MINDOWE, ROGNEDA siedzi na przodzie sceny.

MINDOWE.

Matko! próżna ucieczka, w każdej zamku bramie,
Widzę, błyszczą zdaleka buntowników zbroje.
Jak tygrys w klatce, chyba mury te rozłamie?
Nigdy się nie bał śmierci — teraz się nie boję —
Lecz rozpacz ogarnęła, wściekłość mię porywa.

ROGNEDA.

O synu mój! nie umrze ten kto Bogów wzywa,
I kto z ufnością boskim wyroczniom zawiera.
Słuchaj — nie możesz zginąć jak z ręki rycerza,
Który poległ zabity za twoim rozkazem.
Ufaj i śmiało ludzkim pagardzaj żelazem,
Chyba umarli wstaną — —

MINDOWE.

Kto? te mnichów tłumi
Którzy poszli do piekła. — Kto? te Niemcy harde
Którzy z życiem wrodzonej pozbyli się dumi.
Dla żywych i umarłych równą czuję wzgardę —
Umarłych się nie lękam —

ROGNEDA.

Lecz Dowmunt?

MINDOWE.

Śpi w grobie.

Gdyby ci wstawać mogli których grób pokrywa,
Nie śmiałyby się żony ubrane w żałobie,

Ani dziedziców radość byłaby tak żywa.
 Matko — i ja nie wrócę gdy dziś w grobie zasnę.
 O zamku! co przetrwałeś długie wieków burze,
 Ciebie najprzód powita jutro słońce jasne,
 Ja ciebie żegnam. — Zamku! na wysokiej górze,
 Byłeś ty gniazdem orła, orzeł ciebie wslawił,
 W tobie zasypiał, w tobie zwykł łupy pożerać,
 I nieraz cię krwią ofiar niewinną zakrwawił;
 Ale czyż orzeł w gniedździe powinien umierać?

ROGNEDA.

Serce rozdierasz synu.

MINDOWE.

Rozdzierałem serca.

Bezbożny — zbójca — tyran — obłudnik — morderca.
 Jedna z tych zbrodni ludzkie wypali sumienie;
 Jam wszystkie spełnił — zimno — znużony po zbrodniach,
 Głębiej teraz spać będę i w grobowe cienie
 Przejdę, przy jasnych wiosek krzyżackich pochodniach.
 Ach matko! ciężkie było moje życie,
 Czułem, choć twarzą boleść wskazywałem rzadko.
 Nikt mię nie kochał! —

ROGNEDA.

Słyszysz tego serca bicie?

Kochałam cię. —

MINDOWE.

A jednak przekleñasz mię matko!

ROGNEDA.

Nie masz ty serca synu! — On mi przypomina
 Przekleństwo zapomniane!

MINDOWE.

Tu czara nalana

Słodkiem winem — truciznę przymieszam do wina.

(Sypie truciznę.)

O matko! tu Aldona idzie obłąkana.

(Wchodzi Aldona i w obłąkaniu zdaje się kogoś prowadzić za sobą.)

ALDONA.

Chodź tu za mną Dowmuncie — w tej sali tak głucho,

I ty za głośno stąpasz — słyszy moje ucho
Ciężkość twoich odetchnień — szelest twojej szaty —

(Po chwili.)

Tam na grobie rosną kwiaty,
A w grobie? — Grób ten dwoje kochanków przykryje.

(Po chwili.)

Chodź za mną — daj mi rękę — jak twe serce bije?

Bije za nadto głośno, Mindowe usłyszysz!

Czego tak głośno stąpasz? W pałacowej ciszy

O sklepienie się każde westchnienie roztrąca.

I uśmiech taki zimny — i dłoń taka drżąca.

(Idzie do okna.)

Czemu tak wcześnie? czemu tak wcześnie?

Już mię porzucasz, drogi mój! miły?

Jeszcze gmach cały spoczywa we śnie!

Ledwo wieczorne gwiazdy zaśniły.

Lecz oko twoje mego unika,

I łzami smutna błyszczy źrenica.

Czy cię tak smuci ten głos słowika?

Czy cię tak smuci ten blask księżycy?

MINDOWE.

Nieszczęśliwa — więc dam jej zatrute napoje —

I któżby z ludzi sądził, żeby serce moje

Miało tyle litości?

(Podaje Aldonie czarę.)

Dowmunt ci przysła

Ten napój — wypij — zaśniesz.

ALDONA, z uśmiechem.

To Dowmunt? —

MINDOWE.

Wypiła —

ALDONA.

Noc była ciemna i chłodna,

Czułam jak się myśl moja rozdzielała ze mną,

I mowa z wątkiem myśli stała się niezgodna.

Straszna to była chwila, jeszcze w noc tak ciemną!

Lecz dawniej — kiedyś — w tej samej dobie,

Była straszniejsza chwila w tej sali. —

Aldono! tyś pobladła — Aldono, co tobie?

Nie mi, mój luby — czy słyszysz dźwięk stali?

Chroń się — o Boże! wyłam okien kraty. —

(Śmieje się z obląkaniem.)

Tam na grobie rosną kwiaty,

A w grobie. —

(Śmieje się dziko.)

Aldono! tyś pobladła — Aldono, co tobie?

Nie mi, mój luby — bywaj zdrów na wieki!

(Wychodzi zamyślona.)

MINDOWE.

Niech prędko sen śmiertelny zamknie jej powieki. —

ROGNEDA.

Słyszę jakieś stąpania — synu! synu drogi!

Patrz, oto klucz od świątyń — przez te drzwi komnaty

Uchodź — tam będą bronić wielkie Litwy Bogi,

Tam w ołtarzu odemkniesz potajemne kraty.

Jest wyjście do ogrodu, kędy lampa świeci —

Zapomnij przekleństw.

MINDOWE, wskazując na jedne drzwi.

Matko! tam! tam moje dzieci! —

(Wychodzi innemi drzwiami.)

ROGNEDA, sama.

Poszedł — ostatnich jeszcze kroków szelest słyszę!

I te już nikną — poszedł — wszędy grobu cisze. —

(Po chwili.)

Gdzież jestem? Czy młodości wróciła godzina!

Wszyscy są tu, koło mnie. — Księżęca rodzina

Otoczyła mię w koło. Nie są to obrazy,

Które z płótna się patrzą nieruchomym wzrokiem.

Widzę ich — na obliczu czas nie wyrzył skazy,

Nie zakryli się żadnym, posępnym obłokiem.

Jak wczoraj pożegnani.

(Mówi do otaczających ją duchów.)

Ryngolcie! mój mężu!

Siądź tu przy mnie. — Patrz, jak ta dziecina na łonie

Uśmiecha się i w twoim podoba orężu.

Nie rusz miecza, Mindowe, okaleczysz dłonie!

Masz kwiatek, baw się z kwiatem, dziecię! duszo moja!
Ty się uśmiechasz, mężu! Ryngolcie kochany!

(Słychać szcęk broni.)

Broń jęknęła. — Ryngolcie, czy to twoja zbroja
Zajęczała tak smutnie? Czy miecz spadł ze ściany?
Ty znikasz — pójdę z tobą — nigdy się nie chwiałam —
Czy przyjmiesz mię do grobu? czy przyjmiesz? —

(Przez kilka chwil milczy zamyślona — Trojnat ze sztyletem w ręku, blade,
przechodzi przez głab sali — i wchodzi do pokoju dzieci przez drzwi, na
które Mindowe wskazał, oddalając się.)

Słyszałam! —

Tak, to on był!

(Mindowe wraca.)

MINDOWE.

Kto, matko! Kto, matko!

ROGNEDA, z zadziwieniem.

Mindowe?

Po coś tu przybył! Po co szukasz tu schronienia?
Uciekaj! Miecz ukryty spadnie na twą głowę.

MINDOWE.

Nikogo tu nie widzę, oprócz mego cienia,
Który po raz ostatni pada na te ściany.
Matko, widać nieszczęściem umysł twój zbłąkany?
Próżna ucieczka, losy niechaj się uiszczą —
Byłem w świątyni, zewsząd zdraadne miecze błyszczą.
Czy był tu kto?

ROGNEDA.

Gdzie Trojnat? Trojnat tu przechodził!
Zdaje się że widziałam sztylet — we krwi brodził.

MINDOWE.

Gdzie Trojnat? Matko moja! gdzie Trojnat — on zginie!
Chciałbym ukarać sprawcę niegodnego czynu.
Matko, powiedz! ach powiedz! nim chwila przeminie —
Będzie zapóźno —

ROGNEDA, z rozpaczą.

Ja go nie widziałam, synu!

Nie lękaj się — nie zginiesz od Trojnata dłoni!
Siła wyroczni ciebie od zgonu zasłoni;
Chyba umarli wstaną, chyba Dowmunt wstanie.

MINDOWE.

O Matko! oby prędzej zabłysło świtanie!
 Zaledwo się od wschodu rozwidnia noc ciemna,
 Srebrne mgły się podnoszą. — Zda mi się że słyszę,
 Jak smutno szumią wody błękitnego Niemna,
 Jak pośepnie litewskim borem wiatr kołysze.
 Matko, czujesz — przez okna tej gotyckiej sali
 Kwitnących jodeł płynie balsamiczne tchnienie —
 O Litwo moja! syn twój na ciebie się żali —
 Zdradzasz go. — Niech już słońca zabłysną promienie.
 Nie wytrzymam, tak srodze duszę moją nęka
 Ta nad głową z sztyletem zawieszona ręka.

(Podczas ostatnich słów wchodzi Dowmunt w krzyżackiej zbroi, z zapuszczoną przyłbicą. — Rogneda do końca aktu siedzi nieporuszona.)

DOWMUNT.

Zapłaciłbym krwią moją tak podle wyznanie!
 Boisz się umrzeć — zgonu boisz się, tyranie?
 Proś i głoś żal za życiem niewieściami słowy! —
 Nakarmię dziką zemstę bojaźnią Mindowy —
 Ujrzę płacz rzewny dziecka!

MINDOWE.

To Krzyżak! strach marny.

Dzieci tylko przeraża zbroja i krzyż czarny —
 Broń się. —

(Biją się i po długiej walce zastanawiają się oba.)

A więc innego użyjmy sposobu.

Oba odrzućmy zbroje — ten, kto mię zabije,
 Musi wprzód wejść do grobu, potem powstać z grobu.

DOWMUNT.

Pomnisz Dowmunta?

MINDOWE.

Skonał.

DOWMUNT, podnosi przyłbicę.

Już zmartwychwstał, żyje —

Patrz, kto ja jestem!

MINDOWE.

Matko! matko! mąż Aldony!

DOWMUNT.

O Boże! mąż Aldony! Tak jest, mąż Aldony!

Broń się, nieszczęsny! Cała wściekłość mi wróciła.
Odemszczę w krwi tyrana — nieszczęścia mej żony!

MINDOWE.

Więc i śmierć jej odemścij.

DOWMUNT.

Jakto? ona żyła!

I choćby serce uszło, ja mój wzrok ożywi —
Będziemy jeszcze razem, będziemy szczęśliwi!
Jak dziecka strzedz jej będę i osłodzę płacze —
Powiedz że ona żyje! wszystko ci przebaczę,
Nawet tę wieść ostatnią, okropną i ciemną.

MINDOWE.

Ona piła truciznę, zginie razem ze mną.

DOWMUNT, przebija go.

Ty prędzej zginiesz! — Boże! Aldona! Aldona!

(Wybiega.)

MINDOWE, opiera się o filar sali.

Krew mi płynie strumieniem z rozdartego łona.
Matko moja! chodź, zamknij, zamknij oczy syna! —
Jak się ciężką wydaje ta żelazna zbroja!
Ten miecz okropny mrozem krew mi w żyłach ścina.
Czyżes mię opuściła, matko! matko moja! —
Przekleństwo wam! O mnichu! mnichu! precz mi z krzyżem.
Na tron nieście — a w mnichy Trojnata postrzyżem.
A ty, po co nademną szepczesz te pacierze?
Boże mój — Boże — ciągle odzywa się we mnie —
Precz mnichu! sen przerywasz — niech boleść uśmierzę,
Niech zasną, oh! niech zasną — daremnie! daremnie!
W strasznych bolach o wszystkim w świecie zapominam —
Świat i ciebie przeklinam — i dzieci przeklinam —
Wszystkich przeklnę! — O matko! gdzie są moje dzieci?

(Trojnat wychodzi z pokoju dzieci ze sztyletem w ręku.)

TROJNAT.

Nie! tu nie ma nikogo — lampa tylko świeci.
Gdzież ta korona? gdzież jest? zabić bez nagrody?
Gdzież jest moja korona? gdzie purpura księcia? —
Jak mi ciężko — okropnie —

(Patrzy przez okno.)

Słyszę ranne chłody,
 Spojrzę na ziemię — róża jest jak twarz dziecięcia,
 Spojrzę na niebo — księżyc jest jak twarz dziecięcia —
 Wszystko mi przypomina! Raz pierwszy krew leję —
 Potem przywyknę — teraz pot się sączy z czoła.
 Noc straszna! Włos od zgryzot przez noc mi zbieleje —
 Jakiś szmer słyhać — może to mię dziecię woła?
 Czy wrócę ich dokonać? Nie — tak mi się zdało —
 Ciemno lampa płonęła, jedno z dzieci spało,
 Po płaczu utulone jak na łonie matki,
 I przez sen niespokojne marzyło wyrazy.
 Drugi już się przebudził — i wołał o kwiatki,
 I niewyraźne dawał piastunce rozkazy;
 Potem nagle zapłakał, gdy żadnej nie było,
 I jakby mu się jeszcze coś strasznego śniło,
 Jeszcze zapłakał — jęknął — znów cicho w komnacie,
 I jeszcze — jeszcze jęknął —

MINDOWE.

Trojnacie! Trojnacie!

Skończ! skończ! przekleństwo tobie! O boleść straszliwa!
 Mocniejsza teraz, kiedy życie dogorywa!
 Gryzłbym z jękiem te twarde kolumny, marmury —
 Przeklinam ciebie — matko ty przeklinij mordercę!
 Twych przekleństw ja doznałem. — Boleści tortury!
 O, gdyby prędzej skończyć! Przebij mi to serce!
 Lecz nie tym mieczem, którym zabijałeś dzieci —
 Precz! precz! czuję — duch z jękiem ostatnim uleci!

Oh! oh! oh! —

(Kona.)

(Dowmunt wpada, prowadząc za sobą obląkaną Aldonę.)

DOWMUNT.

Ach, przemów! przemów do mnie, o droga Aldono!

ALDONA, śpiewa z obląkaniem.

Oto złotą osnową
 Winie mi się wrzeciono,
 A ja śpiewam dziecinie:
 Jeśli się nie uwinie,

Uwieńczona koroną;
Będiesz kiedyś królową.

(Przestaje śpiewać.)

Jeśli się przerwie — pieśń ci zaśpiewam grobową.
Pamiętam, tak mi niegdyś piastunka śpiewała;
Czy się ta nie uprzedła? czyli się urwała?
Nie wiem — już nie pamiętam, to tak dawno było!

DOWMUNT, z rozpaczą.

Czy ty mię znasz, Aldono?

ALDONA, zimno.

Tak — myśmy się znali
We śnie. — Tyle mi twarzy na świecie się śniło!
Któż sny pamięta? —

DOWMUNT.

Lampa tak ciemno się pali,
Dla tego nie poznała. —

(Bierze lampę i z nią przystępuje do Aldony.)

Patrz! twój Dowmunt żyje,
Stoi przed tobą. — Patrzaj! choć nieszczęście zmienia,
Nie zmieni rysów twarzy — zginął stróż więzienia,
Ja odzyskałem wolność. —

ALDONA.

Ach, jak mi wesoło!

Idę do ślubu, wianek zawieszę na czoło. —

Jeden kwiat polnej róży

I dużo rozmarynu —

Niechaj mi szczęście wróży;

Dwie gałązki jaśminu,

I jeden liść paproci. —

Patrzaj! oto poranek blade niebo złoci —

I tak mi słabo — tak mi w oczach ciemno.

DOWMUNT.

O luba! droga moja — chodź ze mną!

Nie płacz — czas wszystko zgładzi — zmysły ci powrócą;

Strzedz cię będę jak kwiatu, otoczę kwiatami —

Żadne ponure myśli szczęścia nie zakłóca!

Kzy moje cicho będą płynąć z twemi łzami. —

ALDONA , wpatrując się w Dowmuntą , z uśmiechem.
Dowmunt! —

DOWMUNT.

Ty mię poznałaś?

ALDONA oglądając się.

Jak tu ciemno w gmachu.

To kwiaty na podłodze? —

DOWMUNT

Krew skalala glazy.

Chodź, chodź! Oto ich twarze pobladły z przestachu.

ALDONA , śmiejąc się z oblakaniem.

Cha! cha! Ten śmiech mi łamie na ustach wyrazy,
I ból. — Niech go uczuję głębiej — Oh! rozdziera,
Rozdziera mi wnętrzności. — Wyrwij mi go z łona —
Już widmo ciemne myśli bladnie — obumiera —
I wszystko przeszło. — Boże! oh! oh! — oh! —

(Umiera.)

DOWMUNT, padając przy niej na kolana.

Aldona! —

(Wchodzi Krzyżak.)

KRZYŻAK. do Trojnat.

Kapłan litewski panem Litwy cię ogłasza,
A lud radośnym krzykiem jego wybór święci.

TROJNAT.

Nie gadaj do mnie — wszystko wygasło w pamięci —
Lecz głos dumy sumienia boleści rozprasza.
Może o tem zapomnę, gdy włożę koronę! —
Dowmuncie! chodź z tej sali. —

DOWMUNT.

Patrzaj na Aldonę,

Jaka blada, jak zimna — to Aldona!

TROJNAT.

Blada?

Ach! właśnie taka bladość była dzieci twarzy,
Tak były ciche, zimne. — Okropna to zdrada —
Zabijać dzieci! Ale mi się marzy
Że jeden jeszcze westchnął — pójde tam — zobaczę —
Nie, nie, to było tylko konających drganie.

Tyle razy słyszałem z ich kolebek płacze,
Nie dziw że mi się marzą.

KRZYŻAK

Lud cię woła, panie.

TROJNAT.

Tak prawda — lud mię woła i na króla święci.
Matko! matko Mindowy! spełnione twe chęci.
Cóż to? Nie słyszysz matko? — Nic nie odpowiada —
Rognedo! twego syna ziemia dziś pokryje.
Rognedo? czegoż milczysz?

(Zbliża się do nieruchomie siedzącej Rognedy.)

Przebóg! jaka błąda,

Nieruchoma — skościła — zimna!

(Bierze ją za rękę.)

Już nie żyje! —

Ktokolwiek zechce przeczytać do końca zbiór niniejszych poezji, przekona się jak mało czytelnika sobą i własnymi uczuciami zatrudniam. Usilnie kryłem się za osoby działające w powieściach; a jeszcze mniej widać autora w dziełach scenicznych. Odczytując świeżo dramat Mindowe, wpadam na myśl, że pierwszym z zarzutów krytyka może być niedostateczność układu, drugim bezbożność, a oprócz tych zarzutów, ileż błędów wiersza nie wysledzi oko wglądającego przez mikroskop gramatyka! Niech mi więc wolno będzie, uprzedzając krytyki, wyznać, że sam czuję najlepiej wszystkie niedostateczności dramatu Mindowe, a części przynajmniej błędów starałem się w Marji Stuart uniknąć. Mamże jeszcze z szczerzą otwartością postąpić? Mamże wyznać że Mindowe jest najmłodszym z płodów w dwóch tomach zawartych, napisany przed trzema laty, wtenczas, kiedy autor miał lat — — Ale nie, zamilczę o wieku autora, bo to byłaby nadto słaba i bezużyteczna obrona, i możeby słuszenie jakie z pism periodycznych polskich, naśladując EDINBURGH REVIEW — tylko samo bardziej błahe i nad bardziej blahym pastwić się autorem — powiedziało: iż kiedy nie na tytule dzieła, to przynajmniej w przypisach o przywileje małoletnich upominam się. I tak: Mindowe powinien był wiecznie w tece dziecinnej pozostać; wiecznie by w niej pozostał, gdyby nie dziecinne moje przywiązanie do kilku scen pierwszego aktu i do całego aktu trzeciego. Ależ i w akcie trzecim, na który niejako uwagę czytelnika zwrócić usiłuję, pozostało mi tu uczynić przykre może dla wielu innych, choć dla mnie mało ważne wyznanie. Jeden z Literatów, który dawniej przebiegał sceny Mindowy, uczynił

mi zarzut, że scena, gdzie Mindowe porównywa Litwę z krajem Krzyżaków, a bogactwa swoje z bogactwem zakonu, jest naśladowaniem mowy Litawora w ślicznej Grażynie Mickiewicza. Pisząc tę scenę, miałem tylko przed oczyma kilka miejsc z kronik, kilka miejsc z historii Karamzyna, gdzie nieraz z upodobaniem czytałem o dawnem ubóstwie królów i kniaziów. Nieraz książę Tweru albo Nowgorodu, testamentem rozpisując swoje skarby: jednemu z synów kubek, drugiemu szatę jedwabną, trzeciemu łańcuch daje w spuściznie. Takie homeryczne ubóstwo królów ówczesnych podało mi myśl wzmiankowanej sceny, i aby ją uczynić zupełnie oryginalną, dosyć było kilka ostatnich wierszy o zamku przemazać, dosyć było wyrzucić wiersz:

Nie dbam ja o bogactwa, o złoto nie stoję.

I ten drugi:

A tu patrz Lutuwerze, jak posępne gmachy.

Wolałem przecież scenę nietkniętą pozostawić i wyznać, że bez upokorzenia dług myśli względem największego z naszych poetów zaciągam.

Dzisiejsi poeci muszą również jak dawniejsi w myślach się spotykać, a nawet częściej, bo malują wiernie naturę i serce człowieka; ta różnica tylko zachodzi, że dawniejsi naśladować chcieli i starali się, gdy drudzy przypadkowo naśladowają, ile razy tego uniknąć nie mogą. I gdybyśmy każde dzieło genjuszu rozbierać chcieli, czyż trudnem byłoby powiedzieć, że Walenrod sam jest szpiegiem Coopera? Że opisanie charakteru Walenroda jest opisaniem charakteru Lary lub Korsarza, z tą różnicą, że Korsarz w napojach gorących ulgi nie szukał? Że nareszcie, przystępując do drobniejszych szczegółów, krzyk Aldony umierającej w Walenrodzie, jest krzykiem ostatnim i przeraźliwym Paryzyny? A jednak pewny jestem, że autor zbliżenia obrazów nigdy nie dostrzegł, i takie przystosowania, również jak błędy przez drukarzy popełniane, prędzej w oko czytelnika, niż w oko autora wpadać mogą.

Ale z drugiej strony ileż w tegoczesnych poetach nowych myśli, jaka moc zadziwiająca wynalezienia? Słusznie Cousin w historii filozofji ośmnastego wieku powiedział: że wiek dziewiętnasty będzie bogatym w wielkich poetów, albowiem Bóg obfitą dłonią rozlał na ludzi nowe zasoby wyobraźni; ale nie-

słusznie tenże pisarz dodał: że Bóg uczynił to jakoby dla wynagrodzenia ludzi za oschłość politycznych wypadków wieku. Sądziłbym że wiek ten będzie w wypadkach swoich poetycznym, i że skarby wyobraźni wylane zostały na świat, celem usposobienia ludzi do wielkich czynów i przedsięwzięć, celem silniejszego popchnięcia dążności ludów.

Przekonany jestem nakoniec, że wszelką bezbożność, w słowach Mindowy ukrytą, uprzedzony chyba i płocho sądzący czytelnik na karb autora policzy. Trzebaż było, aby Mindowe w każdym słowie, lękając się obrazić czytelnika, obrażenia Krzyżaków się lękał? Wyrzeczenie się wiary, zerwanie z Krzyżakami, bulla papieżka, w której Inocenty IV. daruje królowi wszystkie kraje, jakie kiedykolwiek Mindowe mieczem pozyska na Danielu książęciu z Halicza, są to fakta z historii wyjęte. Te rysy były głównym zawiązkiem utworu; musiał więc pozostać, i śmiem dodać, że sceny te, jako żywcem z historii wydarte, są jedyną zapewne zaletą źle ułożonego obrazu.

MARJA STUART.

DRAMAT HISTORYCZNY

W PIĘCIU AKTACH.

OSOBY.

MARJA STUART, królowa Szkocji.

HENRYK DARNLEY, mąż Marji Stuart.

MOSTON, kanclerz.

RIZZIO.

BOTWEL, kochanek Marji.

DUGLAS.

LINDSAJ.

Paź Marji Stuart.

NICK, błazen Henryka.

ASTROLOG.

Scena w pałacu Holy Rood.

MARJA STUART.

A K T I.

SCENA I.

(Sala w pałacu Holy Rood.)

MARJA STUART, RIZZIO, PAŻ.

PAŻ, wbiega prędko.

Smutne wieści przynoszę! Posłuchaj królowo,
Oddawna cię znieważa płochy lud stolicy;
Dziś jeszcze byłem świadkiem, jak zniewagę nową
Wyrządził twym pałacom, królewskiej kaplicy.
Dziś królowo, nad rankiem, za ogrodu murem,
Ujrzałem piękne maski, orszak Robinhoda,
Tłum tancerzy z dzwonymi, Tuck z czarnym kapturem;
Mały Janek i strzelce i Marjanna młoda,
Biała jak kość słoniowa, wesoła dziewczyna.
Szedłem zdala za tłumem, wtem zgraja wesoła
Staje — ucichły dzwonki — tłoczy się do koła —
Jakiś człowiek nieznany grozi, napomina,
A potem wszedł do domu na rogu ulicy.
Wszyscy się uciszyli. — Znów ten człowiek blady,
Stanął w oknie i z okna jak na kazalnicy,
Przeciwko tobie pani, lud budził do zdrady.

RIZZIO.

Poznałem z opisanja, to był Knox królowo.
Dzień i noc wiecznie z okna przemawia do ludu,

Lud się modli i słucha, w każde wierzy słowo,
I słuchając, z ust Knoxa oczekuje cudu.
Ten człowiek chrześcijańskie podaje nauki —
Raz wskazał na ten pałac i rzekł głosem gromu:
«Zburzcie! zburzcie to gniazdo, a odlećą kruki!»
Jak papież, klątwy rzuca na świat z okien domu,
A lud się jak świętemu kłania obrazowi.

PAŻ.

Królowo! śmielsi z ludzi, do zbrodni gotowi,
Wpadli do twej kaplicy, z dzikimi okrzyki:
«Gniazdo papistów!» krzyczą, obdzierają ściany,
Niszczą obrazy, palą, unoszą świeczniki.
Wtem patrzę — oto w szaty kościelne przybrany,
Na ołtarzu stał trefniś Darnleja — i śmieje,
Jak ksiądz, zaczął kazanie w święconym kościele!
Lud wesoło bluźnierczym odpowiadał śpiewem,
A błazen skarby święte unosił bez braku.
Dobyłem miecza, zdjęty rozpaczą i gniewem,
Rzucam się, spadły dzwonki na błazna kołpaku.
Może krew popłynęła? nie wiem — lud się tłoczył,
Okolił mię orężem — o ścianę oparty
Miałem uledz — wtem Botwel z królewskimi warty,
Przybył — ocalił pazia — kaplicę otoczył.

MARJA.

Rizzio! słyszałeś? Sama — sama więc na tronie,
Opuszczona od wszystkich! lud mię nienawidzi!
Ów Knox śmiało urąga kobiecej koronie!
Takżem to nisko spadła? przeklina mię — szydzi —
Rozdzierają to serce! Wszak dziś jeszcze rano,
Dziś się za nich modliłam? Czyliż moja wiara
Tak różna od ich wiary? O Szkocjo —!

RIZZIO.

Przestaną!

Przestaną cię okrażać — zasłużona kara
Spadnie na tych zbrodniarzy. Tak, pozwól królowo —
Paziu pisz rokaz — niechaj schwytani na zbrodni,
Opłacą przewinienie więzieniem lub głową.

(Paż bierze pióro i siada nad kartą pargaminu.)

Pisz rozkaz, przewinili, litości nie godni —
Wszystkich bym jednym stosu ogarnął płomieniem.

MARJA.

Cały lud byś wytępił? jaka zemsta dzika!
Lud mię zdradza —

PAŻ, pisząc.

Królowo! czyliż z twem imieniem
Połączę imię twego małżonka Henryka?
I dam mu tytuł króla?

MARJA.

Tak, wszak zawsze razem
Pisałeś jego imię. Nie, czekaj — co czynię?
Może lud działał zgodnie z Henryka rozkazem!
Wszak jego trefniś luby sam przewodził w gminie?
Nie pisz imienia króla — ja jestem królową!
Rizzio! co myślisz? — nie wiem — może się obrazi?
Pierwszy czyn przeciw męża; opuszczone słowo
Struje szczęście domowe, dni pogodę skazi.
Ja mu dawałam tytuł króla w dni szczęśliwe,
Nieraz koroną jego dotykałam czoła — —

RIZZIO.

Królowo! ty masz lice i serce anioła!
I czemuż siejesz kwiaty na tak dziką niwę?
Widziałem słońce, kiedy na obłoków tronie,
Tonące w Tybrze, patrzy na krzyż Rzymu złoty;
Ty jesteś jak to słońce, twój tron w falach tonie! —
Lud cały już zatonął w obłędach ciemnoty;
Ty jedna wzniosłem czołem, widzisz światło wiary.
Królowo! zbrodnia czeka zasłużonej kary,
A cnót przyćmionych kiedyś znajduję się obrońce.
Kto jak słońce zagasa, wstanie jako słońce!

MARJA.

Wiara każe przebaczyć.

RIZZIO.

Bóg ma kary w niebie —
Jesteś na tronie, karać od Boga masz prawo.
Obojętność twe imię okryje niesławą —
Obudź śpiące uczucia, lud patrzy na ciebie,

Jak na zgaszoną lampę, trzeba w lampy łonie,
Zapalić jasny świecznik, niech błyska i płonie.

(Do pазia, który skończył pisać i wstaje.)

Skończyłeś pазiu! dobrze, zawołaj rycerza
Który dziś straż odbywa.

(Paż wychodzi.)

Wyrok swój usłyszą —

Niech straszny piorun zemsty na zdrajców uderza!
Jak pióra, co na mojej głowie się kołyszą,
Zadrzą przed tobą, do nóg twoich się uchylą.

SCENA II.

MARJA, RIZZIO, DUGLAS, PAŻ.

MARJA.

Witam ciebie Duglasie — niedawno, przed chwilą,
Widziałam tu Mortona w bramie pałacowej.
Nieś mu ten rozkaz, trzeba pieczęci kanclerza.

(Duglas odbiera pismo z rąk królowy, przegląda je i czeka.)

Cóż to? wszak posłuszeństwo jest cnotą rycerza,
Śmiałżebyś w niem ubliżyć kobiecie? królowej?

DUGLAS.

Królowej? o nie, Duglas nie zna zdrady cienia.
Lecz wybacz pani — oto na tym pargaminie,
Pewnie skutkiem pośpiechu, w tak nagłej godzinie,
Braknie tytułu króla, Henryka imienia.
Twego małżonka święta dla ludu osoba;
Imię z twoim imieniem zawsze było w parze.
Wybacz śmiałości mojej, może się podoba
Sprostować błąd?

RIZZIO.

Królowa nie błądzi gdy każe.

DUGLAS, ze wzgardą.

Niech z samych ust królowy otrzymam odprawę —
Czekam jej odpowiedzi.

MARJA.

Spełń rozkaz.

DUGLAS, zapalając się.

Na Boga!

Wstrzymaj pani! o, wstrzymaj te rozkazy krwawe!
 Królowo! chcesz że aby krwią zalana droga
 Wiodła do twego tronu? do tronu kobiety?
 I niezgody pochodnia na królewskim dworze!
 Nie wiem kto ją zapalił? jakiś wróg ukryty,
 Albo ją wiatr francuzki roznieca przez morze.
 Słowa wyroku wzięte z Weneckiego śpiewu,
 Z barkarolli harfiarza, lub z hymnów Papieża?
 Więc aż w Szkocji je słyszać — pragną krwi rozlewu!
 Ktoś umie radzić, może zastąpi kanclerza —
 Może zostanie —

MARJA.

Dosyć! pamiętaj Duglasie!

Mnie twoje płocze słowa obrazić nie mogą;
 Lecz pamiętaj, pobiegłeś nie rycerską drogą —
 Możesz stracić ostrogi, lub ozdobę w pasie.
 A gdy pieczęć upuści dłoń Mortona drżąca,
 Może ją weźmie ręka, co o struny trąca.
 Jestem królową. —

DUGLAS.

Przebóg! ja stracę ostrogi?

Zetrze się z nich pozłota — żelazo zostanie!
 Ani je podstępniemi zdobywałem drogi;
 Nie dała mi ich harfa — nie dało śpiewanie,
 Nie wziąłem — nie znalazłem ich u stopni tronu —
 Gdziem je zyskał powiedzą pola Albijonu:
 Winienem je potyczkom i niespanym wartom,
 Szczycę się długim przodków szlachetnym poczetem —
 A wszyscy! — wszyscy mieczem służyli Stuartom!

RIZZIO.

Pozwól — nieraz Stuartom służyli sztyletem —

DUGLAS.

O nędzny, coś wymówił? co słyszałem? Boże!
 Ha! więc znasz jak Duglasy mścili swej zniewagi,
 Mścili się na Stuartach, na królewskim dworze!
 Na kimże ja się zemszczę? — Lalka — bez odwagi —

Oto trefione włosy i różane lice:

Przystąp tu małe dziecko — rzucam rękawicę!

(Rzuca rękawicę.)

Podnieś — jeżeli ją podnieść, dźwignąć jesteś w stanie.

RIZZIO, podnosząc.

Podnoszę. — Z mojej strony oto masz wyzwanie.

(Bierze kwiaty leżące na stoliku przed królową, i rzuca je pod nogi Duglasowi.)

Podnieś, gdy lubisz kwiaty — ta broń nam przystoi,

Tu, w obliczu królowy. —

MARJA, do Rizzia.

Z mojego rozkazu

Odrzuć tę rękawicę. —

RIZZIO.

Rzucam, nie mam zbroi,

I nadto ciężka — dłoń ma nie sprzyja żelazu —

Daj mi wachlarz królowo! —

DUGLAS, z wściekłością.

Jeszcze raz znieważył,

Odrzucił rękawicę! — Królowo! królowo!

Znajdę go, pod zasłoną znajdę go tronową,

Już nie zaśnie pod dachem gdzie pożar rozżarzył!

Przysięgam, ścigać będę. — Nie zechce się bronić,

Zostanę podłym zbójcą — pójdę za nim w ślady;

Ścigając wiecznie, kiedyś zdołam go dogonić.

Znajdzie mię tu, w pałacu, gdzie śmiał szerzyć zdrady,

Znajdzie mię u podwoi — w ogrodach — w kościele,

Znajdzie na dworze Francji — przed tronem Papieża,]

Choćby mu się słał u nóg, jak się teraz ściele,

Wyrwę go — tu przysięgam! przysięgą rycerza. —

(Zimno, ze wzgardą.)

Kiedyś królowo — kiedy dworem okolona,

Rzucisz na chwilę tronu ciężar i zgryzoty;

Gdy się będziesz uśmiechać — stanę pośród grona,

A naśladując dworzan uśmiech i zaloty,

Podam ci ten kwiat — we krwi! —

MARJA.

Rizzio! chodź z tej sali.

Widzisz Duglasie? jestem ze Stuartów rodu,
Umie pogardzać. —

(Odchodzi. Rizzio idzie za nią, ale potem wraca.)

RIZZIO.

Jutro — w chłodnikach ogrodu,
Czekam ciebie Duglasie, i na ostrzu stali
Znajdziesz śmierć, albo zemstę.

(Odchodzi spiesźnie za królową.)

SCENA III.

DUGLAS, sam.

Jutro — dzięki tobie!

Zdjąłeś mi przecie z czoła czarny srom zniewagi —
Mam czekać jutra — jutro zaśniesz w cichym grobie —
Któżby się po nim tyle spodziewał odwagi?
Tak się lękliwy zdawał? — nawet drżącą dłonią
Rzucił pod nogi kwiaty — gardził? być nie może
Iżby Duglasem gardził! on wie — śmiercią grozę —

(Zamyślony, spokojniej.)

Lecz czy ten podły harfiarz umie robić bronią? —
Czuje, nie mógłbym w piersi odkryte uderzyć —
Dam Włochowi miecz dłuższy, doświadczonej mocy,
Krótszemu mogę zemstę honoru powierzyć.
Oby już noc nadeszła — chciałbym zasnąć w nocy,
Uśpionemu czas prędko przeleci jak chwila —
Kiedy się zbudzę — będzie już jutro na niebie.

SCENA IV.

DUGLAS, MORTON wchodzi.

DUGLAS.

Witam wielki kanclerzu — właśnie szukam ciebie:
Obacz jako małżeńska miłość się przesila,
Gdy się piękny głos harfy rozchodzi na dworze.

(Daje rozkaz królowy.)

Przyłóż pieczęć.

MORTON, przeglądając pismo.

Gdzież Henryk — o nim ani słowa?

Ja mam przyłożyć pieczęć — jeżeli nie przyłożę,

Królowa powie na to —

DUGLAS.

Mówiła królowa:

Jeżeli pieczęć upuści dłoń Mortona drżąca,

Może ją weźmie ręka co o struny trąca.

MORTON.

Tak mówiła? słyszałeś? —

DUGLAS.

Słyszałem.

MORTON.

Mówiła!? —

DUGLAS.

Cha! cha! straszna się przepaść przed tobą odkryła!

Trzeba pieczęć przyłożyć. —

MORTON.

Lecz gdy król się dowie

Co powie na to?

DUGLAS.

Łatwo zgadnąć co król powie:

Jeżeli pieczęć upuści dłoń Mortona drżąca,

Weźmie ją ręka, dotąd dzwonekami brzęcząca.

(Śmiejąc się odchodzi.)

MORTON.

Czekaj! czekaj Duglasie — bojaźń mię przenika,

Pójść do królowy? — Nie, nie, pójdę do Henryka.

(Odchodzi.)

SCENA V.

(Scena w pokojach Henryka Darnleja.)

HENRYK DARNLEJ, NICK.

NICK.

Nagródź mi królu. —

HENRYK.

Za co? —

NICK.

Jak rycerz bez zbroi
Wracam z placu potyczki — bez dzwonków.

HENRYK, śmiejąc się.

O! szkoda! —

NICK, smutno.

Jeśli je znajdzie Morton, pewno je przyswoi,
Chleb mi odbierze. Jakaż za trudy nagroda?
Co o tobie wiedziałem, wszystko w dzwonki kryłem,
Jak w ziemię tajemnicę chowałem Midasa:
Nicku — śmiać się nie będziesz — wesołość zabiłem!

(Po chwili myślenia.)

Zdejm biret z głowy Knoxa, hełm z głowy Duglasa;
Niech między nami żadnej nie będzie różnicy —
Takiej żądam nagrody. —

HENRYK.

Cha! co ci się roi?

Knox niech w birecie wiecznie prawi z kazalnicy,
Duglas niechaj ojczyzny wrogów ściga w zbroi;
A tobie sprawię dzwonki, sprawię ubiór nowy.

NICK.

Prócz ubioru cóż jeszcze biedny Nick dostanie?

HENRYK.

Żądaj więc —

NICK, myśląc.

Królu daj mi — daj —

(Wesoło.)

Portret królowy.

HENRYK.

Daj ci swój. —

NICK.

Twego nie chcę — daj mi szyling panie,
Na nim jest wizerunek królowy w koronie;
A ciebie na szylingu nie ma. —

HENRYK.

O! straszliwie!

Słowo błazna jak sztylet w moich piersiach tonie —
Jestem królem — nie jestem królem — sam się dziwię,
Że tak długo cierpiełem honoru zakałę. —

Dosyć już poniżenia! — jam na wszystko gotów,
 Gdzie się obróć — dziecko wytyka mię małe —
 Oto jest mąż królowy! — Czemuż nie Król Szkotów?
 Mąż królowy — to wielka dla Darnleja sława! —

(Zamyśla się.)

NICK, niby do siebie, mówiąc głośno.

Nie dał szylinga — pójdę — nie wytrzymam dłużej,
 Pójdę służbę obierać, zła ze skąpym sprawa.
 Ja służę Henrykowi — Rizzio Marji służę
 I któż z nas lepiej wyszedł? — Gdym przybył do dworu
 Z zamkniętą torbą śmiechu, niewsławiony niczem,
 Zaraz mi dano szatę różnego koloru —
 I kij, na którym głowa z podwójnem obliczem,
 I czapeczkę z dzwonekami — i pas — a przy pasie
 Były dwa worki próżne, i dziś jeszcze próżne,
 I dziś ta sama szata. W jednym ze mną czasie
 Przybył Włoch — wiatrem szyte miał sakwy podróżne,
 Opatrzony podwójną twarzą — i okryty
 Łataną szatą — w workach żadnego cekina.
 Dziś patrz! Włoch już drogiemi błyszczy aksamity,
 Pióra nosi na głowie, ostrogi przypina,
 Z pełnych worków twarz Marji wygląda przyjazna!
 Ona go swoim płaszczem królewskim otula:
 I gdyby miał takiego jak ja jestem błazna,
 Możeby był podobny do takiego króla,
 Jakim jest

(Pokazuje ze złośliwym uśmiechem na Henryka.)

Zasnął w myślach — zaraz go obudzę —
 Królu, słyszysz głos harfy?

HENRYK.

Gdzie?

NICK.

W tronowej sali —

HENRYK, z mocną boleścią.

Szatanem jesteś Nicku, ja się dręcę — trudzę —
 Tak, dźwięk harfy. Niech zamek w gruzy się zawali,
 Niech zagrzebie tron, harfę. — Gdzież znajdę zacisze?
 Coraz bliżej straszniemi nabawia mię snami!

Budzę się zmordowany i znowu ją słyszę! —
Jak jej nie słyszeć?

NICK.

Królu wdziej czapkę z dzwonkami,
Ich dźwięk harfę zagłuszy.

HENRYK.

Sztylet struny przetnie.

SCENA VI.

HENRYK, NICK, MORTON.

MORTON.

Królu! racz słuchać królu! z ważną wieścią dążę,
Z wieścią — — Jestem życzliwy — i myślę szlachetnie.

HENRYK.

Któż o tem wątpi?

MORTON.

Racz więc posłuchać mię książe!

HENRYK, z oburzeniem.

Książe?

MORTON.

Królu, racz słuchać! — Nie znajdę wyrazów —
Oto jest pismo — pieczęć przyłożyć kazano.

HENRYK, przeglądając pismo.

Cóż to? gdzież moje imię, z jakich to rozkazów?

Nie! to pomyłka. —

MORTON, z uśmiechem.

Tak jest, króla nie wpisano,

Przez pomyłkę zapewne?

HENRYK.

Wątpisz o tem starcze?

Wnet pójde do królowy, a wszystko przemieni!

Pójde, i wymówkami niewierną obarczę —

Nie, prosić będę. — Długo żyjąc oddaleni,

Nie czujemy tak zgodnie jak dawniejsmy czuli.

To prawie moja wina — jakaś zazdrość płocha

Rozdzieliła nas — zdradę podstępni uknuli,

Lecz królowa kochała i teraz mię kocha.
Gdzie jest Marja?

MORTON.

U siebie — Rizzio u niej bawi,
O zmienienie rozkazu zapewne się wstawi.

HENRYK, gwałtownie.

Ten Rizzio! Rizzio! wkrótce sięgnie po koronę —
Któż mię uwolni?

MORTON.

Panie! zdołam to uczynić.
Poświęcę się. — Trzeba go o zbrodnię obwinić.
Panie, przyjm zaskarżenie, ja przyjmę obronę —
Zginie. —

HENRYK.

O nędzny starcze! tyś dobry do rady!
Chciałbyś w oczach królowy być wolnym od zdrady,
Jak śnieg biało wyglądać, ze krwi obmyć dłonie?
Ja mam stawać przed sądem? w purpurze, w koronie,
Ja, Henryk? przeciw Rizzia mówić w podłej sprawie?
Ten Włoch nikczemny może, w sądzie uwolniony,
Znów mi będzie urągał? — Nie — ręce zakrwawię,
Bo zgon jego obfite przyniesie mi plony;
Powróci pokój w domu. — Tak — ja się namyszę —
Po co myśleć — myślałem — wszystko mam w umyśle
Tak widne jak na niebie, tak czarne jak w piekle.
Myślałem długo — zimno — dziś wypełnię wściekle!
Dziś wypełnię! nad wieczór już go grób pochłonie —
Grabarze na smętarzach już dlań kopią doły.

NICK, widząc że Morton nie może wesołości utaić.

Cóż to? ty moje dzwonki znalazłeś Mortonie?
Bo dziś byłeś dowcipny, a jesteś wesoły!
Oddaj mi dzwonki moje — bądź znowu kanclerzem.

SCENA VII.

HENRYK, NICK, MORTON, LINDSAJ.

LINDSAJ.

Królu! dostałem dzisiaj sokoła — król ptaków!

Norwegijski, cały srebrnem osłonięty pierzem,
Gdy się podniesie, tonie wśród powietrznych szlaków.

HENRYK.

Co mówisz? czy od mego sokoła piękniejszy?

LINDSAJ.

Cha! cha! bez porównania, lepszy, trochę mniejszy,
Cacko dla kobiet, niegdyś Lady Hamiltonu
Nosila go na dłoni nad Klydu rozłogi;
Pięknie mi się popisał, nie wrócił bez plonu,
Jak rycerz w krwi przepiórek pozłocił ostrogi.
Jedźmy dzisiaj na łowy.

MORTON.

Dziś król ma zajęcie.

HENRYK.

Tak, prawda, przyjacielu, dziś mam inne łowy —
Raz na jaw wyszłe trzeba kończyć przedsięwzięcie.
Słuchaj Lindsaju! spadła mi korona z głowy,
Jestem igraszką kobiet, celem pośmiewiska;
Odmówiono mi władzy, nawet i nazwiska,
Czczego nazwiska króla! czy wierzysz Lindsaju?

LINDSAJ.

Powinieneś się zemścić srogo — to tak właśnie
Jakby mi kto powiedział, że nie jestem w kraju
Pierwszym w sztuce łowieckiej.

HENRYK.

Nim słońce zagaśnie,

Lindsaju, dziś pomożesz zastawić mi sieci.
Wiesz kto mię zdradza? Rizzio, ów podły przychodzień!
Dzisiejszy księżyc jego mogiłę oświeci —
Przyszedł tu jako tułacz, zginie jako zbrodzień.
Pomożesz mi?

LINDSAJ.

Najchętniej w twe zamiary wchodzę.
Czy wiesz? w swoich mi lasach polować zabronił,
Zemszczę się.

HENRYK.

Ja cię za to sownie nagrodzę
Będziesz w jego zwierzyńcu płochę sarny gonił.

SCENA VIII.

HENRYK, NICK, MORTON, LINDSAJ, DUGLAS.

LINDSAJ, do wchodzącego Duglasa.

Jakże się zdołał Rizzio od śmierci wyprosić?

Odgłos o waszej zwadzie rozszedł się daleki —

Słyszałem. —

DUGLAS.

Dobrześ słyssał, lecz gdy chcesz rozgłosić,
Pamiętaj że dzwon może zamilknąć na wieki,
Kiedy mu serce wydrą.

LINDSAJ.

Słuchaj! złącz się z nami!
Dzisiaj jeszcze sztylety, dzisiaj zemsta świeża,
Pozbawi ciebie wroga, co twój honor plami.

DUGLAS.

Któż cudzej dłoni zemstę honoru powierza?
Ostrzegam was, ja pragnę, Rizzio niechaj żyje.
Jutro go oddam waszej zemście — dziś nie zginie;
Dziś własną piersią sztylet od Włocha odbiję —
Ze mną walczyć będziecie, krew wasza popłynie.
Spodziewam się że boju nie zechcesz Mortonie?
Lindsaju! jam nie jeleń co w borach popasa?
Henryku! pomni zechcesz, że w twojej koronie
Słabszy daleko kruszec, niż w mieczu Duglasa.
Na jutro złożcie zemstę — kto pójdzie inaczej,
Jest moim wrogiem.

(Odchodzi.)

SCENA IX.

HENRYK, NICK, MORTON, LINDSAJ.

LINDSAJ.

Cóż to? oszalał z rozpaczey?

MORTON.

Królu, czyliż cię groźba Duglasa zachwieje?

HENRYK.

Nie — lecz na jutro wszystko odłożyć wypada.

Cieszę się nawet z tego, zamiar nasz dojrzeje — —
 Kwiat przed czasem rozwity, przed czasem opada.
 Rycerze, niechaj żadna nie płoszy was trwoga,
 Trzymamy w ręku życie nieszczęsnej ofiary.
 A ty mały trefnisiu śpiesz do Astrologa,
 Niech powie jaki skutek odniosą zamiary.

A K T II.

SCENA I.

(Teatr wystawia mieszkanie Astrologa. Wśród sali stół zarzucony księgami.
 Teleskopy w oknach obrócone na niebo.)

ASTROLOG, sam.

Nicość nauki — gorzki owoc doświadczenia —
 Myśleć — zgłębiać — i potem wszystkiemu nie wierzyć!
 Dręczyć się, żeby okrąg swych marzeń rozszerzyć —
 Czytać w gwiazdach! — sąż one księgą przeznaczenia? —
 Przeznaczenie! — szaleństwo walczyć z przeznaczeniem!
 Ty coś ręce zakrwawił? podnieś czoło blade,
 Przeklinaj los, lecz przestań dręczyć się sumieniem!
 Gwiazdy winne, że knułeś cudzą śmierć lub zdradę.
 W kolebce byłeś takim jak dzisiaj zbrodniarzem,
 Z pokarmu matki ssałeś dni strute zgryzotą!
 Ty, co posiadałeś cnoty, umierasz nędzarzem,
 Przestań się dręczyć, cnota twoja nie jest cnotą!
 O! gdybyś w późnej chwili, na śmiertelnem łożu,
 Uznał ten błąd — tę nicość cnoty bez zasługi —
 Dręczyłeś się — i po co? po świata bezdrożu
 Szedłeś, samotny nędzarz! — Jestże więc świat drugi?

SCENA II.

ASTROLOG, NICK.

NICK.

Jak się masz ojczy? —

ASTROLOG.

Ojcze! skąd to pokrewieństwo?

NICK.

Z głupstwa rosną nauki — a z nauk szaleństwo;
Jestem więc twoim synem, a te wszystkie księgi
Są mi rodzone siostry, bo z ciebie się rodzą.

ASTROLOG.

O, nędzny! nie znasz nauk i badań potęg!
Myśli twoje okręgu ziemi nie przechodzą —

NICK.

Więc mi pokaż kres dalszy. — Ojcze! proszę ciebie.

(Patrzy przez teleskop na niebo obrócony.)

Cha! cha! cha!

ASTROLOG.

Cóż widziałeś?

NICK, śmiejąc się.

Niebo!

ASTROLOG.

A na niebie?

NICK, spokojnie.

Nic. —

ASTROLOG.

Zasiane jest ono światy rozlicznymi.

NICK, patrzy drugim końcem teleskopu, zmniejszającym przedmioty.

Widziałem! —

ASTROLOG.

Cóż widziałeś?

NICK.

Ziemię!

ASTROLOG.

A na ziemi?

NICK.

Nic. —

ASTROLOG.

Mnie musiałeś widzieć!

NICK.

Byłeś oddalony —

Byłeś mały jak proszek, mądry Astronomie!

Nie patrz na niebo, znikniesz w tych światów ogromie —
 Ale patrzaj na ziemię, patrzaj z tamtej strony.
 Jak małą ci się wyda nauka i sława! —
 Tem lepszy jest teleskop, im bardziej oddala.
 Ale coś błazen króla na mędrca zakrawa,
 A mędrzec króla —

ASTROLOG.

Błaznom rozprawiać dozwala.
 Lecz z czemżę tu przyszedłeś?

NICK.

Pyta mąż królowy,
 Jaki los czeka Rizzia? — Nie łam sobie głowy,
 Przy mojej się pomocy rzecz łatwo wysłowi:
 Powiadam ci że zginie — ty powiesz królowi
 Że zginie.

ASTROLOG.

Precz mi z oczu! Nie żądam pomocy.
 Nieś to pismo królowi, w niem jest tajemnica —
 Los Rizzia w jasnych gwiazdach czytałem tej nocy,
 Wszystkie pobladły, srebrne zachmurzyły lica.
 Precz mi z oczu!

NICK.

Lecz powiedz jeszcze, co mnie czeka?

ASTROLOG.

Śmierć prędką.

NICK.

A po śmierci?

ASTROLOG.

Nie wiem.

NICK.

Do widzenia!

Równośmy mądrzy. —

(Odechodzi.)

ASTROLOG.

Podłe jestestwo człowieka,
 Kiedy głupstwem okrywa głębokie marzenia.

SCENA III.

ASTROLOG, PAŻ.

PAŻ.

Już wyszedł trefniś — dobrze. Na twoje wezwanie
Stawiam się, mądry mistrzu!

ASTROLOG.

Słuchaj, paziu młody!

Czy ty kochasz królowę?

PAŻ.

Zkądże to pytanie?

Czy ja kocham królowę? Jakież tam dowody?

Kocham ją jako matkę, siostrę, jak anioła.

Taki jestem szczęśliwy! — Dzień cały od rana

Przepędzam przy jej stopach — nieraz na kolana

Spadnie mi róża na pól uwigdła z jej czoła;

Nieraz jej twarz ochładzam złocistym wachlarzem,

Twarz spłonioną jasnymi rumieńca szkarłaty;

Nieraz schylonej kornie przed boskiem ołtarzem,

Trzymam książkę modlitwy, lub niosę kraj szaty.

Szczęśliwy jestem!

ASTROLOG.

Paziu! nim chwila przeminie,

Masz stanąć u królowy i donieść jej skrycie,

Że człowiek milszy dla niej nad tron i nad życie,

Zginie dzisiaj.

PAŻ.

Co mówisz? Botwel dzisiaj zginie?

ASTROLOG, z zadziwieniem.

Botwel? Innego miałem w przestrodze na celu!

Paziu! ja nie myślałem wcale o Botwelu!

PAŻ, z rozpaczą.

Więc zdradziłem ją! Boże, w jakąż przepaść wpadłem!

Nie wierz mi! Ona tego sobie nie wyznała,

I mnie się nie zwierzyła, z rumieńca odgadłem —

Jam zbłądził. — Nie — Botwela nigdy nie kochała.

Nie wierz mi — niech cię prośba, rozpacz moja wzruszy,

Zatrzymaj wszystko w sobie, cześć honor królowy!

Nie dziw się — całą duszą słuchałem twej mowy,
 Cóż dziwnego że słowo wyrwało się z duszy?
 O nieszczęśliwy paziu! — Z serca mi wyrwałeś
 Najskrytszą tajemnicę — zapomnij! zaklinam!

(Daje astrologowi brylantową sprzączkę od kapelusza.)

Weź tę sprzączkę — zapomnij! — Czy już zapomniałeś?
 Ja nawet uraz moich prędko zapominam,
 A ty byś nie zapomniał?

ASTROLOG.

Chodź tu, moje dziecko!

Czy myślisz że nauki spodlić mogą starca?
 Królowa mię łaskami obdarza obficie —
 Nie zasłużyłby na nie starzec i potwarca.
 Zatrzymaj te brylanty, przebaczam żeś dawał,
 Nadtoś mię lekko sądził, za mało poznawał?
 Patrz na komnatę, oto są królowy dary,
 Oto księgi bez ceny — mam złoto, pałace;
 Kiedyś wdzięczność zachowam, z darów się wypłacę.
 Patrz na te czarnym płynem nalane puhary:
 W nich złoto rodzą mojej sztuki tajemnice;
 Takiego kruszcu z Peru Hiszpanja dostaje! —
 Ja przed królową większe otworzę skarbnice,
 Będzie w nich czerpać, będzie zakupywać kraje.

PAŻ.

Lecz któż ma zginąć?

ASTROLOG.

Rizzio, Rizzio! W jego serce
 Godzą mnogie sztylety — na Rizzia pogrzebie
 Jutro płakać będziecie — silni są morderce.
 Wiem to z ust ludzkich, w gwiazdach czytałem na niebie.

PAŻ.

Ojczel więc spieszę.

(Wybiega.)

SCENA IV.

ASTROLOG, sam, bierze jeden z puharów.)

Tutaj są moje nadzieje —

Nie śmiem czar tych otworzyć — ha! kiedy otworzę?
Może mi dzisiaj w oczach złoto zajaśnieje?

(Patrzy w puhar.)

Nie, jeszcze nie ma — dzisiaj wcześniej — jutro może? —
A więc czekać do jutra. Lecz na cóż mi złoto?
Spytaj się siebie, starcze, na co, na co sława?
Pierwszeństwo wynalazku — wytrwałość jest cnotą —
Wszak równych starań roli kosztuje uprawa?
Całe życie marzyłem — miałbym nad grobem
Odkryć nicość marzenia? bezskuteczność sztuki?
Nie przeżyłbym odkrycia — nie — dziwnym sposobem,
Wiążą się słowa pazia z pismem gwiazd nauki.
Królowa! Botwel! Zkądże razem dwa imiona?
Ona kocha Botwela! Dziś nad jego głową
Zbiegły się razem Marsa, Saturna znamiona,
To znaczy — Otóż Botwel — Zdziwi się gwiazd mową.

SCENA V.

ASTROLOG, BOTWEL.

BOTWEL, zamyślony.

Czemuż wszedłem w te progi? Muszę być szalony!
Obaczyć przyszłość? zajrzeć w dno prawdy kielicha?
Przyszłości mi nie kryją nadziei zasłony;
Lecz przed śmiercią zasłona mgły tajemna, cicha —
Śmierć we mnie uśmiech budzi — zasłona odkryta
Może zgasi ten uśmiech? — I czegoż żądałem?
Tak, kto wie, co ten starzec z duszy mi wyczyta?
Może mi to odkryje, czego sam nie śmiałem
Dotąd odkryć przed sobą? Przepaść mi odkryje —
Nad brzegiem się obudzę i w otchłań się rzuć.
Zgłębić przyszłość? Niech tylko obecność przeżyję!
I czegoż tu przyszedłem? — Tak — wrócę się — wrócę.
Nie, już się stało, tak jest, stało się — zostanę.
Starcze, czytasz w przyszłości?

ASTROLOG.

Gwiazdami pisane

Zgłębiłem tajemnice.

BOTWEL.

Powiedz mi więc szczerze,

Czy wierzysz w twe wyroki?

ASTROLOG.

Wierzę — jak w śmierć wierzę.

BOTWEL.

Nigdy nie mylą?

ASTROLOG.

Nigdy.

BOTWEL.

Marność nauk świata!

Dziś rzeczywistość płonne zawiedzie rachuby.

Czy długo ja żyć będę?

ASTROLOG.

Trzy lata.

BOTWEL, ze wzgardą.

Trzy lata?

Kres nadto oddalony, błąd twój nadto gruby.

Trzy dni dla mnie za wiele — trzy lata? — daremnie.

Widzisz mię; astrologu — na wybladłej twarzy

Gorzki uśmiech i wzgarda — nie patrz co jest we mnie.

Któż się we wnętrze grobu zaglądać odważy?

Nie zniszczyły mię zbrodnie — jest to sytość życia.

Gorące serce wrzało we mnie od powicia.

Teraz jestem znużony — zimny — umrzeć muszę.

(Pokazuje truciznę w kryształowem naczyniu.)

Patrz! oto jest trucizna, a przeszkody — żadne.

Tylko stałość twych mądrych przepowiedzeń wzruszę!

Cóż, jeśli ją wypiję i u nóg twych padnę?

Od długich bólów krótkim uwolnię się bólem.

Umieram. —

ASTROLOG, bierze go za rękę i prowadzi do stołu, gdzie leżą horoskopy.

Nie — żyć będziesz trzy lata, Botwelu.

Patrz, co pisały gwiazdy — będziesz królem.

BOTWEL.

Królem?

Co mówisz? Będę królem! Do takiego celu

Dążyć z nad brzegu grobu? Miałem zasnąć w grobie.

Będę królem. — Klnąć ciebie? czy dziękować tobie?
 Nie wiem. Powiedz mi starcze, powiedz czy na tronie
 Spokojniej jest niż w grobie? Ten wszystko pochłonie.
 Może późniejsze życie gorzki owoc wyda?
 I po cóż, po co ścigać tak znikomą marę?
 Wypiję tę truciznę — nie, rozbiję czarę —
 Ale po co rozbijać — może mi się przyda? —
 W taką drogę iść trzeba z obfitym zapasem —
 Wszak nieraz we śnie złotą koronę widziałem!
 Wygrałeś astrologu! Żyć będę: —

ASTROLOG.

Wygrałem.

BOTWEL.

Idę do celu — nie chcę umierać przed czasem.
 Prowadź mię Astrologu w wysokie komnaty,
 I pokaż mi władające moim losem światy. —

(Wychodzą.)

SCENA VI.

(Pokój królowy, w głębi okno gotyckie.)

MARJA, PAŻ.

PAŻ.

Zaraz przybędzie Rizzio.

MARJA.

Czemuż nie przybywa?

On mi jeden pozostał z przyjaciół tak wielu,
 I wkrótce zginie.

PAŻ.

Pani — tyś niesprawiedliwa!

Wspominając przyjaciół, wspomnij o Botwelu;
 Paż nie śmie się przypomnieć — może nie ma prawa.

MARJA.

Mój luby, ty dorastasz — rozdzielisz się ze mną,
 Wachlarz na miecz zamienisz — powoła cię sława.
 Któż mi wtenczas rozjaśni tę pustynię ciemną?
 Botwel? — Lecz ja Botwela nie znam. O! mój drogi!
 Ty płaczesz? Paziu! paziu!

PAŹ.

Dziecinne łyzy ronię —

Daruj mi — ja myślałem że w twojej obronie
 Na dworze pas pozyskam i złote ostrogi.
 Nigdy mię nie budziła ze snu myśl rozdziału;
 Teraz pierwszy raz czuję że nastąpić może —
 Już mi pół rycerskiego odjęła zapału.
 Lecz wszak Botwel rycerzem? Przecież jest na dworze,
 I mógłby jeszcze bliżej, bliżej być królowy.

MARJA, zamyślona jak echo.

Botwel — tak — mógłby bliżej, bliżej być królowy.

PAŹ.

Był jednak blisko wczoraj, kiedy w dworzan kole
 Towarzyszył ci pani na królewskie łowy;
 Tajemniczy miał smutek wryty na czole.
 Potem gdy cały orszak siadł na strojne łodzie,
 Botwel stanął przy sterze, twarz jego pobladła,
 Patrzał w głębiny wody, jak gdyby w tej wodzie
 Widział jakie straszliwe, dręczące widziadła.
 I coraz się nachylał — drżałem — nigdy w świecie
 Takiej myśli w człowieka nie widziałem twarzy;
 I pojąć jej nie mogę — dotąd mi się marzy,
 Jak sen jaki okropny —

MARJA.

O! niewinne dziecię!

Ja łatwo ją pojmuje — dzika myśl szaleńca.

PAŹ.

Królowo! Wiatr, co sprzyjał tej wodnej podróży;
 Silniej w żaglach zaszumił, i z twojego wieńca
 Rozkwitłe w jasnych włosach zerwał kwiecie róży.
 Kwiat padł na wodne fale i z falą upłynął —
 Zbudził się Botwel — zadrżał — i na sługi skinął:
 Łódź mu podano — usiadł samotny do łodzi
 I ścigał kwiat zerwany. Śledziłem go długo,
 Aż zniknął we mgle —

MARJA, niecierpliwie.

Odejdź! odejdź, wierny sługo!

Lecz daj mi wachlarz, niechaj czoło mi ochłodzi —
Tak mi gorąco — odejdz! jest to czas pacierzy.

(Paź odchodzi.)

SCENA VII.

MARJA, sama.

Przenikliwe ma oczy ten paź — i nie wierzy
Że miłość jest występkiem, w błędną wiedzie drogę. —
Długo ją usypiałam, już usnąć nie mogę,
Będę widzieć Botwela — oddałę ze dworu.
Czyste zwierciadło skazać może lekkie tchnienie —
Co? — Ja jestem niewinna, lękam się pozoru?
Wszak zdawna mię obarcza czarne podejrzenie:
Myślą że kocham Rizzia. — O bojaźń dziecinna!
Któż ma prawo mię sądzić? Ja osądzę siebie!
Ludzie są u stóp moich, nademną Bóg w niebie.

Wczoraj tak było. — Dzisiaj nie jestem niewinna!
Kocham Botwela! kocham! Bóg mię sądzić może.
Ciężko mi w tej koronie — francuska korona
Z lepszego była kruszcu, na chwilę ją złożę —

(Zdejmuje koronę.)

Więc teraz z wszystkich więzów jestem uwolniona.
Ciężylaś mi na czole, a twój połysk zgubny
Wielu, wielu przerażał i odstępował wielu.
Teraz wolna. — Nie — jeszcze cięży pierścień ślubny.

(Zdejmuje pierścień.)

O! teraz przybądź do mnie! przybądź tu, Botwelu!
Przybądź! nie mam korony i nie mam pierścienia —
Przybądź! już się nie lękam Boga i potwarzy.
Jak mię zachwyca urok twojej posępnej twarzy,
I ten uśmiech goryczy, ten mrok zamyślenia!
Precz ta myśl śmierci, śpiąca głęboko na czole —
Niech tę chmurę rozproszy uśmiech szczerzy, tkliwy!
Długo w posępnych myśli obłąkany kole,
Będziesz jeszcze piękniejszy, gdy będziesz szczęśliwy.

SCENA VIII.

MARJA, RIZZIO.

RIZZIO.

Wezwalaś mię, królowo?

MARJA.

Bojaźnią dręczona,

Przyzwałam ciebie Rizzio w te skryte komnaty.

Jesteś w niebezpieczeństwie, bo rzucone kwiaty

W roli Dugłasa, śmierci wydały nasiona.

Posłuchaj wiecej cierpliwie, mój błędny rycerzu,

Już nie możesz tu zostać. Przeciw mieczom wroga

Łatwo znaleźć obronę w mieczu i pancerzu —

Lecz grożą ci sztylety, śmierć zdradziecka, sroga.

Wierzaj mi, źle kto wrogom ukrytym zawierza;

Musisz uniknąć ciosu, dziś rzucić te strony.

Dam ci ważne zlecenie do dworu Papieża,

Okręt gotowy — żagłów rozpięte zasłony.

Bądź zdrów!

RIZZIO.

Królowo moja! powtórz te rozkazy!

O! nie! nie! nie powtarzaj — nad brzegiem otchłani

Nie posłucham — choć ściągnę twój gniew, twe urazy —

Wszak śmierć cię nie urazi? nie zasmuci? Pani!

Marjo! o, ja zostanę — przysięgam, zostanę!

Postanowienia żadna nie naruszy siła!

Śmierć sroższą mi wyrzekły twe usta różane —

Żeby choć głos był zadrzał, gdyś ją wymówiła —

Marjo! posłuchaj! —

MARJA.

Rizzio, chciej mówić z królową!

Rozmawiałeś z kim innym. •

RIZZIO.

I gdzie twa korona?

Nie widzę jej na czole — kwiatem uwieńczona

Jesteś mi równa — śmielszą przemówiłem mową.

Daruj mi! ja myślałem! — myślałem, szalony!

Że ją umyślnie zdjąłeś dla mnie —

MARJA.

Żleś osądził.

Wszak wiesz, że ja się zwykłam modlić bez korony —
I teraz się modliłam.

RIZZIO.

Przebacz mi, jam zbłądził.

Lecz nie kładź jej na czoło — czoło twe utrudzi,
I myśl jakąś posępną przykrywa żalobą.

MARJA.

Bez korony nie zwykłam przemawiać do ludzi.
Rozmawiam tylko z Bogiem — z Bogiem, albo —
(Ciszej, kładąc koronę.)

Z sobą.

RIZZIO.

Śmiałość mi odebrała — więc dobrze — odjadę.

(Staje w gotyckim oknie i z udaną obojętnością mówi.)

Dziś dzień taki pogodny — dobry do podróży,
Niebo czyste, błękitne, chmury lekkie, blade —
Pokazują mi drogę, lecz nie wróżą burzy.
Obacz proszę, królowo, jak cicho na dworze,
Kwiaty w twoim ogrodzie odświeżone, kwitną —
Tam góry Szkocji, barwą owiane błękitną,
Odległe jak marzenia — — Jak tam szumi morze —
Białą mgłą osłonięte chwieją się okręty. —

MARJA.

Rizzio! czemu tak zbladłeś? —

RIZZIO, odwraca twarz od okna i zakrywa ją dłonią.

Tam żagiel rozpięty —

Patrzeć nie mogę.

MARJA.

Rizzio! tyś jak dziecko słaby!

RIZZIO.

O pani! pani! ty mi chcesz zachować życie,
A życie wszelkie dla mnie straciło powaby!
Wkrótce ten zamek w mgły się roztopi błękitnie —
Będę stał na pokładzie — a morze podemną.
Ha! kto wie gdzie zapłynę! W tłum świata się rzucę,
Zapomnienie już szatą okrywa mię ciemną,
Coraz! coraz ciemniejszą! Wszak nigdy nie wrócę? —

Już mię boleść głęboka strawiła i zmogła.
 Po cóż mam wracać? Po co? Łzy, westchnienia tłumić?
 Jedna tu była dusza, zrozumieć mię mogła!
 I ta nie zrozumiała — nie chciała zrozumieć! —
 Odjadę więc samotny — niech będzie szczęśliwa!

MARJA, wzruszona.

Rizzio!

RIZZIO.

Powtórz tym głosem! powtórz moje imię!
 Z dźwiękiem mowy głos duszy twojej się wyrывa.

MARJA, zimno.

Rizzio! chciałam cię prosić, kiedy będziesz w Rzymie,
 Proś odemnie Papieża, niech zamknięty w złoto
 Przyśle mi chleb ze stołu Pańskiego.

RIZZIO, z oburzeniem.

Pobożna!

Gardzić, poniżać serce, zabijać, jest cnotą —
 Potem można się modlić? Wszystko zgładzić można.
 Żegnam cię — —

MARJA.

Wszyscy losem jesteśmy miotani!

Bądź zdrow! Marja ci wiecznie pamięci dochowa.

RIZZIO.

Mamże odjechać?

MARJA.

Cóż to znaczy?

RIZZIO.

Przebacz pani!

Ale twój głos był tkliwszym — smutniejszym niż słowa,
 Pozwól mi dziś pozostać — jutro się oddalę.

MARJA, z ironją.

Zostań! zostań! Dziś możesz pozostać bez grzechu,
 Dziś bal na dworze, maski napelnia te sale,
 Ja sama się ubiorę jak królowa śmiechu.
 Przyjdź więc — tam nowe z nami będzie pożegnanie —
 Przyjmiesz je choć ze śmiechem, z ust śmiechu królowy.

RIZZIO.

Pani! żegnam na wieki!

(Odchodzi.)

MARJA.

Raniłam go słowy,
 Lęka się mego śmiechu — dłużej nie zostanie.
 Jedno słowo od pewnej śmierci go wybawia —
 Zawsze gorzkie lekarstwo dobre skutki sprawia.

A K T III.

SCENA I.

(Ogród — Noc — Wśród drzew i kwiatów widać pałac Holy Rood i kaplicę świętego Krzyża. Okna pałacu oświecone wewnątrz. Księżyc świeci.)

BOTWEL, sam.

Zatrzymał mię ten starzec nad przepaścią zgonu,
 On marzył — a jam płocho marzeniom zawierzył.
 Nie żyć — albo żyć królem — dotąd jużbym nie żył!
 Czyliż się na krok jeden zbliżyłbym do tronu?
 Jestem czem byłem — marnym łudzę się pozorem.
 Może ja nadto prędko chcę stanąć u celu?
 Ranne przepowiedzenie chcę sprawdzić wieczorem.
 Dziś, wcześniej — jutro będziesz na tronie, Botwelu!
 Gwiazdo! z tobą związane przeznaczenie moje,
 Lecz twój blask nadto słabo mej drodze przyświeca!
 Może krew na tej drodze — świeć — krwi się nie boję —
 Oto świętego Krzyża posępna kaplica,
 I kiedyż się w niej będą modlić za mnie? Może
 Wtenczas, gdy usnę w grobie, lub kiedy na tronie
 W purpurę królów skryję zakrwawione dłonie,
 Wtenczas modlić się będą? Oto na tym dworze
 Tłum zalotników pełen nadziei, zapału —
 Ja — jak nędzarz u progu — okna oświecone,
 Cień się jakiś przesuwą po szybach kryształu —
 Tak — to ona — królowa! Poznałem koronę —
 Bliżej! bliżej — o nieba! już mi sił nie stanie,

W oczach się snują dziwne gorączki kolory.
 Gdyby mię jaki człowiek obaczył w tym stanie,
 Rzekłby z gorzką litością: Botwelu! tyś chory!
 Idź do szpitala — słuchaj, ty jesteś szalony!

SCENA II.

BOTWEL, PAŻ.

PAŻ.

Szukam ciebie, Botwelu — wszystkie zwiedzam strony,
 A ty w murach zamkowych, w królowy ogrodzie?

BOTWEL.

Chciałem się tu orzeźwić przy wieczornym chłodzie.

PAŻ.

O! prawda, jak tu miło! W tym lesie topoli
 Kwiaty miłą tchną wonią — i wszystko rozkwita.
 Lecz najpiękniejsza róża w pałacu ukryta —
 Chcesz ją widzieć?

BOTWEL.

Co mówisz! królowa zezwoli?

PAŻ.

Zezwoliła.

BOTWEL.

Widzieć ją! Kiedy?

PAŻ.

Za godzinę.

BOTWEL.

Sama ci to mówiła?

PAŻ.

Spełnia^m jej rozkazy.

BOTWEL.

O gwiazdo! świeć mi gwiazdo! Na morze wypłynę —
 Niech łódź moją strzaskają wydobyte gąłzy —
 Nie dbam o nic — zaczęły sprawdzać się wyroki!

PAŻ.

Panie! panie! rozpogódź ten smutek głęboki —
 Strwożyć możesz królowę tych nieszczęść widziadłem,
 A cień twojego czoła na jej czoło spadnie.

BOTWEL, z ironją.

Co? rozpogodzić czoło? Paziu, to tak snadnie!
 Idę, całą godzinę strawię przed zwierciadłem —
 To łatwo twarz ułożyć. Uśmiech gorzki twarzy
 Nie jest owocem cierpień? Igraszka dziecinna.
 Twarz moja była niegdyś jak dziecka niewinna —
 Będę się śmiał jak dziecko, co o świecie marzy.
 O paziu, łatwo zatrzeć na czole te rysy!
 Tak jak na pargaminie zaloty pisane
 Można przemazać! zetrzeć, nowe kłaść napisy.
 Przemażę pismo czoła — zniknie przemazane.
 Bywaj zdrów!

(Odchodzi.)

PAŻ.

Jak gorzkiemi przeraził mię słowy!
 Spieszę teraz do Rizzia, z rozkazem królowy.

(Wybiega.)

SCENA III.

HENRYK, MORTON, LINDSAJ, wchodzą spiesźnie.)

HENRYK.

Więc to prawda, Mortonie! Rizzio nam uchodzi?

MORTON.

Źle nam wróży ten odjazd, zbyt nastąpił nagle.
 Już służba jego sprzęty przenosi do łodzi,
 I przeprawia na okręt pod francuskie żagle.
 Trzeba spieszyć — nie wiemy jakie ma zamiary?
 Pod lilijami Francji bezpiecznie odpłynie.

HENRYK.

Co? miałżeby uniknąć zasłużonej kary?
 Nim się na okręt schroni, niech na brzegu zginie.

LINDSAJ.

Śpieszmy więc!

HENRYK.

Czekaj, czekaj! niech dobrze rozważę —
 Zanadto nas daleko zapędy uwiodły.
 Czyliż sam we krwi zbiega dłoń królewską zmażę?

Na brzegu, gdzie tłum majtków, gdzie tłum ludu podły,
 Będzie wskazywał palcem — jaka myśl straszliwa!
 Będzie wskazywał, będzie urągał mej twarzy,
 Jeżeli twarz poblednie. Kto wie co się zdarzy?
 Rizzio opuszcza brzegi — niech sobie odpływa!
 Jego trup zakopany — tu — blisko królowy,
 Więcej mi będzie szkodził, niż sam Rizzio żywy,
 Skoro się ztąd oddali.

LINDSAJ.

Panie! skończmy łowy,
 Już prawie wpół dognany ów jelen pierzchliwy.

HENRYK.

Nie — nie, niechaj odjeżdża.

MORTON.

Tak, niech z Bogiem płynie,
 Niech po krajach rozszerza swoją sławę, panie!
 Jeszcześ nie był dość znany francuskiej krainie.
 Harfiarz, na dobrowolne skazany wygnanie,
 Da cię poznać Francuzom. Na królewskim dworze
 Kadzić mu będą, prosić na królewskie sale,
 Błagać o jego przyjaźń — pomocną być może.
 On trzyma serce Marji, trzyma rządu szale —
 A Henryk?

HENRYK.

Co chcesz mówić?

MORTON.

Że Henryk — w tym kraju
 Jest królem.

HENRYK.

Jestem królem! Czy słyszysz Lindsaju,
 Co on śmie mówić?

MORTON.

Lindsaj tym słowom zawierza.
 Napiwszy się do woli płochych kadzidł dymu,
 Uda się może Rizzio do dworu Papieża.
 Ujrzysz go wkrótce w kraju — przyjedzie tu z Rzymu,
 I kapelusz czerwony przywiezie na głowie;
 Z twarzy bardzo podobny Rizzio do Wolseja.

Padniemy przed nim na twarz, a sam Darnlej powie,
 Że już zemsty ostatnia zniknęła nadzieja.

HENRYK.

Przestań! już idę! —

(Chcą wychodzić — w progu spotykają Duglasa.)

SCENA IV.

HENRYK, MORTON, LINDSAJ, DUGLAS.

DUGLAS.

Stójcie! już Rizzio odpłynął.

HENRYK.

Nieba! Więc moja zemsta spełnić się nie może?
 Jużbym się był nie wahał! — Pójdę ponad morze,
 Każę okręt zatrzymać.

DUGLAS.

Już żagle rozwinął.

Jam winien — teraz na mnie mścicie się rycerze!
 Oto piersi odkryte i miecz ohnażony;
 Ta krew warta krwi Rizzia. Jestem tak spodlony,
 Że ludziom już nie wierzę i sobie nie wierzę.
 Sam chciałem przeciąć żywot tak podłej osnowy —
 Lecz kto wie? może marna zatrzyma mię trwoga.
 Bałem się zabić Rizzia w obliczu królowy,
 Będę się bał zabijać siebie w oczach Boga.
 Życie Włocha zostało na mojem sumieniu.
 Myślałem że ten harfiarz wierny przyrzeczeniu,
 Jutro, jak rycerz, bronią ze mną się rozprawi.
 Ufajcie teraz ludziom! Znoszę brzemię sromu,
 Gdy szukam wyjść z tych nieszczęść ciężkiego ogromu,
 Od wstydu aż do grobu widzę mały przedział.
 Któż mię przed okiem wzgardy na świecie zasłoni?
 Przynajmniej uciekając, gdyby był powiedział:
 Że nie waszych sztyletów, mojej zląkł się broni —
 Możebym żyć mógł jeszcze —!

SCENA V.

HENRYK, MORTON, LINDSAJ, DUGLAS, PAŻ.

DUGLAS, chwytając piersi wbiegającego Pazia.

Paziu! — Paż ten zginie!

Ja go zabiję — pazia tak kocha królowa

Jak Rizzia.

(Postrzegając pismo w rękach pazia, wrywa je.)

Cóż to znaczy? na tym pergaminie,

Widzę kreślone jakieś niewyraźne słowa —

Czytajcie —

PAŻ.

List królowej oddać mi kazano,

Nie czytajcie! nie macie prawa!

LINDSAJ, biorąc z rąk Duglasa pismo.

Prawem siła.

(Czyta.)

«Dzięki tobie królowo, żeś mi pozwoliła,

Wieczór z tobą przepędzić dzisiaj» podpisano:

Rizzio.

DUGLAS.

Rizzio? Rizzio! czyś dobrze wyczytał?

LINDSAJ.

W klasztorze

Czytać mię nauczono, pojąłem nauki.

HENRYK.

Więc Rizzio dziś ma wieczór przepędzić na dworze?

To pewno jaka zdrada, jakie włoskie sztuki?

Lecz nie — musiał pozostać, zmyliły nas czaty.

Lindsaju, zamknij pazia do mojej komnaty,

Żeby nie zdradził, żeby nie mógł nam przeszkadzać.

PAŻ.

Żeby nie zdradził? od was nauczę się zdradzać —

Duglasie! wstyd ci wyrył znamiona na czołe!

Daj mi miecz równej miary, jak miecz przy twym boku,

A czarną zdradę w krwi twej obmyję potoku.

LINDSAJ.

Paziu mój, jesteś dziecko! — O! młody sokole,

Ty pierwsze pióra jeszcze utracasz na wiosnę.
Pójdź ze mną.

PAŻ.

Pamiętajcie! ja kiedyś dorosnę.

(Lindsaj wyprowadza Pazią.)

DUGLAS.

Więc Rizzio zginać musi!

HENRYK.

Kiedy?

DUGLAS.

Dzisiaj zginie!

HENRYK.

Gdzie?

DUGLAS.

Ty się wahasz jeszcze? Gdzie? W tronowej sali,
U nóg królowy — niech go w szaty swe zawinie,
I tam go znajdzie jeszcze ostrze mojej stali.

HENRYK.

Lecz w obliczu królowy spełnić czyn tak krwawy,
To mię od niej na wieki, na wieki oddzieli!

DUGLAS.

Ha! więc idź i znoś brzemię wzgardy i niesławy —
Wzgarda nie ośmieliła, nie cię nie ośmieli.
Idź pełzać przed królową w udanej pokorze:
Lecz wiedz — kobieta kochać człowieka nie może,
Skoro śmiała nim gardzić.

HENRYK.

Gardzić? Nigdy w świecie!

Dziś będę śmiałym — dzisiaj męstwa dam dowody.
Chodźmy więc po sztylety święcone w Lorecie,
Potem potajemnymi wprowadzę was wchody.

(Odchodzi w Duglasem.)

MORTON.

Poszli — nie pójdę z nimi. Marja się nie dowie,
Że z zabójcami Rizzia i Morton był w zмовie.

(Odchodzi w stronę przeciwną.)

SCENA VI.

(Pokój Marji, jak w scenie VI. aktu II.)

MARJA sama, siedzi nad krosnami.

Sama jestem. Gdzież paż mój? dotąd nie powraca.
 Czemże czas sobie skrócę? tak pomału płynie!
 Najmilsza to godzina gdy mię zajmie praca,
 Kiedy się kwiat na płutnie pod igłą rozwinie,
 Gdy jak wiejska dziewczica siądę za krosnami.
 Lecz jak mało tych godzin! wiecznie, wiecznie w tłumie
 Podejrzliwych, nieczułych; ich łzy nie są łzami,
 Uśmiech nie jest uśmiechem — nikt mię nie rozumie! —
 Gdybym, tak oświecona blaskami klejnotów,
 Zeszła do niskiej chaty gdzie lud mój przebywa,
 I spytała wieśniaka, czy królowa Szkotów
 Jest szczęśliwa? Odpowie: musi być szczęśliwa!
 Byłem niegdyś w stolicy, widziałem pałace,
 Widziałem oświecone okna jej komnaty;
 A ja nędzny, do grobu skazany na pracę —
 Mchem i zielem porasta strzecha mojej chaty,
 W pocie czoła uprawiam te skaliste góry!
 Widziałem groby królów, na grobach marmury,
 A prosty grób wieśniaka ciemny wrzos pokrywa!
 Tak, królowa szczęśliwa — musi być szczęśliwa. —

SCENA VII.

MARJA, RIZZIO.

RIZZIO.

Jakież mam składać dzięki? widzę cię królowo!
 U stóp twoich przepędzę ostatnią godzinę —
 Każdą chwilę życia bym okupił połową.
 Marjo! jakżem szczęśliwy! ja jutro odpłynę,
 Ale to jutro, jutro, to kres zbyt daleki.
 O pani! Marjo moja! tak się szczęściem łudzę,
 Jak gdyby wieczor szczęścia miał trwać długie wieki.
 O! kiedyż z zachwycenia, ze snu się przebudzę?

MARJA.

Serce mi ogarnęła tęsknota nieznana,
Wesołość nawet twoja smuci mię, przeraża.

RIZZIO.

Królowo! co ja powiem niech cię nie obraża.
Zawsze bym tu pozostał do jutra, do rana,
Na jutro Duglasowi dałem przyrzeczenie
Że się z nim widzieć będę, dotrzymałbym słowa.

MARJA.

Rizzio — to być nie może!

RIZZIO.

Zamiaru nie zmienię.

Ale to nadto smutna na dzisiaj rozmowa.
Pani! aż do szaleństwa jestem dziś wesoły —
O mojem oddaleniu myślałem z uśmiechem.
Słyszę! słyszę śpiew Tassa powtarzany echem,
Zda mi się że już płynę na łonie gondoli,
Czarnym wybitej kirem, jak na łonie trumny! —
Okna pałaców długim świecą się szeregiem,
Ścieląc po wodzie jasne światłości kolumny;
Łódź moja płynie szybko, płynie z fali biegiem;
A nademną daleko na błękicie ciemnym,
Posępne światłem księżyc rozacza się złoty —
I w duszy czuję dzikie uczucie tęsknoty.
Dla serca trawionego ogniem niewzajemnym,
Potrzeba takich cierpień — niech się karmi łzami!

MARJA.

O! Rizzio, serce twoje nie wesoło marzy —
Póki jesteśmy młodzi, wszystko jest przed nami.

RIZZIO.

Za mną wszystko zostało. Uśmiech mojej twarzy
Jeśli kiedy rozkwitnie? prędko, prędko skona!
Można za szklami różę rozkwiecić w jesieni,
Lecz jakże będzie smutna, blada, wysiłona! —
Ale po co się smuć! wszystko się odmieni!
Powrócę kiedyś, wrócę! czemużbym nie wrócił?
Czemu? — Świat jest przepaścią, kto się w przepaść rzucił
Może nigdy nie wrócić. — Nie, to niepodobna!

Ja będę kiedyś w Szkocji, w tych samych komnatach,
Sala ta, co się smutkiem wydaje żałobna,
Zabrzmi znów wesołością, rozjaśni się mury
Tłumem zamaskowanych dworzan w jasnych szatach.

MARJA.

O Rizzio! patrzaj! patrzaj na ten dwór ponury,
Tu niewinne zabawy lud grzechami zowie —
Szemrać będą dworzanie —

RIZZIO, z wzrastającą wesołością.

Szmer zgłuszą oklaski.

Połowa nawet dworzan może przyjść bez maski,
Gdy który spyta «znasz mię?» każdy mu odpowie:
«Nie znam cię masko» ani zbłądzi w odpowiedzi.
Ten kto się śmieje, zawsze płaczących zwycięża.
Młodzież francuska tłumem ten zamek odwiedzi,
Wtenczas szczęśliwy! —

(Słychać szczęk broni.)

MARJA.

Słyszysz! jakiś szczęk oręża?

RIZZIO.

O nie, to moja harfa wisząca na ścianie,
Tknięta powiewem wiatru, smutnem jękla brzmieniem.
Harfo! przyjmuję z czuciem twoje pożegnanie,
Ty mię jedna tak żegnasz, smutno i z westchnieniem.

MARJA, z niespokojnością.

Lecz gdzież się paż mój bawi?

RIZZIO.

Pani, rozjaśń czoło!

Niech ja zastąpię pazia. — Całe moje życie
Nie byłem tak szczęśliwy, szczęśliwy jak dziecię.

(Siada na małym stołku pazia, u stóp Marji.)

Siadę przy twoich stopach. — Jak mi tu wesoło!
Nie chciałbym teraz umrzeć — —

MARJA.

O! co ci się marzy?

Umrzeć tak młodo, z sercem tak pełnem nadziei!

RIZZIO.

Nadziei? chciałem na twej wyczytać ją twarzy,
Czytałem wszystkie, wszystkie uczucia z kolei;

Nadziei tam nie było. — Pani! nie chmurz lica,
 Niech paż z twarzy królowy gniewu nie wyczyta;
 Paż dziecko, z wody chciałby dostać twarz księżycą —
 Pani, piękny ci wieniec we włosach rozkwita,
 Daj mi róż kilka.

MARJA.

Rizzio! na co ci te kwiaty?

RIZZIO.

We Włoszech, na ołtarzów święconym mamurze
 Zawieszają ten dar drogi, nad złoto bogaty —
 Pokazywać je będą: patrzcie, oto róże
 Maryi Stuart Szkockiej, anioła w koronie.

MARJA, dając mu kwiaty.

Nie odmówię twej prośbie, lecz zamiaru bronię —
 Weź te kwiaty, lecz kwiaty niegodne ołtarza.

(Henryk wchodzi tajemnymi wschodami i staje za krzesłem Marji niepostrzeżony.)

RIZZIO.

Pani! jestem twym paziem — paż ciebie zaklina —
 Daj mu ten wachlarz, powiew twojego wachlarza
 Ma jakąś woń czarowną — woń — co przypomina
 To gór Szkockich powietrze; nieraz w kraj daleki,
 Przyniesie zapach róży co ciebie otacza;
 Wtenczas zamknę na chwilę złudzone powieki,
 Marzyć będę —

MARJA, z uśmiechem.

Królowa paziowi przebacza;

Rizzio nie śmiałby do niej użyć takiej mowy.
 Paziu! czy mi nie zechcesz korony zdjąć z głowy?
 Dobrze żeś nie zapragnął purpurowej szaty?
 Dobrze żeś na wachlarzu przestał.

(Daje mu wachlarz.)

RIZZIO.

Dzięki tobie!

SCENA VIII.

MARJA, RIZZIO, HENRYK, stojący zawsze za krzesłem Marji. DUGLAS,
LINDSAJ.

DUGLAS, uzbrojony sztyletem, chwyta Rizzia za piersi.

Właśnie dziś rano trzymał i wachlarz i kwiaty —
Z kwiatami i z wachlarzem teraz legnie w grobie.

RIZZIO.

Królowo! —

MARJA, powstając.

Stój Duglasie! zkądże ta odwaga?

Ty w komnacie królowy! czy gardzisz królową?

Stój! stój! Duglasie odejdz! królowa cię błaga.

Nie mogę rozkazywać — precz! odpowiesz głową!

Rizzio! chodź do mnie.

DUGLAS.

Próżno wołasz go do siebie,

Duglas trzyma go w dłoni, nie uniknie zgonu.

(Do Rizzia.)

Módl się, za chwilę będziesz lub w piekle lub w niebie.

MARJA

Duglasie! precz ztąd! precz ztąd! splamisz stopnie tronu.

Pomyśl! próżno mię będziesz błagał przy skonaniu,

Kat ci zerwie ostrogi i twarz splami dłońią;

W obliczu ludu zelży kat na rusztowaniu.

DUGLAS.

Próżno grozisz królowo! wiesz że władam bronią.

Skoro Duglas na zamku kaganiec zapali,

Zbiegną się zbrojne tłumy poddanych wassali.

Mam się lękać kobiety? Po co wszczynać boje?

Na tym samym okręcie na którym miał płynąć,

Odjadę w kraj Francuzów, wnet porzucam zbroję.

Mogę się w ten płaszcz jego jedwabny zawinać,

Wezmę te strusie pióra, wezmę ten miecz złoty,

Podlego Włocha dobrze wyuczę się roli;

Wnet mię zgraja francuzkich trefnisiów okoli,

Na dworze królów zdradne rozpocznę zaloty;

Będę pierwszym przy, ucztą zastawionym, stole —

Wkradnę się w łaski możnych — harfiarzem zostanę —

Chyba mię zdradzi kropla krwi na mojem czole,
 Lub te szaty splamione, pióra połamane.
 Giń Włochu! — Nie, sztyletem nie mogę uderzyć,
 Nigdy nie zabijałem sztyletem.

(Odrzuca sztylet.)

MARJA.

O Boże!

Duglasie, ach Duglasie! — Nie, nie mogę wierzyć
 Żebyś ty go śmiał zabić —

DUGLAS.

Przekonam cię może.

Duglas słowy zelżony, mieczem spełnia groźby.

MARJA.

Duglasie! nieszczęśliwa, zniżę się do prośby —
 Nigdy krwi nie widziałam! — widok mi nieznany —
 Oddał — oddał odemnie te krwawe obrazy.

DUGLAS.

Chciałbym żeby tu były zwierciadlane ściany,
 Abyś śmierć jego mogła widzieć tysiąc razy!
 Chciałbym żeby jęk Rizzia, echem powtarzany,
 Zabrzmiął, abyś go mogła słyszeć tysiąc razy!
 Niechaj krew jego wsiąknie głęboko w te głazy,
 Niech zostawi na wieki zbrodni plamę ciemną.

(Bierze od Henryka szpadę i przebija Rizzia.)

RIZZIO.

Marjo! oh! Marjo! — Boże, zmiłuj się nademną —
 Oh! oh! oh! —

(Kona.)

MARJA.

Rizzio! — Boże, zmiłuj się nademną.
 Stójcie! błagam was — jeszcze jęknął, jam słyszała.
 O! gdyby tu był Henryk! — Tak cicho jak w grobie,
 Gdzież Henryk? Henryk! mąż mój!

HENRYK, nachylając się, cicho.

Jestem tu, przy tobie.

MARJA, odwracając się zwolna.

Był przy mnie? Henryk, mąż mój? Boże mój!

(Pada na poręczę krzesła.)

HENRYK.

Omdlała.

Wynieście jego zwłoki —

DUGLAS, ponuro.

Przyszedłem zabijać,

Lecz nie wynosić zwłoki — wołajcie grabarzy.

(Lindsaj wyciąga trupa z sali i wraca.)

HENRYK, do Duglasa.

Duglasie! straszna teraz bladość twojej twarzy.

Czyliż męstwo rycerza zwykło tak przemijać?

Miałeś wdziąć jego szaty?

DUGLAS.

Krwiań czarną skalane.

HENRYK.

Ciebie dręczy zabójstwo?

DUGLAS, zbliżając się, patrzy Henrykowi w oczy.

Henryku! a ciebie?

Słuchaj! i twoje ręce krwią Rizzia zmazane —

Ty zabiłeś człowieka i wejdź teraz w siebie! —

Czy miałeś jaki powód zemsty lub urazy?

A jesteś tak spokojny! — Patrz, jaka różnica:

Ja pomściłem się czarnej na honorze skazy,

A jestem tak wzburzony! — rozpogódź więc lica —

My się bardzo różnimy — idź teraz do łoża,

Będziesz miał noc spokojną — gdy się zbudzisz rano,

Życzę, aby na niebie powstająca zorza,

Ujrzała twarz Darnleja, jak dzisiaj rumiana —

Królowo, przebacz! przebacz! idę w kraj daleki,

Wygnaniec, zbójca podły, niosę piętno zbrodni!

(Ochodzi.)

LINDSAJ.

Ci rycerze, imienia rycerzów nie godni.

HENRYK.

Słuchaj! — Królowa wkrótce otworzy powieki,

Uciekajmy z tej sali.

LINDSAJ.

Chódź! jedźmy na łowy.

HENRYK.

Lindsaju, ty znasz może uczucia królowy?
Będzie mię nienawidzić?

LINDSAJ.

Zbądź niewczesnej trwogi.
Chodź! chodź królu — chodź ze mną — słyszę czyjeś kroki!
(Wyprowadza gwałtem ociągającego się króla.)

SCENA IX.

MARJA, omdlona. BOTWEL.

BOTWEL.

Królowa — czy usnęła? sen nadto głęboki.
Zkąd ta krew? po raz pierwszy wstępuję w te progi,
A już tu we krwi brodzę? Ktoś zbrodni dokonał,
Spełnił czyn tajemniczy, zbrodnię bez nazwiska —
Świateł przygasłych promień błękitnawy błyska,
Sztylety na podłodze! sztylety? — któż skonał?
Może król! —

MARJA.

Oh! —

BOTWEL.

Królowa budzi się. —

MARJA, z pomięszaniem.

Duglasie! —

Ach, miej litość! — gdzież jestem? Boże jak tu ciemno!
Zapóźno się zbudziłam! tak jest! już po czasie —
Jestem przy tobie. — Boże zmiłuj się nademną! —
On był przy mnie — mąż, Henryk, był przy mnie — zabijał.

BOTWEL, z zadziwieniem.

Henryk zabijał? —

MARJA.

Może krew plami te szaty?

Widzę go — pod sztyletem w cierpieniach się zwijał —
Precz! precz! o łzo natrętna. — Mamże płakać straty?
Mścić się potrzeba — Drżycie! — Czyż krew płacić łzami?
Krew za krew — drżycie, zemsta straszliwa nad wami!
Już śmierć weszła do zamku, będą zbrodnie nowe.

BOTWEL.

Jakaż to straszna boleść przenika królowę?

MARJA, z pomię szaniem.

Tyś Rizzia krwią zmazany?

BOTWEL.

O! nie! chyba własną —

MARJA.

Tyżeś to w tej godzinie! słuchaj, w jakim celu?
O! niech teraz te światła! te pochodnie zgasną!
Żeby mój wstyd ukryły. — Kocham cię Botwelu!
Nie jest to czas ukrywać i taić uczucia,
Rzucam się na twe łono, już jestem zgubiona!

BOTWEL.

O Marjo! śmierć cię chyba wydrze z tego łona.
Czy żądasz zemsty? powiedz! zabójstwa? otrucia?

MARJA.

Nie, nie nie żądam — słuchaj! chodź przed ołtarz Pana,
Połączę z tobą dłonie, gdy serce złączyła.
Lecz nie, ta ręka z krwawą ręką powiązana,
On żyje jeszcze! — Boże! cóżem wymówiła:
(Wyrывa się z rąk Botwela i ucieka.)

SCENA X.

BOTWEL, sam.

On żyje jeszcze? — w dobrą trafiłem godzinę.
Wieki trzeba by czekać na takie wyznanie,
A teraz ją zdradziły, rozpacz, obląkanie.
Myśl zemsty w niej ukrytą jako kwiat rozwinę;
Piękny kwiat, choć zatrute owoce wyradza!
Teraz chyba szatana wyrwie mi ją władza!
Serce się moje kobiet łzami nie rozczuła —
Chce żebym myśl jej odgadł? nie — ja nie rozumię!
Aż mi powie: Botwelu! zabij, zabij króla!
Za mniejszą cenę nie chcę zabijać, nie umię.

A K T VI.

SCENA I.

(Pokoje królowy.)

MARJA, BOTWEL.

MARJA.

Dziś jestem spokojniejszą, czystych modlitw władza
 Usypia wszystkie troski i uśmierza bole;
 Czas, cierpliwość, najsroźsze rany ułagadza.
 Wszystko znieść można —

BOTWEL.

Wszystko?

MARJA.

Troski i niedolę.

BOTWEL.

I wzgardę?

MARJA.

Dosyć, dosyć zniosłam na kobietę?
 Jestem na tronie, ale z sercem zakrwawionem.

BOTWEL.

O Marjo! ty się nadto łudzisz blaskiem, tronem —
 Ten tron, to proste deski szkarłatem przykryte;
 Już zeń zdjęto szkarłaty, zasłano całuny —
 Obejrzyj się, na tronie nie dostaje truny.
 Widziałem w kraju Franków, gdy król wielki skona,
 Postać jemu podobną wnet z wosku utworzą,
 Przykryją szkarłatami, na mary położą;
 Dziwnie od martwej twarzy odbija korona!
 Przeraża ludzi wstętem ta postać woskowa,
 Ustrojona w klejnoty, przy trumny żałobie —
 Nie obrażaj się Marjo, lecz Szkotów królowa,
 Podobna do tej maski leżącej na grobie.

MARJA.

Cóż uczynię?

BOTWEL.

Ha! módl się! przebaczaj!

MARJA.

Przebaczyć!

Komu przebaczyć?

BOTWEL.

Wszystkim.

MARJA.

Chciej mi wytłómaczyć!

(Botwel się żegna.)

Czego się żegnasz?

BOTWEL.

Pani! odmawiam pacierze —

Słyszę dzwon po umarłym.

MARJA.

Co? dzwon? po kim dzwony?

BOTWEL.

Po śmierci Rizzia.

MARJA.

Boleść zaledwo uśmierzę,

I modlitwą zagłuszę jęk w piersiach tłumiony! —

Szatan budzi mię ze snu —

BOTWEL, patrząc przez okno.

Patrz Pani! tam zdala

Snuje się tłum pogrzebu, idą czarne cugi;

Płatna wymowa cnoty zmarłego wychwala,

A za trumną przyjaciół orszak smutny, długi —

Ale ten najwierniejszy który w trumnie zaśnie.

Każdy, z domu wychodząc, trzymał świecę jasną —

Połowa już pogasła, inne teraz gasną,

Patrz! jedna jeszcze miga — i ta wkrótce zgaśnie;

Na chwilę mu ciemnego grobu nie oświecą —

I pamięć ich zagasa z tą gasnącą świecą —

Śpij Rizzio, wszyscy, wszyscy ciebie zapomnieli!

Czyż nie dosyć? zmówili wieczne odpocznienie!

MARJA.

Słuchaj! słuchaj! kobieta na cóż się ośmieli?

Patrz Botwelu! ten obraz wiszący na ścianie —
 Jak w nim dobrze trafiona blada twarz Henryka —
 Ściga za mną oczyma. — Nie zniosę tej twarzy!
 Patrz! za mną się obraca, wzrokiem mię przenika —
 O! ten wzrok! nie jest dziełem ludzi i malarzy!
 Na obraz szatan przeniósł — myśl moją — sumienie
 I serce moje dręczy boleścią okrutną.

BOTWEL.

Cha! cha! więc ci nie miłe Darnleja spojrzenie?
 Można obraz zasłonić!

MARJA.

Nie — rozedrzyj płótno!
 Rozedrzyj je sztyletem — na co te obrazy?
 Ja go mam w sercu.

BOTWEL.

Pani! spełnię twe rozkazy —
 Czy będziesz spokojniejsza?

MARJA, niecierpliwie.

Spełnisz moje chęci?
 Co wyrzekłeś? —

BOTWEL.

Tak, zniszczę ten obraz Darnleja.

MARJA, z przytłumionym westchnieniem.

Obraz! —

BOTWEL.

Tak chciałeś?

MARJA.

Prawda, wyszło mi z pamięci,
 Chciałam zgonu obrazu —

(Na stronie.)

Zniknęła nadzieja!
 On mię nie pojmie, ja się wyrzec nie ośmielę.

BOTWEL.

Pani! więc dziś się z tobą na wieki rozdziele,
 Przyszedłem się pożegnać.

MARJA, z rozpaczą.

Co mówisz? moj drogi!
 Dla nieszczęśliwej cios to nazbyt, nazbyt srogi!
 Nie wytrzymam!

BOTWEL.

O pani! mam zostać przy tobie?

Każesz mi zostać? jesteś królowa, masz władzę.
Dziś więc grób mój, przy Rizzia każę kopać grobie —
Przeciw sztyletom słaba obrona w odwadze!

MARJA.

Ty mi serce rozdierasz — piekło teraz we mnie!
Zemścić się! zemścić! cóż mi teraz pozostaje?
Zemścij się!

BOTWEL.

Nad Duglasem mścić się? to daremnie,
Duglas z Lindsajem, oba uszli w obce kraje.

MARJA.

Idź! szukaj ich! nie, zostań! zostań tu, miej litość!
Chciej mię zrozumieć! błagam! czyliż duszy skrytość
Mam wyjawić słowami? choć wiem że ta mowa
Sumienie mi obarczy, z echem nie upłynie —
Powinien zginąć!

BOTWEL.

Kto?

MARJA, długo pasując się z sobą.

On!!!

BOTWEL.

Kto?

MARJA.

Król!

BOTWEL.

Zginie!

MARJA.

O! ty jesteś jak echo, powtarzasz me słowa —
Ja chciałabym ażeby bez echa skonały! —
Lecz tak, już przeważylam jedną stronę szali —
Tak, już się pierwsze węzły skrytości przerwały.
Dalej — dalej iść trzeba — idę dalej — dalej;
Nie wiem gdzie zajdę — Słuchaj! jesteś taki błądy,
Jakbyś mi chciał wyrzucać?

BOTWEL.

Królowo! ja zbłądłem?

To może dawnych cierpień pozostały ślady.

MARJA.

Botwelu! niech twe czoło nie będzie zwierciadłem,
W którym czarność mych zbrodni czytam z przerażeniem.
Mamże twe świetne myśli przykryć zbrodni cieniem?
Zapomnij słów niebacznych! ja marzyłam we śnie!
Zapomnij o snach moich! nie zwierz ich nikomu! —

BOTWEL.

Królowo! on dziś zginie.

MARJA, z przerażeniem.

Dziś? to nadto wcześnie!

BOTWEL.

Gdzie Henryk?

MARJA.

Niedaleko, w małym wiejskim domu.

Mówią że chory.

BOTWEL.

Chory? — Chory umrzeć może.

Nie lękaj się, dziś Henryk pod sztyletem skona,
Oddałę podejrzenie, chorobą się złożył.
Lecz dopomóż mi trzeba. — Jako wierna żona
Powinnaś go odwiedzić jeszcze dziś z wieczora —
Dasz mu w lekarstwie napój co go uśpi w nocy.

MARJA.

O! to, czego ty żądasz nie jest w mojej mocy!
Ja mam go widzieć dzisiaj? widziałam go wczora,
Jutro mam widzieć trupem — widzieć dziś? nie mogę!

BOTWEL.

Odwiedź go — zniszczysz wszelkie podejrzenia, twogę —
Bez tego spać nie będzie — uchroni się zgonu —

MARJA.

Daj więc! daj mi ten napój — zejść z mego tronu,
I przez tę noc straszliwą, żaden z mych poddanych
Nie będzie równie podłym i występny. —

BOTWEL, wyjmując truciznę którą pokazywał u Astrologa.

Pani!

Oto napój wyjęty z ziół mi dobrze znanych.
Niech Henryk spełni do dna, choć może smak zgani —
Sen dla chorego, w bólach wielką jest przysługą.

MARJA.

Więc Henryk gdy wypije?

BOTWEL.

Zaśnie —

MARJA.

Na jak długo?

BOTWEL.

Nie wiem —

(Odwracając się.)

Skoro napoju użyje królowa,

Mój sztylet niepotrzebny

(Do Marji.)

Królowo! bądź zdrowa!

(Odchodzi.)

MARJA, sama.

Uważałam go pilnie — przez rysy oblicza

Chciałam czytać aż w sercu, odkryć by cień zdrady.

Smutny był? twarz Botwela zawsze tajemnicza —

Błady był? wszak on zawsze pośpny i błady.

Nie, to nie jest trucizna, i któż się nie wzruszy

Powierając kochance narzędzie otrucia?

Chybaby nie miał w sercu żadnej iskry czucia!

Chybabym okiem duszy nie czytała w duszy?

(Odchodzi.)

SCENA II.

(Teatr wystawia wnętrze wiejskiego domu, pomieszkania Henryka.)

HENRYK, NICK.

HENRYK.

Błąkam się jak wyklęty, słuszna kara Boża —

Zbłąkana wyobraźnia blade widma roi —

Zgryzoty przy wezgłowiach stoją mego łoża.

NICK.

O nie! przypatrz się królu, tylko błazen stoi.

HENRYK.

Tak, błazen tylko, wszyscy już mię opuścili.

Oświecam widma błądą umysłu pochodnią,

Każdy kamień korony obciążyłem zbrodnią;

Ich ciężar głowę moją do grobu nachyli —
Przeważa mię korona.

NICK.

I ja równie błędę.

Oto czapka w królewskich pokojach wytarta —
Dotąd na niej zdobyte wieszałem pieniądze:
Wkrótce czapka od błazna będzie więcej warta,
I wkrótce mnie samego ciężarem przeważy.
Nie trzeba nadto wielkich ciężarów na głowie —
Dość rozumu i głupstwa.

HENRYK.

Nicku! w twojej mowie
Więcej widać rozsądku, niż śmiechu na twarzy.
Ale gdy mię widmami myśl drżąca otoczy,
Jak ich nie widzieć? ich wzrok serce mi rozkruszy!
Jak ich nie widzieć Nicku?

NICK.

Panie! zamknij oczy.

HENRYK.

One nie przed oczyma — one w mojej duszy:
Widzę je, tak jak ciebie, jak me własne cienie —
Ścigają za mną —

NICK.

Panie! zagaś lampę w nocy,
Mnie nie ujrzysz przed sobą. — Zagaś twe sumienie,
Widm nie ujrzysz przed sobą. —

HENRYK.

To nie w mojej mocy!

Szalony jesteś! zgasić sumienie jak świecę?

(Wpatrując się w głąb pokoju.)

Patrz! tam stoi, w posępnej ubrany żałobie,
Jak gdyby chciał wyjawić śmierci tajemnicę?
Milczący — krwawy — blady — woła mię ku sobie.
Wszak mu sztylety ciało rozdarły na ćwierci?
A on wstał z grobu, świeży, jak z kołyski dziecko →

NICK.

O Panie! Rizzio błaznów lubił całe życie,
Może więc przyszedł tutaj szukać ich po śmierci?

Dziwię się że nie ze mną, lecz z tobą rozmawia,
Musisz być do mnie królu podobnym w tej chwili.

HENRYK, nie słuchając słów Nicka.

Precz! precz Rizzio! twój widok serce mi zakrwawia.

Wszystko bym oddał, byle ci życie wrócili!

Nie obwiniaj mię, odejdz — niech spokojny zasnę.

Ty może chcesz snu mego? spać nie możesz w grobie?

Więc i tam spać nie można? — Życie oddam tobie,

Lecz wróc mi sen —! Nie wracaj! życie oddam własne.

Twoje lica tak blade i ten wzrok rozwarty —

(Śmieje się dziko z obłąkaniem.)

Cha! cha! cha! to mi zmysły do reszty pomiejsza.

NICK.

Ten cień lepiej cię królu odemnie rozśmiesza,

Więc go przyjmij za błazna — nigdy moje żarty

Z ust twoich nie wyrwały tak szczerego śmiechu.

HENRYK.

Czego chcesz Rizzio? krwawe wskazujesz mi szaty?

Może ciebie zabiłem skalanego w grzechu?

Powiedz mi? jestem królem! ja jestem bogaty!

Dam na msze! powiedz tylko ile mszy potrzeba?

Zakupię msze na tydzień, miesiąc, rok, wiek cały! —

Choćbyś był zbójcą, modły przebłagają nieba,

Głos księży słyszeć będziesz w grobie już spruchniały.

Ha! jeszcze słychać harfę!

NICK.

Uspokój się panie!

To przywidzenie strachu. — Królowa tu zmierza. —

HENRYK.

Królowa? — Jakież będzie nasze powitanie!

Zabije wzgardą — wzgarda jak sztylet uderza.

SCENA III.

MARJA, HENRYK, NICK.

MARJA.

Henryku! ja sądziłam że cię tu zastanę

Wśród zgrai twoich dworzan! — Tyś samotny, blady,

Powiedz czyś ty nie chory? oczy obląkane,
Na twarzy widać jeszcze bezsenności ślady.

HENRYK, z rozpaczą.

O Marjo!

MARJA, przerywając.

Uspokój się! tyś chory mój luby!
Połóż się, zaśnij — widać, bezsenność ci szkodzi.

HENRYK.

O Marjo! jestem winien! winien Rizzia zguby!

MARJA, z udaną obojętnością.

Ja nie wiedziałam o tem, cóż mię to obchodzi?

HENRYK.

Ty mi przebaczasz? powiedz!

MARJA.

I cóż mam przebaczyć!

HENRYK.

Śmierć jego.

MARJA.

Czyją?

HENRYK, z przymuszeniem.

Rizzia —

MARJA.

Jużem zapomniała.

HENRYK.

Chciałem się uniewinnić, czyn mój wytłómaczyć,
Lecz ten Włoch nie wart, abyś o nim pamiętała.

NICK, do Henryka.

Włoch nie wart, abyś o nim pamiętał Henryku!
Powtórzę ci te słowa, twoje słowa własne,
Gdy nie będziesz mógł zasnąć.

HENRYK, do Nicka.

Precz! precz nędzny Nicku! —

(Do Marji.)

Przebaczyłaś mi! teraz już spokojny zasnę.

MARJA.

Trzeba sen sztuką zwabić, gdy od łoża stroni —
Przyniosłam napój senny, poznasz jego siłę.
Sen cię po nim skrzydłami lekkimi osłoni;

Zaśniesz jak małe dziecko, będziesz miał sny miłe.
Wmieszam go do lekarstwa —

HENRYK do Marji, która wlewa napój w czarę stojącą przy łożu.
Dzięki ci królowo!

NICK, na stronie.
Zadrżała! Przed mem okiem nic się nie ukryje.
(Do Maryi cicho.)

Pani, podziel się z królem napoju połową,
Bo kto wie, gdy król twoje lekarstwa wypije,
Może ci się podobny napój w nocy przyda!

MARJA, spojrziała na Nicka i odwróciła się ze wzgardą.
O jakże trudna rola! — Lecz tak, kończyć trzeba!
Każde spojrzenie zdradzi, każde słowo wyda,
A myśl mnie już wydała przed obliczem nieba.
Oby się prędzej, prędzej wyrwać z tej komnaty!

HENRYK.
O Marjo! czemu nosisz te żałobne szaty.

MARJA.
Tyś chory, chciałam przez to mój smutek wyrazić.

NICK, na stronie.
Więc na to szat potrzeba!

HENRYK, z czułością do Marji.
Ja cierpię tak mało! —
Zwiększono wielkość cierpien, chciano cię przerazić —
Teraz z mojej słabości nic już nie zostało,
Skoś mi przebaczyła.

MARJA.
Bądź zdrów!

HENRYK.
Jeszcze wcześniej!

Gdzie idziesz? zostań chwilę, jeszcze jedno słowo!
Wyznam ci szczerze, nieraz dręcę się boleśnie —
Nieraz cię obraziłem, przebac mi królowo!

(Kłęk przed nią.)
Przebiegnij wszystkie chwile któreśmy przeżyli —
Jeśli nas jaka w życiu czarna chwila dzieli,
Błagam cię! utrac pamięć tej nieszczęsnej chwili!

MARJA, odwracając się ze drżeniem.

Przeprasza, jakby leżał w śmiertelnej pościeli.
Człowiek co może jutra, jutra nie zobaczy,
U stóp moich klęczący błaga przebaczenia!
Gdy jemu nie przebaczę, czy mi Bóg przebaczy? —
Wstań Henryku! o przebacz! przebac mi wzajemnie.

HENRYK.

Ty błagasz przebaczenia? błagasz go odemnie?
Powiedz mi, jakie w tobie mam odpuścić winy?
Ja ci nawzajem serce do głębi otworzę.

MARJA.

Bądź zdrow — prędko mi z tobą ubiegły godziny.

HENRYK, z czułością.

Kiedyż się zobaczymy?

MARJA, drżącym głosem.

Nie wiem — jutro może?

HENRYK.

Ty mię tak zimno żegnasz? Czyliż świeże śluby,
Przebaczenia, miłości, znikły między nami?

MARJA, całuje go w czoło.

Bądź zdrow! —

HENRYK, z przerażeniem.

Tak mię zimnemi dotknęłaś ustami!

Dreszcz mię przebiegł —

MARJA, z gorzkim uśmiechem.)

Ty jesteś w gorączce mój luby.

(Odechodzi.)

SCENA IV.

HENRYK, NICK.

HENRYK.

O Marjo! mój aniele! Boże, dzięki tobie!
Nawróciłeś jej serce, kocha mię tak szczerze —

NICK.

Ty wierzysz temu królu?

HENRYK.

Tak jest, wierzę! wierzę!

Rizzio jeden nas dzielił — Rizzio teraz w grobie —
 Wszystko się odmieniło, już jestem szczęśliwy!
 Czy widziałeś jej uśmiech tak szczery i tkliwy?
 Z pogodnem czołem przy niej zasiądę na tronie.
 Ciesz się! ciesz się Duglasie! zyskasz przebaczenie —
 Ja ciebie moim płaszczem królewskim osłonię.
 Ciesz się mój wierny Nicku! zgasilem sumienie,
 Już nie o białych widmach, lecz o szczęściu marzę!
 Ciebie Nicku darami sownie obdarzę,
 Czapkę złotem napelnię, sprawię ubiór nowy.

NICK.

Spraw mi żałobę.

HENRYK.

Po kim masz chodzić w żałobie?

NICK.

Spełń ten puhar, w nim znajdziesz lekarstwo królowy,
 A wtenczas błazen wdzieje żałobę po tobie.

HENRYK.

Precz! precz! — Jesteś podobny do piekielnej jędzy!
 Podły i podejrzliwy, kłasz, trujesz jadem.
 Precz! idź się błakać, zebrać i umierać w nędzy!
 Lecz nie, śmierć twoja będzie dla innych przykładem;
 Obieraj rodzaj śmierci —

NICK.

Trudno mi obierać,

Głupstwo jest wieczne — głupstwo nie może umierać,
 Od wieków z nieprzerwanej wypływa osnowy.
 Chciałbym skonać pod mieczem, ale kat zawoła:
 Nicku! gdzie twoja głowa? wszak ty nie masz głowy!
 Cha! cha! nieprawdaż królu że to myśl wesola,
 Nie mieć głowy. Więc węzeł założyć na szyję?
 Lecz ja jestem tak lekki! sam wiatr mię utrzyma;
 Nie, ja wisieć nie mogę, dla mnie śmierci nie ma,
 Chyba — to śmierć najlepsza, ten puhar wypiję.
 Żądasz więc mojej śmierci?

HENRYK.

Precz straszna poczwaro!

Nędzny! takąż to wdzięczność niesiesz panu w darze?

Sumienie niech ci będzie zasłużoną karą.

Wyganiam cię ze dworu.

NICK.

Ja sam się ukarzę.

(Wypija prędko puhar, nalany przez królowę.)

HENRYK.

Co czynisz?

NICK.

Nic. Wypiłem królowy napoje;
Zasnę jak małe dziecko, będę miał sny miłe,

HENRYK.

Zadrżałem mimowolnie — lecz czegoż się boję?
On tylko zaśnie.

NICK.

Zasnę, gdy znajdę mogiłę!

I tej może odmówią.

(Blednie, siada przy królu i głowę na dłoniach opiera.)

Przed daleką drogą,

Powrócę jeszcze myślą w rodziców mieszkanie.

Widzę tam — w końcu sioła tę chatę ubogą,

Zczerniałe dymem ściany i obraz na ścianie,

A przy obrazie lampa; pies wrót chaty strzeże,

Nad chatą dąb spruchniałe podnosi konary.

O Boże! widzę — widzę — tam mój ojciec stary,

Na progu pług naprawia i mówi pacierze!

Oto matka ze łzami usiadła do przędzy —

Śpiewa pieśń jak przy mojej kołysce śpiewała —

O! któżby, któżby sądził że pod dachem nędzy,

Urodzi się istota co się będzie śmiała!

HENRYK.

Pierwszy raz wpadasz Nicku w tak czarną tęsknotę;

Ty byłeś tak wesoły?

NICK.

Tak — byłem tułaczem.

Któżby przyjął do domu płaczącą sierotę!

Panowie mogą smutek głosić jękiem, płaczem,

Nędzarz śmiać się potrafi, potrzebuje chleba.

HENRYK.

Powiedz! co ci jest Nicku! ten napój? o Boże!
Może jaki ratunek?

NICK.

Już mi nic nie trzeba —

Słuchaj królu! z dzieciństwa chowany na dworze,
Służyłem za igraszkę — śmieli się dworzanie,
A ja widziałem wzgardę w ich śmiechu. — Na Boga!
I ja też miałem serce! tak jak pies u proga,
Jak twój pies, do ciebie się przywiązałem panie.
Wiedząc jako śmiech rzadko królom towarzyszy,
Chciałem ażeby zawsze towarzyszył tobie!
Teraz król już mojego głosu nie usłyszysz,
Chyba się będzie jeszcze śmiał na moim grobie,
I dzwonki mu przypomną, dzwony na pogrzebie.

HENRYK.

On umiera! Królowo okropna to zdrada!
Nicku! Nicku! i cóż mam uczynić dla ciebie?
Oczy twoje ściemniały i twarz śmiercią blada.

NICK.

Królu! zawieś na czapce kilka sztuk pieniędzy,
Odeślij ją rodzicom. — Złotem się pocieszą,
Może pocieszą, może poratują w nędzy;
A czapkę w niskiej chacie na ścianie zawieszą,
I będzie im niekiedy przypominać syna! —
Niech matka, przędąc pod nią, tę pieśń przypomina,
Którą niegdyś w kołysce śpiewała nademną.
O Boże! jak mi słabo — jak mi w oczach ciemno! —

HENRYK.

Nicku! ty mię rozczulasz! — Patrz, łzy moje płyną.

NICK.

Królu! nigdy nie byłem łez twoich przyczyną —
Czemuż wesołość moja z życiem obumiera?

HENRYK.

O nie śmiej się! ten uśmiech smutny, wymuszony,
Do głębi mię przenika, serce mi rozdziera —
Umierasz za mnie, wierny, wzgardą nagrodzony.

NICK, wesoło.

Nagrodź mi. Wybierz czterech najuczestniejszych ludzi,
 Niech niosą trumnę błazna, niechaj głupstwo noszą:
 A gdy się każdy dobrze ciężarem utrudzi,
 Tylko ciężarem głupstwa — po kraju ogłoszą
 Że Nick umarły, więcej waży niż Nick żywy! —
 Tyś się uśmiechnął panie! o jakżem szczęśliwy!
 Chciałem cię jeszcze widzieć z uśmiechem na twarzy.
 Przebac mi panie wszystko, zamykam powieki,
 Już cię widzieć nie będę — tak mi się coś marzy —
 Tak słabo —

HENRYK.

Nicku!

NICK.

Żegnam! żegnam cię na wieki!

HENRYK.

Przyjacielu mój! synu!

(NICK, podnosząc głowę, z obłąkaniem.)

Synu! któż mię woła?

Czy to mój ojciec? — Próżno! tak ciemno do koła,
 Już was widzieć nie mogę — muszę was porzucić!
 Ach! zostawcie mi miejsce, przyjdę tam do chaty,
 Odpocznę — — Ja myślałem zawsze do was wrócić —
 O! Matko! Matko moja! daj mi inne szaty,
 Matko! jak mi źle było na świecie! — Oh! —

(Pada u nóg króla i kona.)

HENRYK.

Skonał!

To przyjaciel ostatni! Żono tkliwa, czuła —
 Patrz! to twój senny napój tej zbrodni dokonał —
 Tyś go otruła — myślisz żeś męża otruła?
 Nie, Henryk żyje, tylko został sam na ziemi,
 Sam został — wszystko jedno, jakby zasnął w grobie.
 Gdyś mię pocałowała, piekło było w tobie!
 Dla tego całowałaś ustami zimnemi. —

(Bierze lampę i oświeca nią twarz Nicka.)

Zobaczę go raz jeszcze. — Jak twarz jego zbladła!
 Zsiniałe usta — twarde usił sobie łoże. —

O nieba! iskra z lampy na twarz mu upadła! —
 Szalony! ja ją gaszę — on jej czuć nie może,
 Nie już nie czuje. — Skończył. — Tu rozpacz daremna!
 Trzeba się gdzie uchronić przed zdradą kobiety —
 Ujść przed nią — gdzież uchodzić? w około noc ciemna;
 Może tu koło domu ukryte sztylety?
 Czegóż się nie dopuszczą — na co nie odważą?
 Nie ma większej poczwary na ziemskim przestworzu!

(Po chwili.)

Zostanę tu! obaczę z jaką jutro twarzą,
 Przyjdzie szukać zmarłego męża na tem łożu.
 A twarz jej uda bladość — może ubielona?
 Może jęk jej usłyszę za drzwiami komnaty —
 Pewna jest mojej śmierci, wprzód nim się przekona
 Czy ja umarłem, będzie płakać mojej straty! —
 Wtenczas ją jednym, jednym spojrzeniem zabiję! —

(Stawia lampę u głów Nicka.)

Więc Bóg czuwa nademną — i od śmierci strzeże —
 Postawię przy nim lampę, całunem nakryję,
 Będę nad zmarłym w nocy odmawiał pacierze. —
 Tak samotny przy zmarłym i w noc taką ciemną,
 Sam jeden — — Boże! Boże! zmiłuj się nademną! —

AKT V.

(Teatr wystawia salę gotycką. W głębi wielki hebanowy krucyfix, przed nim zawieszona lampa srebrna. Noc. Przez okna wpada blask księżyca.)

SCENA I.

MARJA, PAŻ.

MARJA.

Paziu! wszak już wybiła godzina północy?
 Pogaś wszystkie pochodnie, zasłoń okna sali,
 Nikt wiedzieć nie powinien że ja czuwam w nocy.

PAŻ, gasi pochodnie i pokazuje na lampę przed krucyfiksem.
Czy i tę lampę zgasić?

MARJA.

Lampa niech się pali. —
Jej blask mię przed obcemi zdradzić nie powinien;
Chyba przed Bogiem zdradzi — ale Boskie oko
I w cieniach nocy widzi winnego.

PAŻ.

Któż winien.

MARJA.

Czy król wypił lekarstwo? zasnąłże głęboko?
W Botwelu powolnego znalazłam mściciela;
Gdzież się on dotąd bawi?

PAŻ.

Widziałem Botwela;
Błąkał się w zacienionej drzewami ustroni,
Koło wiejskiego domu gdzie Henryk przebywa.

MARJA.

Widziałeś! miałże sztylet?

PAŻ.

Żadnej nie miał broni,
Ale twarz jego była blada i straszliwa.

MARJA.

Jaskże nagle czas płynie! jak straszna odmiana!
Teraźniejszość zatrula! przyszłość zatruc może!
Niedawno w kraju Franków, na królewskim dworze,
Kochałam wszystkich, równo od wszystkich kochana;
Z dziecinnym śmiechem nowe widziałam klejnoty,
Z dziecinnym śmiechem ciche słyszałam westchnienie —
Z uśmiechem przed zwierciadłem treflałam włos złoty,
Przeplatając różami trefione pierścienie. —
A dziś —!

PAŻ, przynosząc zwierciadło.

Dzisiaj królowo spojrzuj w to zwierciadło,
Czy mogłaś być piękniejszą?

MARJA.

O! tyś mię obraził,
Pokazując w zwierciadle moją twarz wybladłą!

PAŻ.

To może blask kryształu oczy twoje raził?
 Lecz tu ciemność głęboka, jedna lampa płonie. —
 Czy ci przykre to światło? ja lampę zasłonię —
 Pani! ty mię przerażasz! coraz bardziej błada;
 Czemże ten czarny smutek serca rozweselię?
 Lubisz powieści? oto ciekawa ballada,
 Dotąd krąży, śpiewana między szkockim gminem.
 Pozwól królowo! milczysz? a więc się ośmielię. —
 Posłuchaj! stara matka tak rozmawia z synem.
 (Królowa siedzi zamyślona. Paż dziecińym głosem mówi następującą balladę.)

— «Synu mój, synu! czemu od rana
 Jesteś tak smutny? twarz obłąkana,
 Miecz krwawą splamiony skazą?» —
 — «O Matko! syn twój zabił sokoła,
 Dla tego dzisiaj twarz nie wesola,
 Dla tego we krwi żelazo.» —

— «Synu mój! synu! po twym sokole,
 Nie miałbyś takich zgryzot na czole?
 I miecz nie taki czerwony?» —
 — «O matko! matko! zabiłem konia!
 On mię tak szybko nosił przez błonia,
 Z wiatrami biegał w przegony.» —

— «Synu mój! synu! źleś się obronił —
 Możebyś po twym koniu łyzy ronił,
 Bładości inna przyczyna?» —
 — «O matko! matko! ojca zabiłem!
 Bładością zgryzot, czoło splamiłem,
 I we krwi ojca, miecz syna.» —

— «Synu mój! synu! po takim czynie
 Gdzież się obrócisz? w jakiej krainie
 Schronisz się synu mój miły?» —
 — «O matko! matko! na świata kraniec,
 Pójdę wzgardzony, tułacz wygnaniec,
 Spokojnej szukać mogiły.» —

— «Synu mój! synu! idź w obce strony!

Lecz cóż zostawisz dla dzieci? żony?

Pod obce uchodząc nieba?» —

«O matko! matko! niech na nich spada

W dziedzictwie nędza — pod próg sąsiada

Niech idą, niech żebrzą chleba.» —

— «Synu mój! synu! w czarnej żałobie

Została matka, i cóż po sobie

Zostawi matce zabójca?» —

— «O matko moja! o matko miła!

Przekleństwo tobie! tyś namówiła

Żem zabił ojca!» —

MARJA, obudzona nagle z zamyślenia.

Przekleństwo? co? przekleństwo mnie, żem namówiła

Na zabicie — coś wyrzekł? ojca! męża! króla!

Paziu czyś do mnie mówił? twoich przekleństw siła

Zabije mię! —

PAŻ.

Ballada smutna mię rozczula,

A ciebie przeraziła? — Dziś cierpi królowa.

MARJA.

Paziu mój! kto ci w usta włożył takie słowa?

Ty mię przeklinasz! Kto cię nauczył przeklinać?

Jam dotąd przed tym paziem czarny zamiar kryła,

Nie śmiałam go przerazić, nie śmiałam wspominać!

Przekleństwo! tak, przekleństwo mi, żem namówiła

Na zabicie — to Botwel mówi do mnie! Boże!

To Botwel mówi!

PAŻ.

Pojąć nie mogę przyczyny,

Czem ją mogłem obrazić?

MARJA.

On pojąć nie może?

A właśnie mię przeklinał, wyrzucał mi winy! —

Dziecko, jeszcze tak młode, a tak się ukrywa!

PAŻ.

Królowo! oto Botwel w te progi przybywa.

SCENA II.

MARJA, PAŻ, BOTWEL.

MARJA, wpatrując się w Botwela.

Botwelu! — Cóż to? milczysz —

BOTWEL.

Czas wszystko odkryje,

Czas złym jest powiernikiem. —

MARJA.

Botwelu! — On — żyje? —

BOTWEL.

Żyje? nie wiem królowo — dotąd już mógł skonać. —

MARJA.

Co? więc zaczętej zbrodni nie mogłeś dokonać?

BOTWEL.

Nie widziałem dziś króla. —

MARJA.

Więc żyć będzie? —

BOTWEL.

Zginie. —

Może już zginął? —

MARJA.

Jak to? ty go nie widziałeś? —

BOTWEL.

Aleś ty go widziała. —

MARJA.

Czyż wzrokiem jedynie

Mogłam go zabić? —

BOTWEL.

Możesz chciała?

MARJA.

Nie, ty chciałeś!

Lecz ja zabić nie mogłam wzrokiem. — O, Botwelu!

Jeżeliś na mnie liczył? uchybiłeś celu —

Tak, jedynie obłądy zmazałam się grzechem. —

Ja się do niego śmiałam —

BOTWEL, szyderczo.

Zabiłaś uśmiechem;

Dosyć żeś go zabiła. — Nie badaj królowo,
 Teraz potrzeba zgładzić naszej zbrodni ślady;
 Król głęboko zasypia — lecz pod jego głową
 Siarka z saletrą zdradnie usłały posady.
 Daj mi pochodnię —

MARJA.

Luby! dziś miesiąc na niebie,
 Na co ci światło?

BOTWEL.

Umarł — pogrzebać go trzeba —
 W gruzach własnego domu Henryka pogrzebie —

MARJA.

Lecz on żyje? —

BOTWEL.

Więc żywy uleci do nieba. —
 Pod jego domem mina burząca spoczywa,
 I czego iskry. — Ognia! ognia!

MARJA.

Nieszczęśliwa!

Cóż uczynię?

BOTWEL, z wzrastającą gwałtownością.

Daj ognia! —

MARJA.

Ciebie gruz przywali! —

BOTWEL.

Ognia! —

MARJA.

Zgasły pochodnie. —

BOTWEL, pokazując na lampę.

Tam lampa się pali,

Posłuż mi. —

MARJA.

Tam moja domowa kaplica. —

BOTWEL.

Paziu! daj mi tę lampę. —

MARJA.

To lampa z ołtarza!

BOTWEL.

Nieraz kościelna lampa pogrzebom przyświeca,
Wszakże idę na smętarz, grzebać wśród smętarza. —

MARJA.

Czyliż nigdy ucieczki nie szukałeś w Panu?
Patrz, przy świetle tej lampy błyszczy krzyż ze spiżu,
Zdaje mi się że zbladło to czoło z hebanu!
On widzi nasze myśli, słyszy każde słowo —
Boże! —

(Kłęka przed ołtarzem.)

BOTWEL.

O śmierć Henryka modlisz się królowo?
Wysłuchane modlitwy. — Może w tej godzinie
Henryk kona. —

MARJA, zrywając się z przed ołtarza.

Co mówisz? Henryk teraz kona?

A ja się modłę? —

BOTWEL, zdejmując lampę.

Śpiesz! niech ślad zbrodni zginie.

MARJA.

O Botwelu! Botwelu! to lampa święcona. —

BOTWEL.

Wróci, wróci przed ołtarz, choć ją we krwi zmażem.

MARJA.

Lampa przed ołtarz wróci we krwi?

BOTWEL.

Marna trwoga,
Jeżeli po zbrodni staniesz przed obliczem Boga,
Lampa po zbrodni może świecić przed ołtarzem —
Lampa to tylko marne rąk naszych narzędzie,
I mniej Boga rozgniewa, bo mniej winną będzie.

MARJA.

O Boże! cóż uczynię w udręczeniu srogiem?

BOTWEL.

Czytaj książkę modlitwy.

MARJA.

Tak ciemno w tej sali! — —

BOTWEL, z szyderstwem.

Więc udawaj że czytasz, udawaj przed Bogiem!

Jeżeli Bóg nie pochwali, człowiek cię pochwali.

Nie jeden powie: patrzcie! ma świętość anioła —

Ta kobieta przed śmiercią już świętą zostanie,

Promień światłości wkrótce wystrzeli z jej czoła;

Patrzcie! ona się modli za męża skonanie — —

O Marjo! porzuć trwogę i płochę przesady,

Jeżeli Bóg ma sądzić? już zapadły sądy!

Bądź spokojną! ta lampa zdjęta z przed ołtarzy,

Przeważonej już szali dalej nie przeważy.

Żegnam cię! —

MARJA.

Stój Botwelu!

BOTWEL.

Bądź zdrowa!

MARJA.

Zaklinam!

Stój — już Darnleja wszelkich uraz zapominam.

BOTWEL.

Lecz wahać się nie możesz.

(Odchodzi.)

SCENA III.

MARJA, PAŻ.

MARJA.

Poszedł. — Nie wstrzymałam. —

Czuję że mogłam wstrzymać. — Czarne moje serce!

Mogłam go jednem słowem wstrzymać — i nie chciałam.

Niech teraz dla nas ślubne rozścielą kobierce. —

O nie! nie dla mnie szczęście! — Paziu powiedz szczerze,

Ja okropną być muszę? —

PAŻ.

Pani! jesteś błada!

MARJA.

Klęknij tam, przed ołtarzem, mów za mnie pacierze. —

(Paż odchodzi pod ołtarz, lecz niespokojny patrzy na królowę.)

Na moje oczy jakiś sen trudzący spada —

Marzę i czuвам — barwę przybrały marzenia —

Tron i światel tysiące — ja siedzę na tronie —

Teraz, wszystko ciemnieje — w purpurze, w koronie,

Idę — O Boże! Boże! to mury więzienia —

Któż mię wtrącił w te mury, żywą zamknął w grobie?

W około jeszcze wiernych przyjaciół drużyna,

Dla czegoż płaczą? czemu ubrani w żałobie?

I ksiądz nademną czarne grzechy przypomina

Jakież grzechy? — dzisiejszą noc — dzisiejsze zbrodnie! —

Teraz — wszyscy odeszli, kapłan się oddala,

Wchodzę do jakiejś sali? to tronowa sala!

Posepnym blaskiem płoną tysiączne pochodnie,

Na moim tronie obca zasiadła kobieta. —

Boże! sala tronowa, a kirem wybita?

Zamiast kwiatów, ubrana w żałobne cyprysy —

Klękać mi każą — po co? — modlić się do Boga?

Ach!!!

PAŻ, przybliżając się.

Pani! w tych marzeniach widzę główne rysy,
Przepowiedzeń dziwacznych twego Astrologa.

MARJA.

Lecz czemuż w tej godzinie stają mi na myśli?

Umysł je przybrał w jasne obrazu kolory,

Postacie ich odbija, wszystkie twarze kreśli. —

PAŻ.

Pani moja! masz umysł obłąkany, chory.

MARJA.

Czy nic nie słyszysz Paziu?

PAŻ.

W koło głucho cisze,

Tylko echo pałacu słowom odpowiada,

Tylko wiatr gałęziami modrzewiów kołysze,

I przez gotyckie okna błądy księżyc wpada.

MARJA.

Co? księżyc świeci? jaka biała przy księżycu
 Musi być twarz Botwela? Na ponurem licu
 Głęboki zamyśl zbrodni uśpiony spoczywa;
 Za nim księżyc na trawie długie kładnie cienie;
 Błąka się — w dłoniach lampy ognisko ukrywa,
 Aby jej nie zgasiło silne wiatru tchnienie. —
 O, tak! bogdajby zgasła! wróci z twarzą ciemną,
 Lecz przynajmniej nie ujrzę zbrodni na tej twarzy.
 Nie, nie, lampa nie zgaśnie, sam wiatr ją rozżarzy.
 Henryk zginie! — O Boże! zmiłuj się nademną!

(Po chwili, z wzrastającym przerażeniem.)

To Rizzia! Rizzia słowa! Czyż ta noc wróciła? —
 Patrzcie — on się w te szaty królewskie otula. —
 Nigdy krwi nie widziałam! — szat mi nie splamiła —
 Stój Duglasie! patrz paziu! patrz tam za mnie, w cieniu,
 Czy tam kto stoi za mną? —

PAŻ.

Kto? —

MARJA.

Nie ma tam króla? —

PAŻ.

To mara utworzona w twojem przywidzeniu. —

MARJA.

Słyszysz? powtarza: — jestem! jestem tu, przy tobie! —
 Jest przy mnie? tu w tej sali, jeszcze w takiej porze?
 Lękam się spojrzeć za mnie — powinien spać w grobie,
 A on jest teraz przy mnie! nie, to być nie może!
 Lecz jeszcze czas! O paziu! on żyje! król żyje!
 Śpiesz! zatrzymaj Botwela, śpiesz mój paziu drogi!
 O paziu! ty zadrżałeś? z radości, czy z trwogi?
 Śpiesz! śpiesz! ja nieszczęśliwa! on króla zabije. —
 Na miłość Boga śpiesz się. —

PAŻ.

Botwel nie posłucha.

MARJA.

Prawda. — Nieś mu odemnie, nieś ten pierścień złoty —

Wszak jeszcze czas! czas jeszcze! Wszędy cichość głucha —
Nie, król umrzeć nie może, nie zniosę zgryzoty.

PAŻ.

Śpieszę — —

(Biegnie do drzwi, lecz nagle chwieje się i drży u progu.)

MARJA.

O Boże! Boże! śpiesz mój paziu miły
Czegóż czekasz? —

PAŻ.

Królowo moja! nie mam siły,
Tak mi słabo. —

MARJA.

Śpiesz paziu! —

PAŻ.

Już idę królowo!

Już idę! idę! — Oh! oh! —

(Pada.)

MARJA.

Paziu! drogie dziecię!

Paziu! przemów mój drogi! przemów jedno słowo!
I miałżeby on umrzeć, umrzeć w wieku kwiecie?
Nie — on umrzeć nie może. —

PAŻ, słabym głosem.

Te bole przemina —

Senny jestem. — Królowo kochasz mię?

MARJA.

Jak syna!

Paziu! obudź się drogi! weź tę kroplę wina,
Może ciebie orzeźwi?

PAŻ, drżącym głosem.

Już piłem dziś wino —

Marjo moja! — oh! oh! oh! —

(Kona.)

MARJA.

Paziu moje życie!

Paziu mój! wołam, budzę, a on się nie budzi?

Boże! za moje zbrodnie skaraleś to dziecię! :

Powiew zbrodni koło mnie już zabija ludzi,

A mnie zabić nie może, jak niegodną kary! —

(Kłęka na stopniach przed krucyfiksem.)

Boże! błagam cię! przyjmij mię na twoje łono,
 Przywykłam spokojności szukać na dnie wiary.
 Na cóżeś moje czoło uwieńczył koroną?
 Na cóż mię szata ziemskiej wielkości okryła?
 Blask marzenia już zniknął gdym tę noc przeżyła!
 (Słychać wybuch miny.)

Ach!!!

(Po chwili zrywa się i biegnie do okna.)

Widzę! widzę! kłęby dymu i płomieni,
 A tam, w czarnych obłokach, jakiś duch straszliwy,
 Ulatuje do nieba, chmurzy się i mieni;
 To Henryk! Henryk! ja go poznałam — nieżywy! —
 (Odwraca się od okna, i znów cofa się z przestachem.)
 I tu znów Henryk! Henryk przedemną w tej sali!
 Widziałam go przed chwilą, był blady i chory,
 A teraz takie jasne na licu kolory,
 Jakby żył jeszcze — oko płomieniem się pali —
 Precz! precz odemnie! szukasz ślubnego pierścienia?
 Oto go masz! już odejdz — nie jestem twą żoną.
 Ach, Henryku! Henryku! nie masz ty sumienia!
 Dręczyć tak duszę, tylu mękami dręczoną! —
 Ach zlituj się nademną — jestem nieszczęśliwa!
 Chcesz może widzieć moje udręczenia, nędzę,
 Patrz na twarz moją — z oczu strumień łez nie spływa;
 Lecz ja cierpię, przysięgam! nie wierzysz przysiędze?
 Wszak jeszcze słowom moim ufał przed godziną!

SCENA IV.

MARJA, BOTWEL.

BOTWEL, wchodzi ze zgaszoną lampą.

O Marjo! uchodź! uchodź!

MARJA.

Patrz! patrz! tam — przedemną.

BOTWEL.

Tak, widzę, na podłodze krwi strumienie płyną. —
 Krew Rizzia.

MARJA.

Nie, nie widzę krwi, w sali tak ciemno!
 Ale w ciemnościach widzę postać martwą, bladą
 Zdradę króla, czarniejszą zmazaliśmy zdradą!
 Musiałam mu przebaczyć, on mi nie przebaczy? —
 Patrz — tam!

BOTWEL.

To paż nieżywy.

MARJA.

Boże! paż nieżywy! —

Botwelu co to znaczy? —

BOTWEL, z dzikim śmiechem.

Cha! cha! co to znaczy?

Wiedział o naszej zbrodni — umarł —

MARJA.

Nieszczęśliwy

O! Botwelu! Botwelu! nie jesteś aniołem!

Inny stworzyłam obraz niegdyś w mojem sercu —

Precz! precz odemnie zbójco z tem wybladłem czołem!

BOTWEL.

Chodź ze mną!

MARJA.

Gdzie?

BOTWEL.

Odpoczniesz na ślubnym kobiercu —

Teraz idźmy się błakać — słyszysz te okrzyki?

To nas lud ściga, mściwy — wkrótce motłoch dziki,

Uzbrojony, napelni królewskie pokoje.

O Marjo! uchodź! uchodź!

MARJA, odstępując od niego z przerażeniem.

Ja się ciebie boję!

BOTWEL.

Serca zbrodnią skalane, zbrodni się nie boją,

Słuchaj! otrulaś króla, jesteś moja —

MARJA.

Twoją? —

O! nie, Botwelu! ty mię skłonisz do szaleństwa.

BOTWEL.

Straszne okrzyki ludu w tę noc zbrodni ciemną!

MARJA.

Cóż w tych okrzykach słyszysz? co słyszysz?

BOTWEL.

Przekleństwa!

Chodź Marjo! uciekajmy! chodź ze mną! chodź ze mną!

Przed rokiem ogłosiłem drukiem w Paryżu dwa pierwsze tomy moich poezji; niezachęcony pochwałami, niezabity dotąd krytyką, rzucam tom trzeci w tę otchłań milczącą, która pierwsze połknęła. Minął ów czas błogi, chociaż mało korzystny dla literatury naszej, kiedy umieszczona w Dzienniku Warszawskim oda, duma, lub ballada, nadawała imię poecie. Trzydziestu prenumeratorów dziennika (albowiem tylu ich było) rzucało nazwisko nowe na woskowane posadzki salonów, i romantyczny poeta brał chrzest, znajome nadający imię; nadto pisma czasowe, dziennie, zamglonemi niemczyzną okresami, rzucały z paszcz sfinxowych zagadkę sławy autorskiej — szczęśliwy kto ją zrozumiał, szczęśliwszy kto w pokorze ducha niezrozumianej wierzył. Dziś dziennikarze owi, twórcy literackich królów, milczą. Gazeta Warszawska umieściła wyjątkami, w sześciu numerach, całego prawie Żmiję, nie czyniąc żadnych uwag nad tak pociętym Kozaków wodzem.

Nie spodziewam się aby Lambro mógł się kiedy podobnież ukazać na szarej bibule dzienników, bo Lambro jest to człowiek będący obrazem naszego wieku, bezskutecznych jego usiłowań; jest to wcielone szyderstwo losu, a życie jego jest podobne do życia wielu teraz mrących ludzi, o których przyjaciele piszą czem być mogli, o których nieznajomi mówią że nie byli niczem.

Lambro stanął niegdyś na czele Greków, namówionych przez Katarzynę do powstania, i zdradzony przez północną Carowę; po wielu bezskutecznych usiłowaniach, morskim został korsarzem. Ryga, drugi bohater powieści, autor sławnego hymnu powstańców, wydany przez Austrię w ręce Turków, niesławną śmierć znalazł, powieszony na maszcie fregaty.

Pisząc niniejszą przemowę, postanowiłem zamknąć się w jak-najściślejszych obrębach potrzeby; dla tego nie będę tu bronił układu, ani żywotnej myśli poematu. Świat myśli tak jest obszerny, że można w nim wyciągać nieodparte granicami ra-

miona. Szanuję szkołę religijną, ową wieczerzę pańską polskich poetów, do której zasiedli w Paryżu — sądzę bowiem że wypływa z przekonania, że nie jest sztucznie natchniętą słowami Fryderyka Szlegla, który w katolickiej religji źródło jedyne poezji upatruje. Oddaliłem się wszelako od idących tą drogą poetów; nie wierzę bowiem aby szkoła De-la-Menistów i natchnięta przez nią poezja była obrazem wieku. Dant pisał o piekle kiedy ludzie w piekło wierzyli, Wolter zgadzał się z wiekiem materializmu, Byron rozpaczający o wątpliwą przyszłość poety, zaczął wiek dziewiętnasty. Ci trzej ludzie wyobrażają epoki w których żyli. Oblicza wieków odbite są na ich umysłowej twarzy; gdyby z myśli większej liczby ludzi, w owych czasach żyjących, utworzyć można było jeden posąg myśli, ten posąg byłby Dantem, Wolterem, Byronem. Wyżej nad nich wzniosł się Szekspir, bo on nie własne serce, nie myśli swojego czasu, lecz serca i myśli ludzkie, niezależne od epoki przesądów, malował i stwarzał władzą do boskiej podobną. Na niższym szczeblu stoją poeci ściśle krajowemi zamknięci obrębami, jak Gete, Kalderon, Walter Scot; stoją jednak wysoko i mocno, bo ich podstawami są narody. Szukajmy więc różnemi drogami treściwej myśli żywotnej naszego kraju; szczęśliwy kto w ogniwie duszy własnej najwięcej promieni połączy i odbije. Lecz myli się ten, kto sądzi że narodowość poezji zależy na opisywaniu narodowych wypadków: wypadki są tylko szatą, ciałem, pod którem trzeba szukać duszy narodowej lub duszy świata.

Znajdziemy poezję narodową, albowiem dziś dwory królów nie łamią i nie psują rozwijających się talentów, ani każą im sztucznie pod szklami pałacowemi rozkwitać. Dziś poeci są minstrelami narodów, i podobni dawnym minstrelom, śpiewają miljonowo-głowemu panu gdy usypia; budzą go pieśnią, i przy śmiertelnem łożu narodów przepowiadają zmartwychwstanie. Jeżeli literatura nasza wzrośnie na wygnaniu i przyczyni się do uświetnienia obecnej epoki, to kiedyś o tem będą rozpowiadać ze łzami wnuki nasze, i płynącego teraz czasu, nie nazwą już wiekiem Stanisława Augusta, lecz wiekiem nieszczęścia narodu. Więc przebaczcie mi Polacy że się dobijam o jedno z niższych miejsc, we wspomnieniach szczęśliwej kiedyś przeszłości.

Pisałem w Genewie, dnia 17. Kwietnia 1833 roku.

LAMBRO,
POWSTANIEC GRECKI.
POWIEŚĆ POETYCZNA.

PIEŚŃ PIERWSZA.

..... Should we again provoke
Our stronger, some worse way his wrath may find
To our destruction; if there be in hell;
Fear to be worse destroy'd.....
MILTON.

I.

Falo błękitna, kołysz łódkę Greka,
Niech mu po morzu ściele księżyc złoty
Ścieżki obłędne, niech przed nim ucieka,
Gdy po tej drodze puści żagłów loty.
Kołysz go falo i łódkę Majnoty
W samotną morza obląkaj krainę,
I tam mu powiedz: ja nosiłam floty
Na moich skrzydłach, aż pod Salaminę;
Płynełam taką, jaką dzisiaj płynę.

W Archipelagu zanieś go ostrowy.
Tam góry chmurą owiane błękitną,
Na górach kolumn potrzaskane głowy;
Nad niemi wiecznie kwitnie laur różowy,
Pomarańczowe drzewa wiecznie kwitną,

I śniegiem kwiatów zasypują gruzy.
 A ludzie — cierpią że umrzeć nie śmieli;
 Twarz ich boleści rysem naznaczona.
 Gdyby tu błysnął dawny wzrok Meduzy,
 Gdyby ci ludzie jak są skamienieli,
 Ileżby nowych posągów przybyło,
 Łamanych wiecznym bolem Laokona!
 Tu nad pomników i ludzi mogiłą,
 Księżyc posępny płynie co wieczora.
 Gdy góry światłem błękitnem przeniknął,
 Mgły zasłonami doliny ośnieżył,
 Szuka posągów, które widział wczora,
 Do których twarzy wiekami przywyknał;
 Blady — jak starzec co na ziemi przeżył
 Zagasłe, mrące co dnia dzieci koło,
 Gdy wszyscy padną, gdy ostatni padnie;
 Tak ma wiekami wyniszczone czoło,
 Że się nie chmurzy żalem, ani bładnie,
 I nikt cierpienia z twarzy nie odgadnie.

II.

Archipelagu wysp wieniec różowy,
 Lekkich kaików przierzynają wiosła.
 Jak dawne Nimfy tak dziś te ostrowy,
 Przed tureckimi uciekając gwałty,
 Odmienne pierwszym, biorą na się kształty.
 Jak niegdyś Dafne w liść lauru porosła,
 Tak dzisiaj Hydra zielona laurami. —
 Ipsara błyszczy, stroma skalnym brzegiem,
 Podobna córce gładzowej Tantala;
 Gdy pod nią śnieżna rozbija się fala,
 Wiecznie od czoła wieńczonego śniegiem,
 Kryształowemi uplakana łzami.

Ipsarskie miasto, jak dłutem snycerza
 Ze skał ciemnego łona wydobyte,

Barwy ma szare od tła nieodbite,
 I lasem masztów w połowie schowane.
 Gdzieniegdzie lekka minaretów wieża,
 Niesie pod niebo szczyty ołowiane.
 Tam rzędy okien, od łuny zachodu
 Jak mnogie lampy rozpalone, drżące,
 Co chwila bledsze, co chwila gasnące,
 Już zaszły mrokiem — ale szczyty grodu
 Długo złociste miały słońcem dachy.

Ostatnie światło z ciemnością się starło —
 Chociaż to miasto na pół obumarło,
 Gwar słyhać w mieście — bo bezludne gmachy
 Głośniejszem odgłos odbijają echem;
 Gwar smutny — rzadko pomieszany śmiechem,
 I tajemniczy jako te odgłosy,
 Które wiatr z martwej muszli wydobywa.
 W głębiach haremów lśniące perlą rosy,
 Palą się róże — smutno słowik śpiewa;
 Przez szczyty murów na ciche ulice,
 Wonnych akacji zwieszają się kwiaty;
 Czasem pochodnia błysnie z poza kraty,
 Księżyc turbanu olśni bawełnicę.
 To Turek dąży w znajomą gospodę,
 Co inne gmachy przenosi wytworem;
 Gdzie wielkie kotły wracą źródeł wodę
 Leją w kanały złotym dziwotworem;
 Ta z kłębem pary wytryska w fontanny,
 I wieczną walkę z zimną siostrą toczy;
 Opryska warem, parą ją omroczy,
 Wprzód nim zezwoli iść do wspólnej wanny.
 Tam woń arabskich napojony duchem,
 Przechodzi Turek w marmurowe sale;
 Jedna za drugą wiążą się łańcuchem,
 Kłamane dalej w zwierciadeł kryształach.
 Tam Grek usługny obiega wokoło,
 Dla muzułmanów nie szczędzi ukłonu,
 Do ziemi chyląc osiwiiałe czoło,

Nalewa mokrą w łono z róż Japonu;
 Potem przed Grekiem stawia czarę z gliny,
 Chowając aspra, do czary nalewa
 Napój z makowej tłoczony rośliny,
 Co śmierć sprowadza — jak cień tego drzewa,
 Które usypia snem głębokim zgonu.
 Mrok spada w dymu Stambulskiego chmurze —
 Gdzie niegdzie tylko z Etrusków wazonu,
 Widać w połowie wychyloną różę;
 Gdzieniedzie błyszczą sztyletów główce — —
 Tam nieruchome wyznalców turbany,
 Porosły kołem jak łąk tulipany:
 Nad turbanami palą się księżyce.

III.

Wchodzi do sali młody Ipsarjota —
 Jak u śpiewaka twarz biała i smutna;
 I na ramieniu miał kapotę z płótna
 Nie gęsto niemi przetykaną złotą.
 Widać z gitary — znać po blasku oka,
 Że z pieśnią siola i grody przebiega —
 Wnet go tłum Greków do koła oblega;
 Wypuścił bursztyn wierny syn proroka.
 Greki i Turki zarówno ciekawi
 Jaki głos śpiewak, jaki lutnia wyda?
 Czy ich upiorów powieścią zabawi?
 Czy brylantową bajką Al-Raszyda? —
 Śpiewak po sali wiódł wzrok obłąkany,
 Jak gdyby liczył tureckie turbany;
 A potem spojrzał w mnogie Greków twarze
 I gdy w nie patrzył — znalazł dźwięk w gitarze.

POWIEŚĆ GREKA.

IV.

Małe tu znajdę dla pieśni pokupy,
 Miłość ją kraju i rozpacz uprzedły.
 Tu żółkłe twarze — może serca zwiedły?
 Miałem tu znaleźć ludzi — widzę trupy.
 Niezdolni z życia wybić się skonaniem,
 Wyście odważni — napojem otrucia,
 Wyście przywykli zabijać pół czucia,
 I zmartwychwstawać lecz półzmartwychwstaniem,
 Wiecznie okuci w żelazne ogniwa.
 Pieśń często z kajdan iskry wydobywa
 Więc będę śpiewał i dążył do kresu;
 Ożywię ogień jeżeli jest w iskierce.
 Tak Egipcjanin w liście z Aloesu,
 Obwija zwiedłe umarłego serce;
 Na liściu pisze zmartwychwstania słowa;
 Chociaż w tym liściu serce nie ożyje,
 Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
 W proch nie rozsypie. — Godzina wybije,
 Kiedy myśl słowa tajemne odgadnie,
 Wtenczas odpowiedź będzie w sercu — na dnie.

Myśl syna pieśni ciemna, niezgłębiona,
 Jest jako fala umarłego morza;
 Co jej powierzysz, wnet wyrzuca z łona,
 Lecz barwą ziemnych głębi przyodzieje,
 Da nieśmiertelność kamiennego łoża —
 Kwiat w niej, nie tracąc barwy, kamienieje.
 Lecz jeżeli wieszczek nie znajdzie wyrazów,
 W głąb jego serca słuchacz nie dosięga;
 Często podobny sam do zimnych głązów,
 Choć pieśń ognista w myśli się wylega;

Często go słuchacz odbiegnie wesół —
 A pieśń co ledwo dopłynię polowy,
 Jak mór z zamarłych owoc rubinowy,
 Bezpłodne w sobie zamyka popioły.

V.

Niegdyś nam północ miecz podała w dłonie,
 A potem chytra, bezsilnych odbiegła.
 Widziałem walkę — widziałem to błonie
 Gdzie siła naszych rycerzy poległa.
 Ja byłem dzieckiem i patrzałem z chaty —
 Powietrze chmura proporców krajała,
 W tureckich szykach lśnił księżyc bogaty,
 Nad nim dym srebrny wyrzucały działa.
 Stamtąd huk leciał, ztamtąd ziemia grzmiała,
 I grad pocisków wyrzucały spiże;
 A stąd, zachodnim złożone promieniem
 W ten dym ognisty szły błękitne krzyże,
 Z upornem, z głuchem rozpaczy milczeniem.
 Potem je dymy spiżowe pożarły —
 Mignęły w ogniu złote — i pobladły,
 Przed nocą wszystkie szeregi wymarły,
 I wszystkie krzyże w szeregach upadły.

VI.

Tak się zwycięstwa przeważyły szale —
 Lambra tureckie ominęły gromy.
 Wdarł się na skałę — całą noc na skałę,
 Patrzył na groby, na groby bez końca!
 I tak nazajutrz jeszcze, nieruchomy
 Błyszczał w promieniach wschodzącego słońca —
 A ztamtąd poszedł błakać się po świecie.
 Lecz nie samotny — znalazł się ktoś drugi,
 Co przy nim giermka podjął się usługi,
 Kto to był taki? — może odgadniecie.

Po długich latach, z krainy wygnania
 Ujrzał jak Grecy z wiatrem na wyścigi
 Nieśli po górach hasło zmartwychwstania:
 Pieśń grzmiała w dzwonach — była to pieśń Rygi.
 Ale niedługo Grek o szczęściu marzy,
 Kolejno w siołach milkła pieśń i dzwony —
 Gdzieniegdzie snuł się Kleft — lecz zakrwawiony,
 I z krwią miał rozpacz przyschniętą do twarzy.
 Płacz, narzekanie, wstrząsa Greków chaty.
 Echami skał się rozpląkały łona!
 Jutro! wołają na maszcie fregaty,
 Haniebną śmiercią młody Ryga skona.

VII.

Na dzikich brzegach skalistej Ipsary
 Wznosi się klasztor wysoko nad morze;
 Krzyż jego pierwszy wita ranne zorze,
 Ostatnie słońcem złocą się filary.
 Koło klasztoru bez czoła kolumny
 Stoją, jak palmy pozbawione liści.
 Tam mnich pracuje koło własnej trumny,
 Tam od tureckiej uciekł nienawiści —
 Ów dzwon, co dzisiaj ogłasza pacierze,
 Nieraz do broni powoła majnotę;
 Nieraz od Turków okrążone wieże,
 Czoła dział srebrnym uwieńczają dymem —
 Z tych okien błyszczą spiżu paszcze złote,
 I mnich pokorny staje się olbrzymem.
 Nieraz rozpaczy naglony potrzebą,
 Rozwała miną poświęcone ściany;
 Rzekłbyś iż mnich ten chce zdobywać niebo
 Skał odłamami, jak dawne Tytany!

Na niższych skałach smętarz muzułmanów,
 Czarowny, cichy, pełny drzew i kwiatów,
 I dłutowanych w marmurze turbanów,

Jak odłam z rajskich oderwany światów
 I przesadzony na skalne urwiska.
 Tam byłem wczoraj — Słońce zachodziło —
 Za marmurowe skryty grobowiska.
 Widziałem dwoje ludzi nad mogiłą:
 Widziałem klefta i Greczynkę młodą.
 Ona — do Peri podobna urodą,
 Jak była piękną, wyraz nie określi!
 Gdy długo, długo patrzałem w jej lica,
 Kiedy się potem obudziłem z myśli,
 Tak byłem tęskny — rozmarzony — smutny,
 Jak gdybym długo patrzył w twarz księżycy.
 Snać że jej życie był to czas pokutny,
 Za całą przeszłość szczęścia pogrzebaną;
 Miała na twarzy smutek — lecz nie żalność,
 Barwę koralu łzą nie opłukaną;
 Rumieniec tonął w bezpromienną białość —
 I w białych szatach stała między drzewa:
 W pół-oświecona blaskami zachodu,
 Podobna srebrnej fontannie ogrodu,
 Z której wiatr mgliste warkocze odwiewa.

Kleft, znać z ubioru, był kiedyś rycerzem,
 I wierne rysom członków nosił szaty:
 Piersi jedwabnym zamknięte pancerzem,
 Co się od słońca w różne barwy łamie,
 Wypukło w złote wyszywany kwiaty.
 I miał kapotę rzuconą na ramię,
 Białą jak śniegi — i pas złotolity;
 Nogę złożonym wiązaną rzemieniem;
 Małą misiurkę, której aksamity
 Pod kruczych włosów tonęły pierścieniem —
 Na niej z misternie ułożonej zwici,
 Węzeł w złociste rozpadał się nici.

Choć stłumionemi przemawiali słowa,
 Mogłem dosłyszeć ułamek rozmowy.

VIII.

«Lambro! ty w słowach dajesz mi obłudę —
 Nie odpowiadasz szczerze, gdy zapytam;
 Na twojem czole z przerażeniem czytam,
 Ostatni stopień wszystkich nieszczęść — nudę.
 Blask twego oka nie odbłyska z duszy.
 Serce jak brylant, chociaż się rozkruszy,
 W każdym odłamie iskra się zawiesza,
 A każda czystem łśni tęczy promieniem:
 Lecz na twem czole jakiś szatan mięsza
 Rozpacz ze śmiechem, śmiech błady z cierpieniem — —
 Ty jesteś z ludzi, których serce żywi
 Łzami — i gorzką trucizną laurową.
 O! bo też prawda że my nieszczęśliwi —
 I czasem czuję że pociechy słowo
 Ma dźwięk szyderczy i na serce spada!
 Gdy myślą wracam w przeszłości krainy,
 Widzę jak przy nas stojąc, rozpacz błada
 Czekala szczęściem niepełnej godziny,
 Aby się poznać z nami — i być z nami —
 Czekala długo — przyszła choć nieskora;
 Ze wspólnych myśli, jednego wieczora,
 Myśmy się w stronę rozbiegli myślami.
 I dziś mi nie chcesz odkryć serca głębi,
 Milczysz — —?»

— «Dziś nie chcę zabijać słowami.

Bo każde słowo do serca utonie,
 I tak jak sztylet dreszczem je oziębi;
 A potem — długiem rozpamiętywaniem,
 Jak żar piekielny rozpali się w łonie,
 I potem, potem — cała przyszłość twoja
 Stanie się długiem i ciężkiem konaniem.
 O! patrzaj na mnie — ta złocista zbroja
 Dzikiego klefta nigdy nie stroiła,
 Zmieniłem szaty — tyś serce zmieniła.

Winnaś wyczytać na pobladłym czole
 Myśli ukryte i obecne bole,
 I wszystkie zbrodnie — a żądasz wyrazów!
 Tak jak wędrowiec wśród grobowych głązów,
 Nie umiesz czytać napisów smętarza?
 Więc poznaj Lambra, jak ludzie poznali:
 Jam dzisiaj królem błękitnawej fali —
 Mszczę się. — Dziś czarna bandera korsarza
 Rzuca cień śmierci, gdzie dosięgną działa.
 I zapomniałem zetrzeć z mego czoła
 Cienia, co dzisiaj rzuciła nań rano;
 Otarłem tylko szablę krwią skalaną.
 Kłócę niebaczną spokojność anioła —
 Na pół przeklęty, na pół zapomniany,
 Rozpalam ogień miłosnej pochodni,
 I wiązę serca dwoma talizmany:
 Wielkością nieszczęść — i wielkością zbrodni.
 Mój obraz kształty przybierze olbrzymie
 W głębi twej duszy — jak anioł upadły,
 We krwi skalany — w dział omglony dymie,
 W blasku brylantów i złota wybladły.
 O! bo ja miałem wielką niegdyś duszę!
 Lecz gdy ją znudził smutek jednobrzmienny,
 Idę wśród ludzi jak przez las jesienny,
 Kędy pod stopą żółkłe liście kruszę,
 I gardzę liściem co ścieżki pozłaca
 Barwą uwiedłą — lecz szum ich zasmuca!
 Wolę niech moją łodzią fala rzuca,
 Niechaj mi wzgardą za wzgardę odpłaca.
 Morze — to wielka mogiła stworzenia:
 Dumającemu na niej, myśli płyną —
 Nieraz na fali umieram z pragnienia,
 Jak obciążony Tantalową winą,
 I mogę niebo przeklinać — i morze!
 Usłałem sobie rozwahane łoże,
 Co mi piastunki daje kołysanie;
 Bo spać nie mogłem na ziemi — a teraz
 Często mię zorza śpiącego zastanie,

I nie obudzi skrawem światłem — — Nieraz
 Działo mi daje ranne powitanie,
 Zbudzić nie może — często sen przedłużę,
 Aby w tem życiu żyć jak najmniej — nie snem.
 Dziś nieszczęściami są mi niebios burze,
 Lina zerwana ujęciem niewczesnem!
 Mam jeszcze czucie — bo dziś mię rozczuła,
 I lzy mam w oku, gdy rozryje kula
 Maszt, z którym długie przebiegałem drogi,
 Wycięty z rosłej Epiru topoli,
 Co mi rodzinne wspominał rozłogi:
 Lecz gdy mrą majtki, wtenczas poniewoli
 Na moich ustach błyszczy uśmiech dziki,
 Jak gdybym szydził, że niezręczni byli
 Śmierci uniknąć — a ci ludzie żyli
 Ze mną, przez długie lata trosk, cierpienia:
 Jak krwi tygrysy — druchy — niewolniki —
 Ostatnia miłość, miłość przywyknienia,
 Skamieniałego serca nie poruszy.
 Ze złotem stawię człowieka na szale,
 A potem złoto rzucam w morskie fale,
 Jakby w tem była jaka wielkość duszy.» —

XI.

Słucha dziewica — jej rumieniec mgławcy
 Zrazu rozkwitał i blasku nabywał —
 Gdy zaczął mówić, to uśmiech ciekawy
 Twarz jej oświecił — we lzy się rozplýwał,
 I znów powracał tak w odcieniach zmienny,
 Że słów kochanka wydawał się echem:
 A gdy ten uśmiech gasiła zgryzota,
 Gdy obumierał zadumaniem senny,
 Podobną była do niewiasty Lota
 W chwili, gdy tonie ostatnim uśmiechem,
 W nieodgadnioną boleść, w sen kamienny,
 I jeszcze słucha w przeszłość odwrócona.

I tak posągów brała kształt nieżywy,
 Tak opuściła bezwładnie ramiona;
 Że z ramion szata płynąca do ziemi,
 Jakby w kamienne łamała się spływy.

I Lambro bladnął i usta drżącemi
 Mówił: «O luba wybac, że te słowa
 Za nadto czarną malowały duszę;
 Przywykłem kruszyć serca — a gdy kruszę,
 Patrzyć jak cierpią i śmiać się szalenie.
 Lecz twoja boleść, bladość marmurowa,
 To już nad moje siły, nad sumienie!
 Czy wierzysz luba! ja się wyznać wstydzę,
 Ja, korsarz krwawy! ja, ludzi morderca!
 Że się zabójstwem i zbrodniami brzydzę,
 Że mam myśl jedną, wielką, w głębi serca,
 Co kiedyś zbawi nawet pamięć moją.
 O luba! teraz niech się ludzie boją,
 Niech się przed czarnym chronią pawilonem;
 Znajdę ich — zbudzę — jeżeli nagłym zgonem
 Bóg wielkiej we mnie myśli nie rozłamie.
 Na mojem czole widzisz dumy znamię —
 To jest przecucie sławy — tam — tam w dali
 Widzę okropną przyszłość — ale sławną:
 Precz te obrazy. — Luba! jakże dawno
 Z tobą po obcych błędziliśmy światach?
 Jakżeśmy dawno w przecuciach szukali,
 I w oberwanych po liściu róż kwiatkach
 Naszej przyszłości? Z tobą moje losy
 I z tobą dotąd wiąże myśli moje.
 Często przed ludźmi w kajucie ukryty,
 Jak dziecię trefię przed zwierciadłem włosy,
 Szaty poprawiam — brylantami stroję,
 Bo widzę jasno — widzę w twych marzeniach,
 Mój własny obraz wyraźnie odbity —
 Więc podobieństwa szukam w ukraszeniach,
 I póty śmiechem rozjaśniam jagody,
 Aż póki czyste wróci mi zwierciadło

Obraz twych wspomnień z twarzą mniej pobladał
I mniej posępny i smutny i młody.»

«O! świat ten gorzki, śmiechem przeraźliwy
Dla tych co płaczą czy to krwią czy łzami.
Chroń się ty świata, bo on nie był z nami
W szczęścia godzinie, więc i dziś nie będzie;
Bo przeciw wielkim czuciom on gniewliwy,
I nie przebacza tym co toną w błędzie.
Patrz jak ten klasztor czoło w chmurach trzyma —
Ja ci wynajdę mieszkanie w klasztorze;
Zamknij się w cichej celi i ze skały
Patrzaj nocami na rozległe morze,
I błękitnemi po fali oczyma
Mojego statku ścigaj żagiel biały.
A gdy zagrożą fali niepokoje,
Kiedy się będziesz modlić zdjęta trwogą,
Razem popłyną w niebo, jedną drogą:
Twoje modlitwy i przekleństwa moje.

«Lecz nim obierzesz klasztorny spoczynek:
Jutro, nim zorza świtem się rozpali,
Przyjdź do mnie sama — tam — nad brzegi fali,
Odziana płaszczem bogatych Turczynek.
I miej kalemkiar ciemny z musselinu;
Lub czewrę, gęsto haftowaną złotem.
Niechaj się z wiatru nie wznosi polotem,
Nie zdradzi twarzy przed oczyma gminu.
Jutro — pamiętaj! — tam łódź moja czeka,
Gdzie się przy skale załamało morze.
Ja sam przebrany w tureckim ubiorze,
Płynę na pogrzeb ostatniego Greka.» —

Skończył — a kiedy z ostatniemi słowy
Na piersi chylił twarz cierpieniem zbladłą,
Zda się, widziałem, kilka łez upadło. —
Nie wiem — to może z silniejszym powiewem
Opadał z drzewa kwiat pomarańczowy?
Nie wiem czy płakał — czyli zachwiał drzewem?

X.

Ranek był. Morze rozpalone świtem
 Wre zdala, szumi i srebrzy się w pianę,
 Potem, portową groblą odłamane,
 Brzegi spokojnym oblewa błękitem;
 A brzeg wysoko szarzeje granitem —
 Wyżej palm błyszczą zieloność wesoła.
 Te palmy, w niebo sięgające szczytem,
 Jako nam istność malują anioła:
 W mgle mają stopy — a w błękicie czoła.

O! jakże smutny fali szum bezdenny,
 Co się z cichego morza wydobywa!
 I ten las masztów, jako las jesienny,
 Z którego burza północy gniewliwa
 Połowę jasnych liści poobrywa,
 A pozostałym da rozliczne szaty —!
 Liść Sztatudera złotem się pokrywa,
 Róż Albionu płonią się szkarłaty,
 Szronem się Franków osrebrzyły kwiaty.

Słyszac szum żagli — słyszysz jakby we śnie
 Gwarzące różnym językiem narody —
 Rozdarte gromem skarżą się boleśnie,
 Jakby mówiły doznane przygody,
 I prześcignięte z wiatrami zawody.
 A fala milczy — choć może w niej tonie
 W tej chwili okręt nadziejami młody;
 I jęk rozpaczy wydany przy zgonie —
 Uczuła fala — lecz zamknęła w łonie.

XI.

Okręt, troistą opasany spiżą,
 Zatknął na maszcie księżyc, trzy buńczuki,

Omgulił się dymem — dział rozesłał huki:
 I wtenczas niby szatana był tronem,
 Gdy wiatr poddany dym unosił hyżo.
 Wszystkie go maszty witały pokłonem:
 A okręt ucichł, pił dumy kadzidła.
 Mgła ranna hukiem potrójnym rozbita,
 Srebrne po masztach zawieszała skrzydła;
 Na wschodzie skrawo dzień wschodzący świta.
 Nie ma wyrazów, język niezaskarbny
 Malować słońcem ukazane czary.
 Jako rozkwitłe Nilu nenufary,
 Z kwiatów kobierzec wiązą różnofarbny;
 Jak odświeżone muszle i kamyki
 Pieszczotą fali — tak na cichej wodzie,
 Wiążąc się razem w jasne mozaiki,
 Spłynęły żaglem oskrzydłone łodzie.
 Tam turban kitą ozłocony świetną,
 Tam srebrna dziewic zasłona powiała:
 Od łodzi fala różny połysk brała,
 Barwiona złotem, lub purpurą Tyru —
 Cała ta przestrzeń, była łąką kwietną,
 Była doliną, szalem kaszemiru.
 Łódź każda wiosłem drugą łódź prześciga,
 Pod maszt fregaty gdzie ma skonać Ryga.
 I tak jak chciwe sępy, albo kruki,
 Gdy czują oddech śmierci, tak spłynęli
 W bogatych łodziach, po morskiej topieli,
 Z męczarni Greka różne brać nauki.
 Wielu jest w tłumie co się śmiać nauczą,
 Śmiech taki wrzкомо wielkość serca kłamie!
 Wielu ztąd wróci i miecze rozłamie!
 Co jutro w królów miały tonąć łona —
 Gdy tacy zemstę Aniołom poruczą,
 Nieliczny może z męczarni wyłamie
 Prawdę: że skonać nietrudno — i skona.

XII.

Wstąpił na pokład Ryga wśród Janczarów.
 Kiedy chciał mówić, słowa mu nie dali;
 Więc tylko okiem raz rzucił po fali,
 Spojrzał na mgłami osrebrzone góry,
 A wtenczas ucichł dźwięk niesfornych gwarów,
 W szmer się zamienił gasnący — ponury —
 I była cisza. — Z ciszy wyblakana
 Pieśń, między Turków urodzona tłumem,
 Na kilka cichych głosów rozłamana,
 Rośnie i z fali kołysze się szumem:
 Rzuciła w tłumie grzmiące Rygi hasła,
 Powstańcie Grecy! ale Grek nie słyszy,
 Powstańcie Grecy! brzmiało — ale ciszej —
 Do broni — cicho — pieśń znikła — zagasła.
 Pieśń serce Rygi przy skonaniu kruszy,
 Lecz radość widna z twarzy i z postawy,
 Jak gdyby przeczuł nieśmiertelność duszy —
 Może czuł tylko nieśmiertelność sławy?

XIII.

Widziałem, ja sam widziałem, o Greki!
 Jako na wielkie wstąpił rusztowanie,
 Widziałem wszystko — i tłumilem łkanie —
 On był tak młody — nie zmrużył powieki
 Choć śmierć tak bliska! choć śmierć tak straszliwa!
 Jeszcze go widzę jak zasłonę zrywa,
 Jeszcze go widzę — jak pod nieba stropy
 Na rusztowaniu stanął — i smutnemi
 Oczy dawał pożegnanie ziemi,
 Siłom młodości — marzeniom młodości.
 Wtem szczyble pękły wymknięte z pod stopy —
 Nie mam wyrazów. — Któż mu nie zazdrości

Śmierci, teutońską sprowadzonej zdradą?
Lecz któż się zemści? któż w całym narodzie?

I właśnie słońce wstawało na wschodzie,
I promień z rannej otrząśniony rosy,
Pozłocił Rygi twarz martwą i bladą,
I na ramiona spływające włosy.
Na twarzy siłę ukazał niezmienną,
Uratowaną z męczarni rozbicia;
Na twarzy walczy senna boleść życia,
Z długą boleścią wieczności — bezsenną.

XIV.

A w tłumie widzów, jedna łódź ożyła;
Jak po jeziorze trzcunami zarosłem,
Węzową ścieszką z tłumu się wywiła;
Turek ją pędził obustronnem wiosłem,
I bawił Turków, rzucając nad głowy
Tysięczne kręgi wodnistych obręczy,
Umalowane kolorami tęczy.
A łódź jak delfin w wodzie rozigrana,
Czasem tonęła w odmęt lazuruwy
Równa powierzchni morza tak, że piana
Żagiel srebrzyła; czasem statek złoty
Po wierzchu fali szedł ptasiemi loty,
I coraz bliższy fregaty sułtana,
Nie bacząc, że tu pod srogiemi kary
Wzbronione ludziom granice przechodzi.
Nie śmieli strzelać strzegące Janczary,
I od płynących zdrady się nie bali;
Bo w tej złocisto malowanej łodzi,
Ujrzeni postać dziewicy — i głośno
Śmiejąc się wszyscy — wszyscy przeklinali,
Szatę turecką — zamkniętą — zazdrośną,
I ów kalemkiar z musselinu biały,
Tak gęsto lśniącym haftowany złotem;

Że go powiewy wiatru nie odwiały,
 Ani łódź szybkim odsłoniła lotem.
 Ta pod zasłoną róża niewidoma,
 Snać z ciekawością dziecinną haremu,
 Może przejęta zgrozą — nieruchoma
 Chciała się bliżej przypatrzeć zmarłemu?
 Może się pod tą zasłoną ukrywa
 Uśmiech w połowie ciekawy, wesoły?
 Z takim uśmiechem liście róż obrywa,
 Z takim uśmiechem te ziemskie anioły
 Widzą zgon róży — serca — lub człowieka.

A wtem — okrętu piersi niedaleka
 Łódka, uczuła silny popęd wiosła,
 Biegła po fali — z fregatą się zrosła:
 I wnet z jej łona dym się wybił szary,
 A potem jasność błękitnawa siarki.

Majtek przez chwilę patrzył na pożary;
 A gdy mu płomień ramiona otoczył,
 Odrzucił turban i do fali skoczył.
 Za zbiegłym setne strzeliły janczarki,
 Przed kulą w morzu zanurzony zginął —
 Po chwili błękit pianą się zakłócił,
 Majtek na fali powierzchnie wypłynął,
 Pobladłym Turkom śmiech szyderczy rzucił —
 A gdy śmiech echo okrętu powtarza,
 Gdy się twarz majtka słońcem oświeciła:
 Śmiech ten poznałem — był to śmiech korsarza,
 I twarz poznałem — to twarz Lambra była.

XV.

Spłonęła łódka — a w dymie z lazuru
 Błękitna siarka błyska — zrazu blada,
 Całuje okręt jak czarę z marmuru,
 Jąć się nie może, ślizga się i spada —
 Wgląda na pokład — potem z trzaskiem nagle

Czerwono dębu zajęła się ściana,
 I w dymu kłębie iskra zabłąkana,
 Jak gwiazda z nieba upadła na żagle.
 Wnet płomień szybko aż na maszty wbiega,
 Spodem okrętu roztwiera szczeliny —
 Pękały szyby i rwały się liny,
 I maszt z węglowym padł na pokład dźwiękiem.
 Odgłos rozpaczy w trzasku się rozlega,
 A tysiąc jęków było jednym jękiem.
 Ucichły razem — huk płomieni głuchnął;
 Ciszą się zdawał, gdy doń słuch nawyknął.
 Nagle — w płomieniach nowy blask wybuchnął.
 Jak tknięty różczką czarowną aniołów,
 Z gromem wulkanu cały pożar zniknął —
 Zostawił przepaść — i w niej wrącą pianę
 I wszystkie łodzie burzą kołysane —
 A na nie chmura upadła popiołów!

XVI.

Takim był Ryga uczczony pogrzebem.
 Nie poszedł pruchnieć w marmurowe lochy,
 Stos miał wzniesiony pod błękitnym niebem,
 Z dębów i trupów — jako do łzawicy,
 Do czary morza spadły jego prochy. —
 Lecz jak okropna śmierć młodej dziewczicy!
 Anielskim niby ożywiona duchem,
 Kiedy ją ogień do koła obchodzi,
 Bolesci żadnym nie zdradziła ruchem,
 Bez jęku prochem opadła do łodzi.

XVII.

A Lambro w morzu przechował się cały,
 Do korsarskiego dopłynął okrętu;
 Przywołał pazia — i na pół omdlały
 Padł na kobierce — mówił — a z odmętu

Myśli zburzonych płynie mowa skora,
 W stu słowach ledwo jedna myśl rozkwita —
 Mówił do pазia «Już pora! już pora!
 Zmienić banderę. — Ale czy powstaną?
 Gdy krzyż na czarnej banderze zaświta
 Może powiedzą — szalony! za rano!
 Więc dla niczego tyle znieść męczarni?
 Paziu! idź w góry gdzie się klefty kryją,
 Do marmurowych zazieraj kawiarni,
 I pieśń im śpiewaj — i zobacz czy żyją?
 Zobacz — na grobach czy płaczą mściciele?
 Lecz wróć jak zwykle łać napój makowy,
 O każdą kroplę napoju się spierać;
 Bo dzisiaj czuję straszny ciężar głowy,
 I ciężar myśli — wypiłbym za wiele —
 Dzisiaj chcę marzyć dłużej i spać dłużej —
 Ale żyć muszę — z Grekami umierać —
 Idź — dobre wieści przynieś mi z podróży —»
 — «Poszedłem» —

Śpiewak cały się zapłonił —
 Czuł że się słowem nieroztropnem zdradził:
 Kryjąc zmięszanie — silnie w lutnię dzwonił,
 Ręką przez wszystkie struny przeprowadził.
 Obejrzał koło Greków — myśli czyta —
 Zaśmiał się gorzko rzucił wzgardy okiem,
 I wyszedł. — Za nim śpiesznym wyszła krokiem,
 Jakaś Greczynka zasłoną okryta.
 Może ciekawa pieśni tajemnicy
 Za odchodzącym paziem zawołała?
 Potem z nim długo — długo rozmawiała,
 Na ośrebrzonej księżycem ulicy.
 A choć rozmowy nie dosłyszeć dźwięku,
 Snać gorącemi prosiła go słowy —
 Musiał zezwolić — bo na jego ręku
 Błysnął księżycem pierścień brylantowy.

PIEŚŃ DRUGA.

I.

Już noc zapada w korsarza kabinie,
Zalana falą szyba bursztynowa
Coraz ciemniej; jak w piekła krainie
Mrok był ognisty i cisza grobowa.
Piekło to było — i te same słowa
Co na piekielnej wypisane bramie,
Tu z pierwszym wiatrem na wchodzących wieją;
Bo kto tu wejdzie, żegna się z nadzieją.
Tu myśl starzeje w przeciągu godziny:
Gdy się nad głową grzmiąca fala łamie,
Gdy huczą płótna, jęczą starte liny,
Choćbyś wrażenie powiązał łańcuchem,
To się rozprysną — ogarnąć nie mogą
Ruchu, co ziemi wydaje się ruchem,
Pojęty tylko jednym zmysłem — trwogą.
Jest ktoś w kabinie — bo chociaż wśród cienia
Nie widać kształtu żyjącej istoty,
Lecz słyhać często ciężkie odetchnienia.
Ktoś w tym się grobie musiał zamknąć żywy?
Jeżeli czuwa, to ma myśl zgryzoty;
Jeżeli zasnął, to ma sen straszliwy.

II.

Paź wszedł — postawił na stół lampę kryształową.
 Przy stole siedział korsarz z pochyloną głową,
 I zadrżał, bo to światło z marzenia go budzi,
 Bo to światło natrętne było jak tłum ludzi,
 Co, widząc blade czoło, o szaleństwo woła.
 Korsarz długo ze światłem godził rysy czoła,
 Twarz jego jakby z kruszcu łamała się twardo,
 Malowana naprzemian śmiechem, bólem, wzgardą,
 A potem się w bezwładną spokojność przybrała:
 Jeżeli twarz może skonać, twarz Lambra skonała.
 I spoczywał bezwładnie na stole oparty —
 Przed nim rozwite świata znajomego karty,
 Cała ziemia, ramieniem Lambra opasana,
 Leżała jak w żelaznych skrętach Lewiatana.

A te ściany są krwawą powieścią korsarza.
 Lampa co przed nim płonie, zdjęta z przed ołtarza,
 Świeci zbrodni, jak niegdyś przyświecała Bogu.
 Tam dalej blask księżyca rzucony na progu,
 Odbłyska jakby kawał śniegu błękitnawy.
 I różne pawilony z obcej wzięte nawy,
 Skarżą się pod stopami korsarza rozdarte.
 A tam — lampa oświeca pargaminu kartę,
 Firman — złotem w sultańskie ustrojony słowa:
 Na nim jak pieczęć z wosku leży trupia głowa,
 Od sultana samego głowy mało mniejsza:
 Żółta, lśniąca i może z czaszek najpiękniejsza.
 Dalej złotem wybite, krwią rdzawe oręże,
 Nad czarami ze spiżu okręcone węże,
 Zginają kark do czary po szczątki trucizny.
 Z tych ścian wyczytaj zbrodnie wygnańców ojczyzny,
 A sumieniem kajuty są ściennie zwierciadła,
 Których powierzchnia parą wilgoci pobladła —
 I co dnia zasłonami grubszymi ciemnieją,
 I co dnia na co patrzą, spowiadać nie śmieją. —

Czasem słychać szum morza, czasem cichość głucha.
 W ciszy korsarz podnosi blade czoło — słucha —
 Jego myślom w dalekie rzuconym zawody,
 Odpowiadają dźwiękiem krople morskiej wody,
 Co ze szczelin sączone dźwięk wydają szklanny,
 Jak płacz łzawy dalekiej w cytrynach fontanny.

III.

Czegóż paż czeka — powinien co nocy
 Podawać czarę, w niej napój makowy.
 Bo Lambro co dnia bladzy o północy,
 Szaleje trucizn namiętnem piciem,
 I życie mieni na sen gorączkowy;
 Sen tak jasnemi grający barwami,
 Że chwile życia zdają mu się snami,
 A sen szalony wydaje się życiem.
 I co dnia czara o kroplę pełniejsza,
 Te same widma i sny mu dawała.
 A choć twarz bladła — żrenica świetniejsza
 W ciemność wlepiona, krwawa — potem biała,
 W krainę duchów biegła — i wracała
 W krainę myśli — wtenczas cierpiał — szalał —
 Żebrał u pazia trucizny nad miarę.
 Lecz paż jak dziecku groził, nie pozwalał,
 I nieraz w morze ciskał zgubną czarę.

IV.

Lecz cóż się stało, że choć noc zapadła,
 Paż jak zazwyczaj nie podaje czary?
 I korsarz milczy — choć mu twarz pobladła?
 Śnać że się lęka ze wspomnień zwierciadła
 Zamglić szaleństwem — gorączkowej mary,
 Owego widma płonącej fregaty,
 Co stoi przed nim pełna jęku, wrzasku

Przeraźliwego — wśród płomieni blasku,
 Dotknęta palcem anioła zraty.
 Więc nie chce trucizn — ale czy wytrzyma
 Przez noc, zwyczaju przełamać narowy?
 Obląkanemi spogląda oczyma,
 Wstał — i na pokład wyszedł okrętowy.

V.

Noc była cicha. Okręt na kotwicy,
 Niepełnym żaglem brał wiatru pieszczoły —
 Powietrze szkliste pełne tajemnicy,
 Księżycowego blasku i tęsknoty.
 I tak się błękit ochylił do koła,
 Że maszt najwyższy, schylony u szczytu,
 Nie śmiał jakoby wzniesć dumnego czoła,
 Pod kryształowem sklepieniem błękitu.
 A w drżącej fali jak srebrne delfiny,
 Igrały w koło blaski księżycowe —
 A dalej mgłami błękitne krainy,
 Archipelagu wyspy cytrynowe.
 Na widnokręgu nieraz czarna skała,
 Albo w lodowej, albo w gwiazd koronie,
 Przejdzie przez księżyc — i we mgłach zatonie.
 I nieraz z szumem fali doleciała
 Pieśń, którą słowik napełnia ogrody;
 I róż woniami, co na brzegach kwitną,
 Nieraz wiatr drżącą falę zakołysze.
 I wszystkie barwy topią się w błękitną,
 I wonie — zapach tajemniczy wody,
 I wszystkie dźwięki toną w wielką ciszę.

Gdy wyszedł Lambro, drużyna korsarza
 Długo ciekawie śledzi rysów lica —
 Twarz jego straszną błądząco przeraża,
 Pobłękitniała od blasku księżyc —
 Odeszli. — Lambro, osłonięty w żagle.

Patrzył na morze, na odległe skały,
I patrzył długo — dumał — potem nagle
Zachwiał się — chylił, i upadł — omdlały.

IV.

Wnet go tłum majtków do koła otoczy —
Blady był strasznie — na poły nieżywy.
I paż krzyk wydał z piersi przeraźliwy
Gdy omdlałego przyniesiono pana.
Lambro zbieleł na krzyk podniósł oczy,
Twarz mu rozciąła, śmiercią obłąkana.
Otworzył usta — mówił nieprzytomnie:
«Kto tutaj jęczał — kto tu płakał po mnie,
W płaczu z miłosnym pomieszczanym dźwiękiem?
Paziu — płakałeś łzami nie twojemi:
Ty mię zabijesz takim drugim jękiem!
Ten jęk dziewczicy posłyszany we śnie,
Dziwnym połamał myśli moje kształtem;
— I wyciągnąłem dłonie i sił gwałtem
Z letargu wstałem — gdzież ona? — tu była —
Nie — tu paż tylko — — Jakże mię boleśnie
Noc ta urokiem ciszy przeraziła?
Noc księżycowa — czemu nie ciemniejsza?
I noc przekląłem i morza zwierciadło —
Morze tak ciche, czemu burz nie miało
Gdy w nie patrzyłem — moje czucie mdlało;
Patrzyłem w czucie, moje czoło bladło,
I mgły na serce spadały jak śniegi.
Lecz to minęło — niechaj noc przemarzę.
Paziu, daj czarę nalaną po brzegi,
Niech wiem przynajmniej że w obfitej czarze,
Śmierć trzymam pełną, dotknęta ustami;
Nie spełnię całej — chociaż drżącej ręki
Nikt nie odechyli prośbą ani łzami,
Lecz nie chcę skonać póki ziomeków jęki,
Będą pacierzem i grobu hymnami.» —

Wnet paż posłuszny rozkazowi pana,
 Podał mu czarę i odstąpił krokiem.
 A czara była kształtnie dłutowana,
 Niepełna, z roślin wytłoczonej śliny;
 Chwycił ją Lambro i pożerał okiem.
 Błady na czole i na ustach siny.

VII.

Wypił — i zwolna płomieniem rozkwita:
 Z czoła zasłony opadają mgliste,
 W źrenicy płomień obłąkania świta —
 Oczy tak jasne, błyszczące i szkliste,
 Że można było przejrzeć w nie daleko.
 Straciły barwę — stały się iskrami
 I gorączkową rozpalone spieką,
 Kryształowemi pokryły się łzami.
 A potem czoło wsparł na drżącej dłoni —
 Oczy nie miały wzroku, choć bezsenne;
 I wszystkie żyły wyblęśły na skroni;
 Jakby gałązki bluszczu powiązane;
 I wszystkie włosy, jak liście jesienne
 Drżały na czole, wiatrem nierozwiane;
 I w marmurowej na pozór postawie,
 Rozkołysanie widać zmysłów pjane.
 A o czym inni śnią — widział na jawie —
 Tylko jaśniejsze. Jak węża kawały,
 Rozcięte widma jednym życiem drgały.

Ciszej, bo właśnie teraz sen czarowny
 Rzucił go lotem po nieba błękiecie —
 Dzikiem rokoszy urok niewymowny,
 W nagłonym technieniu zamknął zmysły — życie —
 Słowo poczęty śmiech porywa — łamie —
 I śmiech poczęty w odetchnieniu kona.
 Bo to nie skrzydło, ani silne ramię,
 W lekkiej powietrza pławilo go fali;

Lecz ciężar myśli opadł z głębi łona,
I ciężar wspomnień zniknął z uczuć szali.

Staął — i nagle tysiące błyskawic
Wińcem ognistym mignęły do koła.
Rzekłbyś że tysiąc zamachniętych prawic,
Wiało tysiącym mieczem archanioła!
Pogasły — w błękit stopiły się ciemny,
Tak przeźroczysty, głęboki, tajemny,
Jak nieskończoność — i słychać szum morza.
Potem z ciemnego błękitu przestworza,
Wykwitnął mglisty obraz sennych czarów.
I gmach z tysiącznych złożony filarów,
Lekką jasnością w powietrzu skreślony —
Od stóp korsarza w dwie się rozbiegł strony
Po całym niebie. A jedna połowa.
Uwiana była z promieni księżyca,
Jasna i biała jak noc księżycowa,
Cała w przeźroczu błękitnawo-szklista:
A druga strona posępna, ognista,
Jak piekło. Wielkie zwierciadło Egidy
Gmach cały kryło jasności sklepieniem;
Pod niem schylone duchów karjatydy,
Dwubarwnym światła uwiane promieniem,
Z blizka ogromne jak ciemni szatani,
Biegły w dwie strony oddaleniem mniejsze,
I coraz dalsze — i coraz świetniejsze,
Jak mgliste gwiazdy niknęły w otchłani. —

A Lambro nie śmiał tchnąć — bo choć wyniosła
Była, duchami otoczona sala,
Lecz taka lekka, że powietrza fala,
W otchłani człowieka tchnieniem potrącona,
Możeby duchów kolumny rozniosła.
Więc stał — i tchnienie połykał do łona,
By czarownego nie zanaglić zwierciadła.
A w lesie kolumn widział ludzkie cienie,
Klefstów oddawna pomarłych widziadła.

A wszyscy w gmachu wplątani promienie,
 Bładzi — posępno-srebrni lub ogniści,
 Lekcy i liczni jako chmura liści
 Wiatrem zwichrzona, wiązali się w tłumy.
 Ale dotknięci żywego oczyma,
 W twarzach zdradzili wiele ziemskiej dumy.
 Widać że znaczni rysami Kaima
 I strojni dotąd w blask ziemskich kolorów,
 Nie mogli zasiąść wśród niebieskich chorów,
 I przed oczyma Lambra, na pół sini,
 Na poły lśniący od złota, szkarłatów,
 Ziemskiemu barwy, jak oazis kwiatów
 Stali na srebrno-ognistej pustyni.

A skoro Lambro stanął w duchów kole,
 Milionowe patrzyły nań duchy;
 I tak go w spojrzeń zakuli łańcuchy,
 Że nie mógł zamknąć oczu — i na czole
 Pałace uczuł znamię duchów wzroku,
 I drżał — gdy szmerem rosnącym potoku,
 W ciszy setnemi głosy zawołali:
 «Czemuś nie skonał gdy wszyscy konali?»

VIII.

Straszna twarz Lambra, łamana cierpieniem —
 Otworzył usta, chciał mówić — i nie mógł —
 A potem słowo złamane westchnieniem.
 To słowo «żyję» rzucił z głębi łona —
 I wstał z dywanu — wyciągnął ramiona,
 Widać że walczył ze snem i sen przemógł.
 Spojrzał w około. — «Paziu! daj mi czarę;
 Za mało trucizn zapalonych piłem,
 Bo myślą ziemską we śnie się rozbiłem —
 Że nie zginąłem, życie mam za karę;
 A to piekielna kara niebios — życie —
 Być w świecie dźwiękiem rozwiązanej struny,

Co razi serca tonące w zachwycie!
 Być jako wieko przysypanej truny,
 Co zrazu każdej garści zapomnienia,
 Posępnym, głuchym jękiem odpowiada;
 A potem milczy — paziu, chcę marzenia!
 Lej mi trucizny — pić będę, pić będę,
 Póki się wszystkich myśli nie pozbędę.
 I tej ostatniej co serce przejada.
 Paziu, daj czarę.» —

«— Próżno błagasz panie;
 Tej czary żadna nie zdobędzie siła;
 Bo dziś jak niosło twoje rozkazanie,
 Jam czarę (kłamał:) do morza wrzuci — —»

Nie skończył, Lambra przerażony wzrokiem;
 Bo korsarz drżące wyciągnął ramiona,
 I pochylony naprzód, stąpił krokiem,
 Patrzał w twarz pazia i krzyknął: «to ona —
 O nie, to widmo z piekielnej otchłani!
 To mi upiora przysłali szatani,
 Aby tak za mną wiecznie szedł po świetle —
 Ha! wy anieli piekiel! wy nie wiecie
 Że ona żyje — i tylko dziś rano,
 W jej szaty lalkę ubrałem słomianą;
 I tym podstępem omyliłem strażę.
 Palnego statku Turcy nie poznali —
 O! gdyby ona spłonęła w pożarze;
 Chciałżebym z morskiej wynurzyć się fali? —
 Po cóż to widmo? — we mnie — lub koło mnie
 Wiecznie i wiecznie — czemuż ludzi twarze
 W jej twarz się mienia? Paziu! chodź tu do mnie
 Chodź! niech przy lampie —«

Lecz paż nieprzytomnie
 Nalewał napój w pozłacaną czarę,
 I z drżącej ręki nieliczonych wiele
 Kropel trucizny, upadło nad miarę.

I szedł zachwiany i stąpał nieśmieiele,
 Jakby od blasku ręką zakrył oczy;
 I tak przed lampą stanął — że ją cieniem
 Swojej postaci nachylonej mroczy —
 Lambro miał usta spalone pragnieniem,
 Oczy sennemi tłoczone ciężary —
 Z oblicza pazia — — upadły w głąb czary.

IX.

Wypił. Wnet całe spłonęło mu lice,
 W tym blasku w oka obłąkanyin rzucie,
 Nieodgadnioną widać tajemnicę;
 Jakby się senne ukazały barwy.
 Ciemno-ognista i miesięcznej bieli:
 I znów te same widział klestów larwy.
 Stanął w ich kole, słuchał — lecz milczeli.
 A przed kleftami stali dwaj anieli;
 Jeden ognisty jak piorunu strzała,
 Bezkarne wzrokiem człowieka nietknięty,
 Był w Lambra myśli jako płód poczęty,
 I nie mógł w zmysłów narodzić się świecie.
 Drugiego istność księżycowa — biała —
 Miał skrzydła u głów, u rąk, u stóp trzecie.
 Widać że kiedyś był Boga aniołem:
 Lecz barwy skrzydeł spłowiały, pobladły —
 Musiał je zrosić, ów anioł upadły,
 We łzach człowieka nad świata padołem.
 Ma w ręku czarę z której błękitnawy
 Płomyk wytryska i lice mu bieli —
 I w ciszy Lambra marzeń dwaj anieli
 Śpiewali razem hymn straszny i krwawy.

HYMN ANIOŁA ZEMSTY.

«Falo ludzi! falo ludzi!

Przewracasz się, pienisz, mętna
Bez wiatru usypiasz — któż ciebie obudzi?
Czy sława paląca — czy miłość namiętna!

Falo ludzi! falo ludzi!

Przed tronami niższa czołem,
Przerzedzona mieczem wroga;

Gdy chciałaś się modlić i modlić do Boga,
Modliłaś się do mnie, jam zemsty aniołem.

O! byłem ja nieraz w ostatnim pacierzu,
Na ustach zmarłego — — Ja stoję przy grobach,
Gdy krewni przychodzą ubrani w żałobach;
A kiedy się modlą po zmarłym rycerzu,
Wzywają mię więcej i więcej niż Boga.

Płynęła od wschodu,
Szarańcza złowroga.
Niszczona od głodu,
Na Stambuł upadła;
Z tej chmury lazuru,
Jak ciemne widziadła,
Wybilo się wież tysiące,

I rzełbyś że wielkie olbrzymy milczące,
Szarańczę rozgniotły stopami z marmuru.

A potem te mrące na głazach owady,
Stworzyły myśl w chmurze, co duszą jej była.
I gryzły bezsilne z marmuru posady,
I marły — a mrących myśl we mnie ożyła —
Myśl zemsty mrącego narodu.

A kto chce iść za mną, gdy nie śmie lud cały
Na inne uczucia niech lice ma z lodu;

Gdy lud będzie milczał do zemsty nieśmiały,
 Gdy grobów gęściejsze porosną cyprysy,
 Gdy głośnie łez będą rozpaczę;
 Ja śmiechem złamane pokażę mu rysy,
 Aż póki w nim śmiechu nie wzbudzę szatana;
 I będzie go zgraja przeklinać splakana,
 Że z niemi na grobach nie płacze.

Wylany ze łzami
 Mój duch obumiera;
 Mnie światło dnia plami,
 Mnie księżyc otwiera
 Jak kwiaty, co kwitną nocami.
 Ja czekam aż Turki wychodzą z meczetu,
 I płynę w ich serca przed Bogiem otwarte —
 Ja jestem modlitwą na stali sztyletu.
 Ja mieczem ognistym anioła,
 Wśród księgi wspomnienia zaginam tę kartę,
 Co o krew woła.» —

HYMN ANIOŁA ZARAZY.

«Gdzie kilka palm pustyni, gdzie wrące powietrze
 Drży, przebiegane falą żółtawą płomyków,
 Tam ja byłem na spiekłym urodzony wietrze,
 Tam, jak szakal pilnuję gryzących się szyków.
 A kiedy trupami pustynię pokryją,
 Nim księżyc się w niebie wyśrebrzy dwa razy;
 Szakale nocami pieśń sławy im wyją,
 Ja mszczę się umarłych — jam Anioł zarazy —
 I lecę ich żony zabijać i dzieci,
 Ażeby nie długo umarłych płakały.

A moje skrzydło krwi plamami świeci —
 Ani ich morza opłuczają kryształ.
 I lecę miasta zamieniać w pustynie;
 A w miastach ludzie czują że ja lecę,
 W srebrno-błękitnej — w nadpowietrznej rzece,
 Co nad krętymi ulicami płynie.

Z Sułtana powracam ja grodu,
 Sto głów sułtański ściał miecznik:
 A każda na postrach narodu,
 Z bram miasta jak żółty słonecznik,
 Spogląda za słońcem zachodu.
 I oczy wlepiły w mgłę białą;
 Co kraj im rodzinny zakrywa;
 I każda się zda jakby żywa —
 Krwią płacząc, gdy im łez nie stało.

Zemsty natchnąłem je duchem —
 «Mścijcie się» rzekłem, dam broni —
 Czarnym zarazy łańcuchem,
 Sułtańskie grody związały,
 W meczetów kradły się woni.
 Za bramy wybiegł lud cały,
 Na bramach była zaraza:
 Lud martwe dał jej pokłony.
 Głowy — jak królów korony,
 Świecą na słupach z żelaza,
 I mają poddanych — trupy.

Z syryjskimi łupy,
 Ja okręt, przez wały,
 Po morza błękitie,
 Do portu zawiąłem.
 I stał oniemiały,
 Nie spuścił szalupy,
 A na żaglu szczycie,
 Nad cichemi trupy,
 Ja anioł siedziałem.

Lud widzę bitny,
W grobów popiele,
Chciałem by groby otwarli.

Złoty aniele!

Rzekli umarli,

Weź z naszych grobów płomyk błękitny,
I mścij się za nas. — Duch grobów wziąłem

I lecę mściwy,

Bo lud nieżywy

Nazwał mię zemsty aniołem.» —

Skonały dzikie dwóch aniołów pienia
Lambro je we snach gorączkowych składał.
Hymn ostatniego tak rymami spadał,
Jak gdyby w piersi marzeń brakło technienia.
Wstał — chciał się zbudzić — lecz padł na dywany,
Usta mu tylko drżały blade, sine,
Jakby chciał mówić — i wzrok obląkany,
Przebiegał marzeń zamgloną krainę.
A jego twarzy powleczonej w bieli,
Nawet szatani marzeń się przełękną.
I rzekł: «O, duchy! — o, ciemni anieli!
Wyście mi zemstę malowali piękną,
Jak najpiękniejszą ze wschodnich odalisk,
Bo w mojem sercu miłość zapaliła.
Choć sny wygasną — ona będzie żyła!
Dla niej utworzę — pośród myśli zwalisk,
Krainę czucia, brylantowy Eden. —
I nie sam będę — choć klasztor na krata,
Już mię na wieki rozdzieliła z Idą —
Szalona zemsta! — burzę świat sam jeden,
Mamże być znowu piekiel Danaidą
I krew łać wiecznie do tej czary świata,
Co się krwią nigdy napęlić nie może? —
Czyż się bezemnie sam nie zemścisz Boże!
To są anieli twoi — ci — przedemną,
Przynieśli na świat myśl wielką i ciemną,
Całą na czołach ogniem wypisaną;

Ale nie mogę wyłamać z niej słowa — —
 Słuchajcie ludy — mścić się nie za rano!
 Nie — dziś nie mogę — dziś mi cięży głowa —
 Jutro — dziś w marzeń upływam potopie —
 Jutro. — Lecz dzisiaj sennym wydrę cudom
 Myśl wielką — potem tę myśl zmartwychstania
 Jak Kleopatry perlę w krwi roztopię,
 W czarze z kryształu i dam czarę ludom —
 A one może w chwili obłąkania,
 Odepchną czarę — wieczna im mogiła!
 Jeżeli czarę od siebie odrzuca,
 Jeżeli usta dla tego odwróca,
 Że się w krwi ludzkiej myśl ta roztopiła,
 Chociaż tak była bezcenna i droga,
 Że o niej dotąd nie śnił nikt — prócz Boga.
 Lecz niech ją pojme, niech przeniknę jasno,
 Niech mi z posianych rozkwitnie zarodów,
 Zemsta człowieka i zemsta narodów —
 Jest w sercu — w myślach — moje myśli gasną —
 Znow mię ogniste porywa marzenie;
 Widzę je sercem i okiem zamkniętem.
 Powietrze zda się wielkim diamentem,
 W którym kolory grają i płomienie.
 Szatani! o ciemni szatani!
 Jak płyną wirem obrazy!
 To mój okręt korsarski na ciemnej otchłani
 W skrzydlate widmo się mieni;
 A z prawej strony anioł zarazy,
 A z lewej anioł ognisty!
 Liny z promieni —
 I morza obrus błękitno-szklisty
 Nie łamie się w pianę pod statku piersiami,
 I okręt białemi nie szumi żaglami — —
 I tylko czuję że płynę,
 Jak duchy w północną godzinę,
 Posępny, okryty mgłami.
 I mgła błękitna pobiela —
 Uciekające wstecz brzegi,

Topią się, nikną jak śniegi.
 Znów widne — tam palma drżąca
 Jako kapłan Izraela,
 Do cichej twarzy miesiąca
 Wznosi dłonie — twarz odwraca,
 I mówi modlitwy szmerem.
 Anioł zemsty kieruje okrętowym sterem,
 Odbłyskiem swego lica ciemny brzeg poślaca.
 Palmy się zamieniają w ogniste kolumny,
 I brzeg cały przeraża pożarów ogromem —
 Tylko czarne cyprysy niedotknięte gromem,
 Stoją, zmarłego świata pilnujące trumny.

A tam — Kolonny wybrzeże,
 Białe posągów narody.
 Wśród kolumn tureckie wieże,
 Na gmachach las ostów szumi,
 Jak Babilońskie ogrody —
 I szmerem głos modlitwy Mahometa tłumi,
 Głos, co się smutnym dźwiękiem po fali rozlewa.
 A tam gdzie laur różowy, gdzie oliwne drzewa!
 Wybłyska jedna — druga i czwarta kolumna —
 Szczęty gmachów Jowisza ściętą mają głowę.
 Jakaż to jaskółka dunna
 Na te gzymsy marmurowe
 Zaniosła gniazdo? — Skonała
 W tych gmachach wiara i chwała,
 A ta jaskółka nie skona?
 O nie — to chata Santona
 Na gzymsów zawisła szczycie.
 Posępna w około cisza —
 Przed chatą postać derwisza,
 W nieba skreślona błkicie,
 Jako posąg nieruchoma —
 Modli się — depcąc świątynię. —
 Lambro marzył — a w twarzy zgryzota widoma
 Czerni się i łza wstydu po licach mu płynie.
 Patrzył w anioła zemsty, w anioła zarazy.

I oba stali cicho — posepnie — jak głązy,
 I w ich postawach ogień potępieńców bładnie:
 «Gdy cały kraj powstanie, ta chata upadnie.»
 Rzekli — i okręt płynął na błękitne morze.

Tam zdala, okryta mgłami,
 Turków stolica w Bosforze.
 Tysiące gmachów — meczetów,
 I tysiące minaretów,
 Jakby złotemi głoskami,
 Jakiś napis alkoranu
 Pisały w nieba błękicie.

Zemstę będziemy winni przedwiecznemu Panu —
 Anioł zarazy siada na zofijskim szczycie.
 I patrzy na stolicę — «Gdzież sen mój — ciemnieje —
 Paziu, ty rozbić musiałeś zwierciadło,
 W którym czytałem wszystko na te oczy.
 Rozbić musiałeś — bo wszystko tak mgleje,
 Czerni się — pierzcha — rozbija — poblądło —
 I coraz grubiej wzrok mi się zamroczy,
 Tak, że nie widzę nic, prócz myśli własnych —
 O męka, męka! z tych obrazów jasných
 W ciemność myślenia nagle wpaść oczyma!
 O jak głęboko pośród myśli tłumu,
 Wzrok mój zabiega — jeszcze dna nie trzyma —
 To wzrok ocknienia — to promień rozumu
 Budzi się z marzeń piekielnych rozkuty —
 Tu korsarz zamilkł — sam w sobie zamknięty,
 Długo na łożu leżał rozciągnięty.
 Potem się zerwał, krzyknął: «jam otruty.»

X.

Zrazu się wahał i myśli przedziwa,
 Żadnemi na jaw nie śmiał wydać słowy;
 Jakby się lękał aby śmierć skwapliwa,
 Nie rozwiązała wpół zaczętej mowy;

I widać było jak na jego czole,
 Ze snu chmurami łamały się bole.
 Chwyta za szyję złotem wybijany,
 A tak był drżący że go ledwo dźwignął:
 I krwi gwałtownem rozigraniem chwany.
 Nad bladym pazurem dłoń wzniesioną trzyma.
 Palił się cały — potem cały stygnął.
 Żelazo z dźwiękiem padło na podłogę.
 «Paź błękitnemi ściga mię oczyma
 On ma twarz Idy — zabić go nie mogę!
 Idź w świat — tam ludzie wszyscy ciebie godni,
 Obludą w serca wkradają się tajemnie;
 Ty się odemnie nauczyłeś zbrodni,
 Na Boga! szczęścia nie ucz się odemnie.
 Idź — weź to złoto — może nim zapłacisz,
 Za snu godzinę — za czarę trucizny.
 Weź i tę czarę — wśród domowych zacisz,
 Jeżeli kiedy dożyjesz siwizny,
 Niech do tej czary twoje dzieci własne,
 Cypryjskich jagód nalewają winą;
 A może zaśniesz jak ja teraz zasnę.
 Ja nie przeklinam, śmierć ciebie przeklina,
 Śmierć od trucizny — bezsławna i marna,
 I nadto wczesna. — Głębi mego łona
 Bóg tajemnicze dał zarodu ziarna,
 Dał samobójczą myśl — ta wykarmiona
 Rosła jak bujne, głuszące rośliny,
 Stała się zmysłem duszy — rozkwitała.
 Czekałem tylko szczęśliwej godziny,
 A wtenczas, dusza rozwiązana z ciała,
 Mogłaby skończyć pasmo wyobrażeń,
 Uczuciem dumy i śmiercią bez marzeń.
 Wtenczas koło mnie stałyby w okóło,
 Z grobów wezwane dawnych druhów twarze.
 Z uśmiechem gorzkim odwróciłbym czoło,
 Niech by widzieli że śmierć była w czarze!
 Bo oni niegdyś niedowiarstwa wzrokiem,
 Śledzili we mnie męstwa — nie dostrzegli —

I dziś jeszcze nie wszyscy odbiegli!
 Widzę ją — widzę tam — z błękitnym okiem,
 O nie — to szatan ubiera w mgłę ciemną,
 Takie obrazy. Wściekłość mię porywa!
 To paż — to ona martwa — jeżeli żywa?
 Ja konam! konam! — chodź ze mną! chodź ze mną!
 Paż upadł we krwi. Lambro drżący, błyśnięcie,
 Przebił sztyletem — siedł — i niezatarte
 Stopami krwawe powyciskał ślady —
 Pot miał na czole — usta w pół otwarte.

XI.

Taką twarz noszą anieli przekłęci.
 Na czole myśli biegające tłumem,
 Niepowiązane czuciem i rozumem,
 Zwały się w ciemną niepewność pamięci.
 Niepomny zbrodni którą był wykonał,
 Sennemi słowy trzykroć pazia woła;
 Paż jeszcze słyszał, podniósł nieco czoła,
 Westchnął głęboko — chciał mówić i skołał.
 Lambro spalony truciznami, bladnie,
 Potem się drżący przyczołgał do stołu,
 Chwycił za czarę — w czarze znalazł na dnie
 Męty napoju — wypił je i ożył;
 I sen od powiek na chwilę oddalił,
 Śmierci przyspieszył — lecz marzeń przysporzył,
 Jak lampa, blaskiem ostatnim się palił.

XII.

«Oto mój żywioł — ta ciemność ponura —
 Już do otchłani myśl moja należy.
 I nieskończoność jako ciemna chmura,
 Świat opłynęła — myśl, gdy w nią pobieży,
 Wraca zbłąkana i znów się zamyka!

W sennych marzeniach — moja nie wróciła —
 Już nie mam myśli — odbiega mię — znika.
 Raz nad świat wzbita nie jest częścią świata,
 Zna nieskończoność, znała piekło — żyła.
 Niech jak zabójca pierworodny brata,
 Leci płomienną naznaczona blizną —
 W małej z początku żywiona iskerce,
 Kiedy w popioły obróciła serce,
 W proch się rozpadło dotknięte trucizną —

— — — — —
 O jak tu ciężko — po co pod sklepienia
 Zamknięto kwiaty? — ta woń kwiatów nudzi! —
 Bo kwiaty nocą jak dawne wspomnienia,
 Kiedy rozkwitną, zabijają ludzi.
 Rozbić te okna! — rozbić szklane stropy!
 Czy mi się zdaje? zali w tym wazonie
 Rosnące róże i heliotropy,
 Podobne z siebie do krwi dają wonie?

— — — — —
 Wiele, tłum wspomnień zostawiam po sobie!
 Sławę — i zbrodni przebieżone stopnie
 I krew — O sława! sława! to okropnie
 Stać jako posąg na ojczyzny grobie.

— — — — —
 Wyście mię wplekli w koło Ixiona,
 Wyście się po mnie wiele spodziewali:
 Lecz miałem skute cierpieniem ramiona,
 I wiecznie w tłumie zanurzony fali,
 Nie mogłem czoła wzniesić nad tłum — cierpiałem.
 Precz ludzie — dajcie spokojnie mi zasnąć!
 Ha! i ta lampa chce ze mną zagasnąć — —
 Świeć blada lampo kiedy ja się mrocę,
 Świeć — i świeć jutro nad korsarza ciałem —
 Dotknąłem lampy i całe przeźrocze
 Krwią poplamilem — Tu wrogi być muszą —
 Wpadli na pokład i krew się rozlała,
 Słyszę nad głową jak się deski kruszą,
 Jak pierś okrętu rozbijają działa.

Chodźcie tu wszyscy choć mam twarz pobladłą,
 To nie od trwogi. — Chodźcie wszyscy razem!
 Jeszcze nad głową powieję żelazem —
 O jak mi ciemno! — więc wszystko przepadło?
 Przekleństwo temu co pomiędzy tłumem,
 Jękiem rozpaczny przeraźliwie wrzasnął —
 Przekleństwo fali co z piekielnym szumem
 Drze się, szczelinę rozwierając kruchą.
 I okręt z głębi łona westchnął głucho —
 W głąb idę — —» Upadł na dywan i zasnął. —

XIII.

Lampa zagasła. A korsarz otruty,
 Przed śmierci chwilą tonął w sen głęboki —
 A teraz — słyhać tajemnicze kroki,
 Ktoś przez otwarte cicho drzwi kajuty
 Wchodzi ostrożnie w krainę męczarni —
 «Cicho?» rzekł «cóż to, oboje uśpieni? —
 Więc nieco tajnej otworzył latarni,
 Rzucając kołem kilka mdłych promieni:
 A gdy te biegły po ścianach komnaty,
 Gdy od zwierciadeł wróciły przezroczy,
 Widać przychodnia — pazia nosił szaty,
 Do zabitego szat podobne krojem,
 I równie bliski postawą jak strojem;
 Ale miał czarne, czarne jak noc oczy,
 I mniej był młody i piękny na twarzy;
 Bo na niej uśmiech i bładość korsarzy,
 Jako na miękkim wosku odcisnięte,
 Śwadczą że bolem przed latami dojrzał;
 Że miał już serce na czucia zamknięte.
 Stał — słuchał chwilę — potem ku drzwiom spojrział,
 Chcąc niezgłębioną rzucić tajemnicę —
 I tak jak ludzie niepewnością chwiani,
 Znów się odwrócił, z potu otarł lice,
 I wołał coraz głośniejsz «pani! pani!

Już ranek świta. — Pani! o na Boga!
 Uciekaj ze mną — korzystajmy z cieni —
 Bo teraz jeszcze mgłą pewniejsza droga,
 I on się zbudzi — korzystajmy z mroku —
 Choćbyś mi dała twoich sto pierścieni,
 Za sto pierścieni, nie chcę czekać kary!
 Ja nie wytrzymam nawet Lambra wzroku,
 Bo on jak człowiek, on się mści bez miary! —
 Pani! odpowiedz — chwil mamy nie wiele —
 A korsarz. — Cóż to? podłoga zroszona,
 I krew — na martwym potknąłem się ciele.
 Lampę odkryję. — O Boże! to ona!
 Sztylet ma w piersiach — to ona — zabita — »
 Umilkł, tysiączne uczucie nim miota;
 Martwy z przestachu — przerażeniem ożył.
 Spojrzał przez okno, krzyknął «świta, świta!»
 I z obłąkaniem chwycił za wór złota,
 Wybiegł i rygle za sobą założył.

XIV.

Bogini nocy przed blaskami świtu,
 Gwiazdy z rozwianych strząsała warkoczy;
 Deszczem spadały do morza błękitu —
 Inne, blask zorzy płonącej pochłonał.
 Lambro otworzył mgliste snami oczy:
 Połową czucia jeszcze we śnie tonał,
 Połową myśli sen przenikał zdradny,
 Rozkołysany pośród burzy wrażeń.
 Lecz boleść była nicią Aryadny,
 Po której wyszedł z labiryntu marzeń.
 A szatan ciemny co się karmi łzami,
 Skąpy swych darów, żadnych nie uronił;
 I chwil boleściom okradzionych snami,
 Większem cierpieniem i bolem dogonił.
 Skoro w komnaty dzień przeniknął jasny,
 Lambro krew ujrzał, stał nad martwym ciałem,

I rzekł: «sztyletu głowicę poznałem.
 To jam go zabił, to mój sztylet własny.
 Boże! czyż w świecie byłem tak splątany
 Z tym tłumem ludzi? że nawet samotny
 Umrzeć nie mogę — ale w tłum wmięszany
 Konam — i ludzie koło mnie padają,
 Jak oberwany z drzewa liść stokrotny! —
 O! boleść, boleść umierać ze zgrają,
 Jak pod gruzami zawalonej ściany!
 Gdzie nawet śmierci ostatnie westchnienie,
 Głośnemi jęki ludzi zagłuszone;
 Gdzie i ostatnie o zmarłym wspomnienie,
 Nie na człowieka lecz na tłum upada —
 Wzniosę ten zawój — pióra zakrwawione
 Ujrzę twarz pazia — czy mściwa i błada?»

XV.

Lambro schylony z drzeniem i nieśmiało,
 Zdjął zawój pazia ze strusiem pióry —
 I uderzony jak gromem, o mało
 Nie padł na ziemię, gdy spotkał oczyma
 Na pół otwartej źrenicy lazury.
 Upuścił zawój — sztyletu się ima —
 Potem przypomniał śmierć — sztylet odrzucił —
 Bo miał na ustach gorycze napoju.
 I z obłąkaniem odszedł — i znów wrócił,
 I znów rękami od śmierci drżącemi
 Zdejmował zawój — wtenczas z pod zawoju
 Włos uwolniony sypał się po ziemi,
 Ze smutnym szmerem, i do koła twarzy,
 Kładł się w tysiączne pierścienie rozwity.
 Okropny widok! Ta krew co się warzy,
 Co poplamiała jej szat aksamity;
 Na twarzy smutek i miękka omdłałość,
 I przeźroczysta alabastru białość.
 Kilka uwiedłych kwiatów w martwej dłoni

Trzyma na piersiach — a drugą dłoń dała
 Jak śpiące dziecko za wezglowie skroni —
 W takiej postawie martwa, jakby spała.

XVI.

Siły korsarza na pomoc zwołane,
 W serce wrzucone, z boleścią się łamią.
 On, tak jak ludzie co przed sobą kłamią
 Moc wielką duszy — wstydzi się cierpienia;
 A gdy mu własne serce zlitowane,
 Niosło jałmużnę łez i uzalenia,
 On ją odrzucił, on sercem hartownie
 Boleści ciała brał i nie wydawał.
 Ale po chwili — nowych cierpień nawał
 Wszystkie mu członki połamał gwałtownie.
 Straszna to boleść! rwał na czole włosy,
 Ręką bił w piersi — i krwawemi ciosy
 Rozdzierał w bojach odebrane blizny!
 Zkądże ta rozpacz? oto w głębi łona
 Uczuł niknące cierpienie trucizny,
 I myśl okropna — że siłami ciała
 Bole zwycięży — truciznę pokona,
 Że się wyłame śmierci — zabijała.

«Tak» rzekł posępny «pochowam ją święcie,
 W grób mój rodzinny, w ciche fal błękity.
 Sam dałem rozkaz — aby na okręcie
 Pod tą zasłoną pawilonu krwawą,
 Nie przeszła stopa ani cień kobiety —
 Miałbym pierwszy łamać dane prawo?
 Mogliby ze mnie urągać niegodni!
 Przed nimi trzeba kryć wszystko — prócz zbrodni. —

XVII.

Otworzył okna kajuty kratowe,
 Siadł nad cichemi morza zwierciadłami.
 Morze się lśniło ciemno-lazurowe,

Złociste słońcem — osrebrzone mgłami;
 I wiatr po żaglach okrętowych szumiał.
 Korsarz na łonie złożył Idy zwłoki
 I długo z martwą rozstać się nie umiał.
 To patrzył w odmęt ciemny i głęboki,
 To na jej lice zwracał smutne oczy;
 A wiatr mu ranny przesłaniał oblicze,
 Mgłą rozwiewaną jej długich warkoczy;
 Wtenczas czuł włos w wonie tajemnicze,
 I dumał długo cichym wspomnień żalem —
 Ani go zmarłej twarz raziała zbłądła.
 Na płeć jej niegdyś płonącą koralem
 Śmierć bledsze barwy, ale piękne kładła.
 Widząc jej kształty, zda się że upadła
 W uściski Lambra, zachwyceniem żywa;
 I tylko drżąca tuli się do łona,
 O nadto skore rozstanie lękliwa.
 Zda się że szumem morza przerażona,
 Od grobu lice odwrócone trzyma;
 I z okiem Lambra, wiąże się oczyma,
 I dłoń mu błędną kładzie na ramiona.
 O! patrząc na nią, musiał czuciom kłamać,
 Jeżeli lzy nie miał na cierpienia nowe!
 Gdy przyszło z objąć martwych się wyłamać,
 Odrzucić z szyi ręce lilijowe,
 I twarz odsłonić z wonnej włosów chmury!
 Przebył męczarnie wszystkie, wszystko przeżył —
 Rzucił ją w morze i patrzył ponury,
 Jak się krąg fali złamanej rozszerzył;
 Patrzył jak odmęt zrastał się rozbity,
 A martwe ciało na poły widome,
 Na pół morskimi przykryte błękity,
 Wzruszonej morza fali się broniło,
 Łamiąc się w kształty życiem nieruchome —
 I utonęło pod morza mogiłą.

A Lambro — on był szatanem — czy głazem!
 Lambro schylił nad takim obrazem,

Śmiech miał na licach, wesołość na czole.
 Ten śmiech ustami wydany blademi,
 To były trucizn wracające bole,
 Był to śmiech Lambra — ostatni na ziemi.

XVIII.

Lambro milczący usiadł na dywanie,
 Cały się mroczył i bladnął i gasnął.
 A potem głośno w obie dłonie klasnął,
 Wnet stary majtek wbiegł na zawołanie.
 Lambro rzekł: «Majtku niech pop okrętowy,
 Zapali lampy jak o wielkiem święcie;
 I niechaj głośno śpiewa hymn grobowy,
 Przy mnogich światłach, w mrocznym kadzidl dymie,
 Za tych co mają skonać na okręcie,
 I co skonali.» —

— «Panie! jakież imię
 Wspomni w modlitwach? czyjeż gaśnie życie?»
 — «Powiesić pazia na masztowym szczycie,
 Za niego modły niech wzniesie do Pana.» —

«Lambro, twój rozkaz spełnić się nie może,
 Twój paź gdzieś uszedł i zniknął od rana,
 Musiał tajemnie spuścić łódź na morze.
 Lecz choćby w Pera ukrywał się wieże,
 Choćby się w gmachach zamykał Sultana,
 Nakarmię kruki jego ciała ćwiercią.» —

«— To nic — Pop niechaj odmawia pacierze,
 Za konających i za zmarłych duszę;
 Teraz ty — odejdz — ja sam zostać muszę»
 I cicho dodał «sam jeden — ze śmiercią!»

XIX.

Oto na czarnej okrętu banderze,
 Martwe korsarza spoczywają zwłoki.

Majtkowie wyszli na pokład szeroki,
I słyhać było szeptane pacierze —
Szarawe kadzidl snuły się obłoki,
W dymach żółtawe płonęły gromnice.
I był to widok pięknnością straszliwy;
Gdy majtki patrząc w umarłego lice,
Cicho brzęczące zrywali kotwice;
I okręt płynął — a Lambro nieżywy
Po raz ostatni wędrował przez morze.
A skoro trzecie zabłysnęło zorze
Umalowane czerwonymi świty;
Do fal rzucili ciało i zniknęło —
I dział trzydzieści głęboko westchnęło,
Na bez-echowe otchłani błękity.

PRZYPISY

DO POEMATU LAMBRO.

PIEŚŃ PIERWSZA.

Podobna córce głazowej Tantala
Gdy, i t. d.

Te cztery wiersze są tłumaczeniem z Antyfony Sofoklesa.

Niegdyś nam północ miecz podała w dłonie,
A potem chytrze bezsilnych odbiegła.

Mowa o Katarzynie Carowej, która Greków poburzyła do powstania, i zdradziła oczekujących od niej pomocy.

— — — była to pieśń Rygi.

Sławny hymn powstańców, napisany przez Rygę, zaczyna się od słów: Δεῦτε, παῖδες τῶν Ἑλλήνων.

I miej kalemkiar ciemny z muselinu,

Lub czewrę —

Rodzaj zasłony kobiet tureckich.

PIEŚŃ DRUGA.

W jej szaty lalkę ubrałem słomianą

I tym podstępem omyliłem strażę;

Palnego statku Turcy nie poznali.

W ostatniej wojnie o niepodległość, Grecy często pod tureckie floty puszczali statki palne, napełnione lalkami, czyli tak zwa-

nemi manekinami, aby w Turkach podejrzenia nie wzbudzić. —
A łodzie takie miały pozór handlowych statków.

Miał skrzydła u głów — u rąk, u stóp trzecie.

Obraz anioła naśladowany z Milтона.

Ja mszczę się umarłych, jam anioł zarazy. —

Zaraza, która w ostatnich czasach mściła się na Europie,
opuszczającej naszą sprawę, podała mi myśl połączenia anioła
zarazy z zemsty aniołem.

— — to chata Santona.

W Atenach na gruzach kościoła Jowisza, Santon, derwisz
turecki zbudował chatę. —

Korsarz otruty

Przed śmiercią chwilą tonął w sen głęboki.

Otruci napojem opium, usypiają; lecz przed śmiercią budzą
się. —

POEZJE

ULOTNE,

W CZASIE REWOLUCJI POLSKIEJ

I PO JEJ UPADKU PISANE.

H Y M N.

Bogarodzica! Dziewico!

Słuchaj nas matko Boża,

To ojców naszych śpiew.

Wolności błyszczą zorza,

Wolności bije dzwon,

Wolności rośnie krzew.

Bogarodzico!

Wolnego ludu śpiew

Zanieś przed Boga tron.

Podnieście głos rycerze!

Niech grzmą wolności śpiewy,

Wstrząsną się Moskwy wieże:

Wolności pieniem wzruszę

Zimne granity Newy;

I tam są ludzie — i tam mają duszę —

Noc była. — Orzeł dwugłowy

Drzemał na szczycie gmachu

I w szponach niósł okowy —

Słuchajcie! zagrzmiały spiże;

Zagrzmiały — i ptak w przestrachu

Uleciał nad świątyn krzyże.

Spojrzał — i nie miał mocy

Patrzeć na wolne narody,

Olśniony blaskiem swobody —

Szukał cienia — i w ciemność uleciał północy.

O wstyd wam! wstyd wam Litwini
 Jeżeli w Gedymina grodzie,
 Odpocznie ptak zakrwawiony.
 Głos potomności obwini
 Ten naród — gdzie czczą w narodzie
 Krwiań zardzewiałe korony.

Wam się chylić przed obcemi
 Nam we własnych ufać siłach;
 Będziem żyć we własnej ziemi
 I we własnych spać mogiłach.

Do broni bracia! do broni!
 Oto ludu zmartwychwstanie!
 Z ciemnej pognębienia toni,
 Z popiołów Fenix, nowy
 Powstał lud — błogosław Panie!
 Niech grzmi pieśń jak w dzień godowy.

Bogarodzico! Dziewico!
 Słuchaj nas matko Boża
 To Ojców naszych śpiew —
 Wolności błyszczący zorza
 Wolności bije dzwon,
 I wolnych płynie krew.
 Bogarodzico!
 Wolnego ludu krew
 Zanieś przed Boga tron.

K U L I K.

Oto zapusty! — Dalej kulikiem,
 Każdy wesoły a każdy zbrojny,
 Jedzie na wojnę jak gdyby z wojny,
 Z szczeniakiem pałaszy, śmiechem i krzykiem.

Dalej! kulika w przyjaciół chaty —
 Zbudzim śpiących, zabierzem z sobą.
 Nie trzeba wdziawać balowej szaty
 Ani okrywać czoła żałobą,
 Tak jak jesteśmy — dalej i dalej!
 A gdzie staniemy? aż nad granicą —
 Gwiazdy nam świecą,
 Staniemy cali.

Ha! ha! koń parska — rade nam dwory —
 Nie trzaskaj z bicia — niechaj śpi lichy.
 Szybko po drodze tak juk upiory
 Śmigajmy szybko — cicho — i cicho.
 Niech sanki świszczą
 Jak błyskawica —
 W okrąg księżycy,
 Złote mgły koło,
 Kagańce błyszczą.
 Cha! cha! cha! jak nam wesoło!

Kto nas zobaczy, ten nie zastanie —
 Z nami na nowe polecą tańce;
 Mnogie hajduków świecą kagańce
 Szybkie po śniegu śmigają sanie.
 A kto chce zostać — więc dobrej nocy,
 Niech go nie zbudzi kogutów pianie,
 Niech śpi spokojnie. — My bez pomocy
 Tak jak jesteśmy — dalej i dalej — i t. d.

Stójcie tu! stójcie — oto dwór biały
 I światło w oknach — dam znak — wystrzelę.
 Odpowiedziały mnogie wystrzały.
 Ha! dobra wróżba — wszak tu wesele —
 Tu szlachta pije — wyprawia gody
 Drużby za nami! swaty za nami!
 Od młodej panny, chodź panie młody,
 Lecz nie patrz na nią — zalana łzami,
 A lzy kobiecie zmiękcza ci serce —
 Wrócisz! nie zwiędną ślubne kobierce.

Teraz za nami — tak z buketami,
Tak jak jesteście — dalej! i dalej! i t. d.

Stójcie tu! stójcie! tu dwór szlachcica
Dam znak, wystrzelę — nie, ciszej! ciszej!
Znagła wpadniemy, nikt nie usłyszy —
Przebóg! tu pogrzeb — błyszczą gromnica —
Porozwieszane w oknach całuny
I stoi truna — a koło truny
Syn smutny, w dłoniach ukrywa czoło —
Ha, ha! co robić? tu nie wesoło
Lecz po co długie prawić androny:
Mój panie synu prosimy z sobą.
Daj na pacierze — zostaw na dzwony,
Zabierz przyjaciół. — Z czarną żałobą
Tak jak jesteście — dalej! i dalej! i t. d.

Stójcie tu! stójcie! tu znakomity
Szlachcic zamieszkał — więc drzwi uchylę —
Zielonym suknem stolik wybity
A na stoliku świecą pamfile.
Panowie szlachta! do djabła karty —
Dalej do broni! a karty w kąty!
Niech Dej Algierski, Karol dziesiąty
I delfin — grają — może kto czwarty
Do gry zasiądzie i na kozery
Będzie błękitne rzucał papiery,
Które już dawniej spadły na cztery
I jeszcze spadną. — Mości Panowie!
Niech w karty sami grają królowie!
A my do koni — dalej! i dalej! i t. d.

Stójcie tu! stójcie! tu zamek stary:
Na hasło mnogi strzał odpowiada;
Zamorskie jakieś widzę maskarkary.
Panowie bracia! to maskarada.
Szaty w dziwaczne lepione wzory —
Słuchaj no! słuchaj, mój włoski panie,

Czy Sycylijskie znasz ty nieszpory?
 Znasz ty Neapol? — A ty Hiszpanie
 Czy byłeś kiedy w Minny orszaku?
 Nie — mniejsza o to — Włoch, Korsykanin,
 Żyd, Tatar, Turek, Amerykanin,
 Chodźcie tu za mną wszyscy bez braku,
 Tak jak jesteście — dalej! i dalej! i t. d.

Stójcie tu! stójcie! nowa gościna —
 Już w oknach wszelkie światło pogasło.
 Dam znak; wystrzelę, nie — po co hasło
 Tu śpią — nie słyszą — nie nasza вина
 Że sen przerwiemy. — Sztukam we wrota —
 Ha! stary sługa wychodzi, świeci.
 Twój pan śpi teraz? to mi to cnota!
 — «O nie — on nie śpi — pan mój i dzieci,
 Nim trzecie grudnia błysnęło zorze,
 Wyszli na czele zbrojnej czeredy —
 A teraz cicho — pusto we dworze.
 Wyszli na wroga — czy wrócą kiedy?»
 Widzicie bracia, mylą pozory;
 Takiemu panu błogosław Boże.
 Oby tak wszystkie zastać nam dwory!
 Jedźmy więc sami — dalej! i dalej! — i t. d.

Jakże noc pyszna jak lecą konie
 Lecą i lecą — a z pod kopyta
 Pyskają iskry — połyska błonie,
 Śmigają sanki — już świta! świta!
 Na niebie blednie czoło księżyca —
 Droga skończona — oto granica —
 Wstrzymaj rumaka! wstrzymaj rumaka!
 Noc rozwidniała
 Zagrzmiały działa —
 Oto jest kulik Polaka! —

P I E Ś Ń

LEGJONU LITEWSKIEGO.

Litwa żyje! Litwa żyje!
 Słońce dla niej błyszczy chwałą,
 Tyle serc dla Litwy bije,
 Tyle serc już bić przestało!
 Trzeba być głazem! trzeba być głazem,
 Cierpieć te więzy rdzawione pleśnią:
 Myśmy się za nie mścili żelazem,
 I wolną myślą, i wolną pieśnią.
 Zadrżały wrogi —
 Pieśń to ponura
 Te żmudzkie rogi:
 Jezus Marya! naprzód! hop, hop, urra!

Nauczyli nas Teutony
 Śpiewać jako nam śpiewali:
 Legiony! Legiony!
 Na Ruś! na Ruś! dalej! dalej!
 Bo gdy nam każą znów iść ku Włochom,
 Jakże się rozstać z ojców grobami?
 Chyba odwiecznym powiemy prochom:
 Powstańcie z grobów! chodźcie za nami!
 Zemsta na wrogi, i t. d.

Gdy Car groził Olgierdowi
 Odrzekł posłom Olgierd stary:
 «Nieście pochodnię Carowi,
 Nim zgaśnie powitam Cary.»
 I za posłami tej samej nocy
 Obozem stanął na Moskwy górach;
 Panował miastu jak orzeł w chmurach,
 Wszedł z jajkiem kraśnem w dzień Wielkanocy.

Zadrżały wrogi —
Pieśń to ponura,
Te żmudzkie rogi:
Na grom Perkuna! naprzód! hop! hop! urra!

Jagiellońskiej mur stolicy
Nam rozkwitnie kobiercami;
Trud zapłaci wzrok dziewicy,
Pomiészany śmiech ze łzami.
A kędy baszta mchami okryta,
Zbudzony pieśnią kamień z tej wieży
Może się zerwie, do stóp przybieży
I Giedymina wnuków powita.
Dalej na wrogi — i t. d.

Nikt nas teraz nie obwini,
Nikt na świecie nie zapyta:
Czy jeszcze żyją Litwini?
Oto pogoń nasza świta!
Lecz nie pytajcie czemu tak mała
Garstka chorągwią mężnych powiewa?
Więcej nas było — lecz z tego drzewa
Burza, nie jeden liść oberwała.
Zemsta na wrogi, i t. d.

Ho! zaszummy proporcami
Co wolności barwą świecą;
My lecimy, a za nami
Orły! orły! orły lecą.
Na nasze głowy jak szronu kiście
Spadają gromy — legion umiera,
Jak laur zdobiący grób bohatera —
Kto chciwy sławy — rwie lauru liście.
Zemsta na wrogi —
Pieśń to ponura,
Te żmudzkie rogi:
Jezus Marya! naprzód hop! hop! urra!

D U M A

O WACŁAWIE RZEWUSKIM.

Po morzach wędrował — był kiedyś Farysem,
 Pod palmą spoczywał, pod ciemnym cyprysem;
 Z modlitwą Araba był w gmachach Khaaba
 Odwiedzał Proroka grobowce.

Koń jego arabski był biały bez skazy.
 Siedmiokroć na koniu przeleciał step Gazy,
 I stał przed kościołem, i kornem bił czołem,
 Jak czynią w Solimie wędrowce.

Miał drogę gwiazdami znaczoną po stepie,
 I życie niósł własne w skrzydlatym oszczepie,
 Błądzący po świecie zaufał w sztylectcie —
 Bo sztylet mu dała dziewica.

Gdy nocą opuszczał haremu krużganki,
 By odciąć drabinę wziął sztylet kochanki;
 Choć broń była żeńska, lecz stał Damasczeńska,
 Hartowna — i złota głowica.

A kiedy odjeżdżał — ta bladła i mdlała,
 O sztylet prosiła, bo zabić się chciała.
 «Żyj długo — bądź zdrowa dziewico stepowa,
 «Twój sztylet położy mię w grobie.

«Bo kiedy już przeszłość ten step mi zakryje,
 «Gdy żyć będzie ciężko, to sam się zabiję —
 «Bo dziką mam duszę. Więc sztylet mieć muszę,
 «Twój sztylet mieć muszę przy sobie.»

Smutnego uniosły arabskie latawce,
 Bo znikła z krużganku — bo widział w sadzawce
 Pod oknem, w ogrodzie, fal koła na wodzie
 I białą zasłonę —! O Lachu! —

I nocą obaczył kraj miły, rodzony,
 Gdy księżyc się wznosił na stepach czerwony.
 W noc nawet i ślepy, poznałby te stepy
 Po kwiatów rodzinnych zapachu.

A niwa mu do stóp kłaniała się złota,
 I marzył że wierny druh wyjdzie przed wrota.
 Lecz druhów nie było. — Pod zimną mogiłą
 Posnęli — gdy błdził w pustyni.

Więc jechał samotny, nieznany nikomu;
 Lecz jeszcze z dziedzica, od wrót swego domu,
 Odwrócić chciał konia i jechać na błonia,
 Gdzie błdzą jak wiatr Beduini.

Lecz konia podkowy rozkute od krzemion,
 I koń był zmęczony. — Więc skoczył ze strzemion
 I wszedł do siedziby, bez zamku, bez szyby,
 Gdzie rosą próchniało obicie.

I miło mu było, gdy ujrzał te skały
 Nad ciemnym Smotryczem — gdzie orzeł żył biały,
 I wił sobie gniazdo; nadziei był gwiazdą,
 Po nieba szybując błękiecie.

Dla konia w ogrodzie budował altany,
 I żłoby pozłacał — z kryształu dał ściany.
 Przed Cara żołdakiem, mógł uciec tym ptakiem
 Daleko — i wolnym być zawsze.

I ludzi żałował, że żaden z nich nie miał
 Szybkiego tak konia — więc każdy oniemiał,
 I był jakby głazem, pod Cara rozkazem,
 A były rozkazy co krwawsze.

Raz, starym zwyczajem pomarłych już rodzin,
 Ten Emir arabski w dzień pańskich narodzin,
 Na sianie, za stołem, z przyjaciół swych kołem
 Połamał opłatek i spożył.

A potem jak przodków święcono zwyczajem,
 Wniósł toast nadziei stoletnim tokajem:
 «Żyj Polsko wiek sławy!» Wtem goniec z Warszawy,
 Przyleciał — zawołał: «kraj ożył!»

Więc Emir w stepowe zapuszcza się szlaki,
 A za nim na koniach buńczuczne Kozaki,
 W czerwieni i w bieli, po stepach płynęli,
 Po smutnych kurhanach przeszłości.

I cały ten szereg błyszczący od stali,
 Zrównanym galopem jak morze się fali;
 Gdzie słychać dział huk, tam lecą buńczuki,
 Jak gwiazdy z ogonem jasności.

Emira Kozaki gdy błdzą przez wrzosa,
 Umieją pieśń dziką rozłamać na głosy.
 Pieśń z echem odsyła stepowa mogiła,
 Pieśń grzmiącą »Ho! urra! nasz Emir!«

Do Cara pieśń doszła — wściekłością się pienił,
 I głowę Emira na ruble ocenił;
 Bo myślał że z kraju, z hordami Nogaju,
 Czyngishan szedł — Batt — lub Kantemir.

Bo umiał Rzewuski, jak Arab stepowy,
 Płachtami rumakom ogłuszyć podkowy,
 I cicho, gdy spali, pod obóz Moskali
 Podkradać się — bić i brać działa.

Włęcz ściągnął, jak wszyscy ściągali pod Daszów,
 Gdzie nasza konnica ze szczękiem pałaszów,
 Z wesołym okrzykiem, stanęła w mur szykiem,
 I chmurą proporców powiała.

A kiedy z mgły srebrnej wybiło się słońce,
 Ujrzeli Moskalów — straż przednią i Dońce.
 Mur dział, jak mur złota, a za nim piechota
 W bagnety porosła jak zboże. —

I cicho. — Wtem bomba śmierciami ciężarna,
Upadła w sreregi, zwichrzona i czarna!
A nasi w tej chwili jeszcze się modlili,
Do nieba wołali. — «O Boże!»

I razem bomb tysiąc zaryło się w stopy,
Rozpękłe wręciami ciskały czerepy,
I grzmiały, dopóki piechoty czworokąt,
Nasz Emir opasał konnicą.

I strasznie ją ścisnął, żelazne brał skrety.
Przedniemi nogami na bagniet koń wspięty,
Tak jak oczerety, połamał bagnety,
W złamanych miecz wiał błyskawicą.

Przemogliby nasi — choć bój był rozpaczny —
Wtem wódz od armaty dał rozkaz dwuznaczny :
«Konnica na skrzydła!» zwinęli wędzidła
Odbiegli — ostygli w zapale.

I popłoch się wmięszął — ów, co był przyczyną
Wszczętego popłochu, nie przeżył godziną.
Bojaźni nie dzielił, dwa działa wystrzelił,
I sam się zastrzelił na dziale. ¹

On może wśród bólów ostatnich zgryzoty,
Pamiętał że dzieci zostawiał sieroty;
Lecz śmierć zwyciężyła, niech dziś więc mogiła,
Ma lzy a nie skargi wygnańca.

A Emir, gdy ogień ucichał armatni,
Ujeżdżał z rozpaczą — choć zjeżdżał ostatni.
Któż męztwa zaprzecza? gdy szczyrby nie miecza
Powlekły — jak perły różańca.

A kiedy opuszczał kraj miły — rodzony,
Znów księżyc się wznosił na stepach czerwony —

¹ Orlikowski, Kapitan artylerji konnej, dowodzący działami w bitwie pod Daszowem. Skończył jak powyżej duma opisuje.

«Leć prędzej po błonię, odpoczniesz mój koniu
«Gdy w ziemi staniemy tureckiej.»

«O koniu! mój koniu gdzie twoje zalety?
«Czyś może się rozkuł deptając bagnety?
«Czyś złaman w kul wiatrze? stój koniu — opatrzę
«Czy nie ma gdzie kuli zdradzieckiej?»

«Ha zdrowy! — to dobrze — lecz jechać w noc trudno.»
Więc chatę na stepach upatrzył odludną.
Koń zimne gryzł kwiaty, a Emir wśród chaty
Zmęczony, zalegał na ziemi. —

I zasnął głęboko — bo trud go osłabił —
Śpiącego, od Cara najęty chłop zabił,
I sztylet dziewicy, do złotej głowicy
W pierś nurzył rękami drżącemi.

O! czemuś Emirze nie oddał kindżała
Stepowej dziewicy, gdy zabić się chciała.
Dziś ona śpi w fali, lecz dar jej ze stali
Na wieki w twem sercu zostanie.

A w Moskwie z dział bito na górze pokłonnej,
I miasto się trzęsło od pieśni studzwonnej.
Cieszył się Car Ruski, że Emir Rzewuski
W stepowym śpi cicho kurchanie.

P A R Y Ż.

Patrz! przy zachodzie, jak z Sekwany łona
Powstają gmachy połamanym składem;
Jak jedne drugim wchodzą na ramiona,
Gdzieniedzie ulic przeświecone śladem.

Gmachy skrzyconym wydają się gadem,
 Co zębem dachów, łuską się najeża.
 A tam — czy żądło oślinione jadem?
 Czy słońca promień? czy spisa rycerza?
 Wysoko — strzela blaskiem ozłocona wieża.

Nowa Sodom! pośród twych kamieni
 Mnoży się zbrodnia bezwstydną widomie!
 I kiedyś na cię spadnie deszcz płomieni,
 Lecz nie deszcz Boży, nie zamknięty w gromie
 Sto dział go poszle. — A na każdym domie
 Kula wyryje straszny wyrok Boga;
 Kula te mury przepali, przełomie,
 I wielka na cię spadnie kiedyś trwoga,,
 I większa jeszcze rozpacz — bo to kula wroga.

I już nad miastem wisi ta dział chmura!
 Dla tego ludu zasępione tłumy,
 Dla tego ciemność ulic tak ponura,
 Przeczuwam nieszczęść zbłąkane rozумы!
 Bez echa kona słowo próżnej dumy,
 O wrogach ciągle toczą się rozmowy —
 A straż ich przednia, ich północne dżumy
 obrońców ludu pozwiewały głowy:
 I po ulicach ciągle brzmi dzwon pogrzebowy.

Czy wrócą czasy tych świętych tajemnic,
 Kiedy tu ludzie zbytkiem życia wściekli,
 Jedni pod katem, drudzy w głębi ciemnic,
 Inni ponurzy, bladzi, krwią ociekli?
 Co kiedy śmieli pomyśleć — wyrzekli?
 Lud cały kona, katy i obrońce —
 Dnia im nie stało aby się wysiekli;
 I przeczuwając krwawej zorzy końce,
 Jak Jozue wołali: dnia trzeba — stój słońce!

I nie stanęło — pomarli — przedwcześnie,
 Lecz zostawili pamiątki po sobie:

Kraj po rozlewie krwi tonący we śnie,
 I lud, nie po nich, ubrany w żalobie.
 Krwi trójcę w jednej wcieloną osobie — ¹⁾
 Ten jak Rodyjski posąg, świecznik trzyma,
 I jedną nogę wsparł na martwych grobie,
 Drugą na zamku królów. — Gdzie oczyma
 Sięgnął — tam wnet i ręką dostawał olbrzyma.

A kiedy posąg walił się z podstawy
 Tysiące ludu sławą się dzieliło,
 Każdy się okrył łachmanem tej sławy,
 Każdemu było dosyć — nadto było —!
 Marzą o dawnej sławie nad mogiłą,
 I pod kolumną spiżu wszyscy posną; ²⁾
 Choć cięcie kata głowę z niej strąciło,
 Choć na niej może jak na gruzach, z wiosną,
 Chwasty z liljami nowych Burbonów porosną.

Tu dzisiaj Polak błąka się wygnany,
 W nędzy — i brat już nie pomaga bratu.
 Wierzby płaczące na brzegach Sekwany,
 Smutne są dla nas jak wierzby Eufratu.
 A całej nędzy nie wyjawię światu —
 Twarze z marmuru — serca marmurowe,
 Drzewo nadziei bez liścia i kwiatu,
 Schnie, gdy wygnaniec złożył pod nim głowę —
 Jak nad prorokiem Judy schło drzewo figowe.

— — — — —
 Zdala od miasta szukajmy napisów,
 Gdzie wielki smętarz zalega na górze. ³⁾
 O! jak tu smutno, kędy wśród cyprysów
 Pobladłe w cieniu chowają się róże!
 A pod stopami — dalej — miasto w chmurze,

¹⁾ Napoleon. —

²⁾ Kolumna.

³⁾ Smętarz Père la Chaise.

Topi się we mgłach gasnących opalu —
 A dla żałobnych rodzin przy tym murze,
 Przedają wianki z płótna lub z perkalu,
 Aby dłużej świadczyły o kupionym żalu!

Patrz na mgłę miejską — oto wież ostatki,
 Gotyckim kunsztem ukształcona ściana.¹
 Rzekłbyś — że zmarła matka twojej matki,
 W czarne brabanckie koronki ubrana,
 Z chmur się wychyla jak duch Ossyana —
 Ludzi nie dojrzysz. — Lecz nad mgłami fali,
 Stoją posągi, gdzie płynie Sekwana,²
 Jakby się w Styxu łodzi zatrzymali,
 I przed piekła bramami we mgłach stoją biali —

Tam gmachy Luwru gdzie tron Baltazara,
 A na nim siedział wyrobnik umarły —³
 Przez dnię lipcowe panowała mara,
 U nóg jej ludzie snuli się jak karły;
 Bo nad nią cienie śmierci rozpostarły
 Wielkość olbrzymią — był to król narodu!
 I aksamity krew mu z czoła starły:
 Lecz jego dzieci — umierały z głodu.
 Zaczął dynastję trupów, był ostatnim z rodu.

GODZINA MYŚLI.

Głuche cierpiących jęki, śmiech ludzki nieszczery,
 Są hymnem tego świata — a ten hymn posępny,
 Zbłąkanemi głosami wiecznie wniebowstępnym,
 Wpada między grające przed Jehową sfery,

¹ Kościół katedralny Nôtre-Dame.

² Most-zgody, albo Ludwika XVI^o z białemi posągami

³ Po wzięciu Luwru na królewskim tronie lud położył trupa. —

Jak dźwięk niesfornej struny. Ziemia ta przeklęta,
Co nas takim piastunki śpiewem w sen kołysze.
Szczęśliwy, kto się w ciemnych marzeń zamknął ciszę,
Kto ma sny i o chwilach prześnionych pamięta.

Trzeba życie rozłamać w dwie wielkie połowy —
Jedną godziną myśli trzeba w przeszłość wrócić!
I przeszłość jako obraz ściemniały i płowy,
Pełny pobladłych twarzy, ku słońcu odwrócić —
J ścigać okiem światła obrazy i cienie,
Jak lśniące rozprysniętych mozaiek kamienie.
Tam — pod okiem pamięci — pomiędzy gór szczytem,
Piękne, rodzinne miasto wieżami wytryska
Z doliny, wązkim nieba nakrytej błękitem.
Czarowne, gdy w mgle nocnej wieńcem okien błyska;
Gdy słońcu rzędem białe ukazuje domy,
Jak perły szmaragdami ogrodów przesnute.
Tam zimą lecą z lodów potoki rozkute,
I z szumem w kręte ulic wpadają załomy.
Tam stoi góra, Bony ochrzczona imieniem,
Większa nad inne — miastu panująca cieniem;
Stary — posępny zamek, który czołem trzyma,
Różne przybiera kształty — chmur łamany wirem;
I w dzień strzelnic błękitnych spogląda oczyma,
A w nocy jak korona, kryta żalu kirem,
Często szczerby wiekowe przesuwają powoli,
Na srebrzystej księżycy wschodzącego twarzy.
W dolinie mgłą zawianej, wśród kolumn topoli,
Niech blade uczuć dziecko o przyszłości marzy;
Niechaj myślami z kwiatów zapachem ulata,
Niechaj przecuciem szuka zakrytego świata;
To potem wiele dawnych marzeń stanie przed nim,
I ujrzy je zmysłami, pozna zbladłe maryl.
Karmił się marzeniami jak chlebem powszednim,
Dziś chleb ten zgorzkniał, piołun został w głębi czary.
Do szkieletu rozebrał zeschłe myśli ciało,
Odwrócił oczy — serce już myśleć przestało.

Gdy lampa gaśnie, kiedy pieśń piastunek ścicha,
 Kiedy się małe dziecko z kołyski uśmiecha,
 Ma sen całego życia. — A gdy tak przemarzą,
 Dzieci na świat nieznany smutną patrzą twarzą,
 I bladem przerażają czołem od powicia;
 Smutne pomiędzy ludźmi — bo miały sen życia.

Wśród Litewskiego grodu, w ciemnej szkolnej sali,
 Siedziało dwoje dzieci — niezmiészani w tłumie.
 Oba we spółzawodnej wykarmieni dumie,
 Oba wątłej postaci, marmurowo biali.
 Młodszy wiekiem nadzieje mniejsze zapowiadał,
 Pierś mu się podnosiła ciężkiem odetchnieniem;
 Włos na czole dzielony na ramiona spadał,
 I po nich czarnym gęstym sypał się pierścieniem.
 Widać że włos ten, co dnia ręką dziewic gładką
 Utrefiony, brał blaski dziewiczych warkoczy.
 Ludzie nieraz «on umrze» mówili przed matką:
 Wtenczas matka patrzała długo w dziecka oczy,
 I przeczyła z uśmiechem — Lecz w smutku godzinie
 Kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga,
 Lękała się nieszczęścia i myśląc o synie,
 Nie śmiała wyrzec: niech się dzieje wola Boga.
 Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,
 Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie.

Wśród ciemnej, szkolnej sali, było drugie dziecko:
 Włos miało jasny, kolor oczu lazurowy.
 Ludzie na nim nadzieje budowali szczytne.
 Pożerał księgi, mówił jak różne narody;
 Do licznych nauk dziennie palące czuł głody,
 Trawił się — jego oczy ciemne i błękitne,
 Jak polne dzwonki łzawym kryształem pokryte,
 I godzinami myśli w nieruchomość white,
 Tonąc w otchłan marzenia, szły prostemi loty,
 Za okresy widzenia, za wzroku przedmioty.
 Gdy patrzył w niewidziane oczyma obrazy,
 Ludzie obłądność w oczach widzieli — lecz skazy

Żadnej dostrzedz nie mogli. Młoda pamięć obu,
 Ogromna pamięć, z myśli uwita łańcucha,
 Świadczyła o istności przedżywotnej ducha —
 A przeczuciami życie widzieli do grobu.
 I nic ich nie dziwiło, co z lat poszło biegiem,
 I smutni nad przepaści życia stali brzegiem,
 Nie odwracając lica. W ciemnej, szkolnej sali,
 Smutna poezja duszy dała dźwięk uroczy:
 Na ciemnych, mglistych szybach zawieszając oczy,
 Wiosną — wśród szmeru nauk, myśleniem słuchali
 Szmeru rosnących kwiatów. A w zimowe pory
 Biegli na błonia białym pogrzebane śniegiem:
 Tam prędkim po równiach zadyszani biegiem,
 Twarze, umalowane zimnemi kolory,
 Obracali na stronę skąd przyjsć miała wiosna,
 I pierwszy powiew pili ustami jak życie.
 Potem gdy w wiosennego powietrza błękicie,
 W balsamy się rozlała czarna lasów sosna;
 Znudzeni wonią kwiatów zmieszaną, stokrotną,
 Wynaleźli woń tęskną — dziką i ulotną:
 Była to woń wierzbami oplakanej wody;
 Z cichej fali wstawiała każdego wieczora,
 Tajemnicze w powietrzu rozlewając chłody.
 Potem jesienią — dzieci wyobraźnia chora,
 Wypalona, igrała z żółtym liściem lasów,
 Smutna, jak w starcach pamięć przeminionych czasów.

Serce każdego równą miarę uczuć trzyma,
 Smutna poezja duszy oba serca żywi;
 Lecz wrażeniami duszy odmiennie szczęśliwi,
 Odmiennie czuli. Dziecko z czarnemi oczyma,
 Młodsze wiekiem, natchnieniom dało myśl skrzydlatą,
 I wypadkami myśli żyło w siódmym niebie.
 Młodszy marzenia stroił czarnoksięską szatą,
 A potem silną wolą rzucał je przed siebie —
 I stawały — i widział przed sobą obrazy,
 Od których się odłamał zimniejszym rozumem:
 Więc przeczuł że marzeniom da kiedyś wyrazy,

Że się zapozna myślą, z myślным ludzi tłumem.
 Przed sobą miał krainę duchów do zdobycia.
 Jego towarzysz, większy nauką i laty,
 Nigdy od krain myśli nie odłamał życia;
 Sprzągł razem i powiązał dwa niezgodne światy.
 I nieraz go śmiech ludzi, śmiech co czucia głuszy,
 Budził i rzeczywistość zimna roztrącała.
 Jako posągom nieraz braknie w rysach duszy,
 Posągom jego myśli brakowało ciała.
 Dusza, jak w kryształowym zamknięta przeźroczu,
 Patrzała na świat dzikiem obłąkaniem oczu,
 Niezapełności wrażeń łamana katuszą.

Nieraz te dzieci, myślą dwoistą i duszą,
 Składali jedne, piękne całością, obrazy.
 W dnie wiosenne, przy ścieżce piaskowej, na kwiatach,
 Gdzie nad niemi różowe rozkwitały ślasy,
 Gdzie wiśnie jak dziewice, w białych wiosny szatach,
 Między zarumienione kryły się jabłonie;
 Tam wzajem na ramionach opierając skronie,
 Zamieniali słowami uczucia wzajemne,
 Oni marzeniem księgi rozumieli ciemne,
 Nie rozumiejąc myślą. Z dziecinnego piasku
 Na księgach Swedenburga budowali gmachy,
 Pełne głosów anielskich, szaleństwa i blasku —
 Niebu, Tytanowemi grożące zamachy.

Przez tworów państwa snuli myślą dwa łańcuchy,
 W światło zbite u góry, w ciemność spodem złane —
 Tych ogniwa, jak szczeble wschodów połamane,
 Wiodą w światło idące, albo w ciemność duchy —
 I świat tworów, w dwa takie rozłamany ruchy,
 Wiecznie krąży. A dusza z iskry urodzona,
 Różnem życiem przez wieki rozkwita — i kona
 Przez długie wieki, biorąc kształty różnych tworów —
 W kwiecie jest duszą woni i treścią kolorów.
 W człowieku myślą, światłem staje się w aniele,
 Raz wstępnym pchnięta ruchem, ciągle w Boga płynie,

W doskonalszem co chwila rozkwitając ciele.
 Człowiek się silną myślą w anioła rozwinie —
 Ten anioł zachwyceniem w światło się rozleje,
 I będzie częścią Boga na żywiołów tronie,
 Lecz męty ziemskie w światła osiadają łonie;
 Jak o spadłych aniołach święte uczą dzieje.
 Ziemskiemu sny ścigani — grzeszą myślą dumi.
 I co dnia, z łona Boga, dusz zagasłych tłumy
 Lecą na ziemię, jak gwiazd zepchnięta lawina.
 Każda się w kształty ziemskie kryształy i ścina,
 I rosnącym ciężarem w bieg strącona skory,
 Przechodzi w ludzkie, czuciem zardzewiałe twory;
 I będzie jadem w gadzie, a trucizną w kwiecie. —
 Patrząc na tłumy ludzi na tym ciemnym świecie,
 Oni widzieli: którzy z łona Boga spadli,
 I po schodzących szczeblach szli w otchłań — i bladli.

W duszy dziecinnej, woli czarnoksięska siła,
 Ciągłem myśleniem, ciągłem rozwijana snuciem,
 Niewyjawiona słowy — często w ludzi biła:
 Zaczarowanie wołą, nazwali — zaczuciem.
 Bo nieraz wśród ciemnego tłumami kościoła,
 Którą, z kłęzących dziewic natrafiwszy losem,
 Wołali na nią silnie niemym duszy głosem;
 Wtenczas twarz odwracała od Pańskiego stoła,
 I pośród tłumu ludzi, jej wzrok w zadziwieniu,
 Nieobłądnie rzucony, na twarz dzieci padał,
 Jak gdyby na wołanie duszy odpowiadał;
 Jak gdyby ją po znanem wołali imieniu.

Nieraz starszy, błękitne topiąc w ziemię oczy,
 Mówił: «Słyszysz mój luby, jak obecna chwila
 Pada w przeszłość, rzucając dźwięk tęskny, uroczy?
 Ona nigdy nie wróci, ona nas nachyla
 Smutniejszymi twarzami w przeszłość upłynioną!
 Szczęśliwy! twoje myśli świetniej w słowach płoną,

Niż gdy w sercu zamknięte — moje myśli gasną,
 Słów nie cierpią — lecz nieraz w godzinie tajemnic,
 Tłumnemi słowy w piersiach jak szatany wrzasną,
 I wołają ażebym je wypuścił z ciemnic;
 Abym je wywiódł na świat — słów otworzył drogę.
 Niech mi świat da poezję — dać mu jej nie mogę.
 W tłumie myśli mam przepaść wiecznie czczą myślami —
 Przepaść ciemną, głęboką; napelnę ją życiem —
 Jeżeli nie wystarczy? biada! ciąglem gniciem,
 Myśl się martwa przekształci, ciemnością i łzami —
 Stane się myśli grobem — lub umrę przedwcześnie.
 Słuchaj! wschodnie krainy dziś ujrzałem we śnie:
 Piękne były, czarowne, nieraz o nich marzę.
 Widzę słońcem ściemniałe Beduinów twarze,
 Widzę lasy palmowe, świadki dawnych czasów;
 Myśl moja, niewstrzymana, w te krainy goni!
 Chciałbym jak duch w kwiecistej roztopić się woni;
 Chciałbym jak liść nieznany paść tam w głębi lasów.»

Gdy tak marzył — to wiśnie i kwiaty ogrodu,
 Bezwonne przed nim rosły, bo myśl dalej biegła,
 I wkrótce marzeniami ognistemi wschodu,
 Zamknęła go w płomieni kole i obiegła.
 Więc pojechał do wielkiej na północ stolicy,
 Gdzie długo patrzył w Koran, zwierciadło Kalifów;
 Albo samotny słuchał wieków tajemnicy,
 Wymówionej niepewną twarzą hieroglifów.
 Po trzech latach nauki, miał wziąć kij pielgrzyma.

Przez te trzy lata dziecko z czarnemi oczyma,
 Poznało miłość — — Pierwszą i ostatnią była,
 I najsilniejsza z uczuć, uczucia przeżyła.
 Widziałem go przy stopach dziewicy — anioła —
 Czarnemi weni oczyma patrzyła i bladła,
 Myśląc o dziecka życiu, bo z wielkiego czoła,
 Przyszłość mu nieszczęśliwą jak wróżka odgadła.
 Więc odwracała oczy, a wtenczas łzy lała —
 Przed nią dusza dziecięcia jako karta biała,

Czerniła się na wieki miłością daremną.
 Ona go chciała wysłać na tę ziemię ciemną,
 Ze wspomnieniami szczęścia — chciała zbroić niemi
 Przeciwno własnej duszy, i czczym chwilom ziemi.
 Więk kładła w niego marzeń i myśli tysiące,
 A słowa jej tak były łagodne, tak drżące,
 Że, we wspomnieniach dziecka zlane, dały dźwięki,
 Podobne do miłości zeznanej wyrazu.
 Ona umiała oczom nadać wzrok rozkazu,
 I nieraz wstrzymać zamach samobójczej ręki.

On sam od siebie śmierci odsunął widziadło,
 Dziwnem wynalezieniem cierpiącego życia.
 On przed sobą przyszłości postawił zwierciadło,
 I rzucał w nie obecne chwile — i z odbicia
 Wnosił, jaki blask przyszłe wspomnienia nadadzą
 Obecnym chwilom życia. Taką myśli władzą
 Śmiech nieraz słyszał, wspomnień powtórzony echem —
 Smutny i połamany przyszłością niepewną,
 I na wesołą chwilę twarzą patrzył rzewną;
 A nieszczęście przyjmował pół-smutnym uśmiechem,
 Patrząc na nie z przyszłości. — Był to wzrok wędrowca,
 Co w drodze życia wstąpił na szczyty grobowca,
 I stamtąd ściga mgliste rysy krajobrazów.

Nieraz z dziewicą bory przelatował ciemne —
 Gdy pod ich kołami iskry sypały się z głazów:
 Mówili wzajem myśli głębokie, tajemne,
 Jak do snu kołysani — marzący jak we śnie.
 A dziecię bolem uczuć złamane przedwcześnie,
 Po takich mowach ludzi chroniło się tłumem,
 I biegło w ciemne lasy — tam na dzikie wrzasy
 Kładło się bladą twarzą — sosn słuchając szumu;
 Tam uspionemu myślą, wiatr rozwiewał włosy,
 A myśli rosły wielkie, ciemne, tajemnicze,
 Jak gwiazdy ogromnemi płynące obroty.
 Lub w niebo kładł się twarzą — wtenczas na oblicze
 Padało światło lasów — promień słońca złoty,

Pocięty cieniem liści w marmurowe plamy.
 A potem w głębiach lasu wicher z szumem wzbity,
 Nad głową mu odmykał gałęziste bramy,
 Skąd w ciemne myśli nieba spadały błękity.

Po trzech latach ów drugi młodzieniec powrócił,
 Biegły wschodnich narodów tłumaczyć się mową.
 W otwarte dziecka ręce z rokoszą się rzucił,
 I rzekł: «Odjeżdżam na wschód, w krainę palmową»,
 A potem umilkł nagle. O jakże odmienny
 Od marzącego dziecka! Pobladł — jego oczy
 Obląkane jak dawniej, lecz wzrok miały senny!
 Widać że myśl, co niegdyś żywiła, dziś tłoczy,
 I wbija go do ziemi. — Jakaś tajemnica
 Niedocieczona, spała w rysach martwych lic.
 Mało mówił — tylko raz w pośród dzikich sosen,
 Wykrzyknął z obląkaniem: «Ginę marzeń zdradą!
 Wysyłają mię w kraje bez zim i bez wiosen —
 Chcą mię zabić!» — A potem uśmiechnął się blade,
 I resztę zamknął w serca głębokim tajniku.
 Potem wzięwszy uściski matki, druchów, bratnie,
 Odjechał i w drugiego dziecka imionniku
 Zapisał pożegnania wyrazy ostatnie:

«Po długich latach, gdy wiek sił ukróci,
 Gdy będziesz myślą w złotej przeszłości się pławił,
 Wspomnij na przyjaciela, który cię zostawił,
 Jak przeszłość zniknął, jak przeszłość nie wróci.»

Wkrótce potem — pamiętam — o księżycu wschodzie,
 Drugie dziecię wśród ciemnej, dębowej ulicy
 Siedziało, pochylone przy stopach dziewicy.
 Z drzew opadały liście i w całym ogrodzie
 Zaledwo kilka kwiatów szronami srebrzystych;
 Na niebie ledwo kilka gwiazd zabłysło mglistych —
 Księżyć płynął samotny, las szumiał daleki.
 Tego wieczora dziecię ustami drżącemi
 Anioła snów dziecinnych żegnało na wieki,
 A potem bladą twarzą upadło do ziemi,

Jak zabite słowami, dumnym wstydem drżące.
 Bo dziecko miało dumę wielkiego człowieka,
 Przeczuciem nakarmioną. Wtenczas lat tysiące,
 Wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,
 Świetna okrzykiem ludzi — a z temi obrazy
 Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,
 Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem —
 Serce jak kryształ w setne poryło się skazy.
 I tak wiecznie zostało. Wszystkie czucia skarby
 Ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie:
 Wyobraźnia złotemi rozkwitała farby
 I kładła się jak tęcza na ksiąg białej karcie;
 Lecz nie było w niej wiary w szczęście, ani w Boga.
 Ludzie w nim mieli drucha, w myślach świat miał wroga.
 On w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,
 Mścił się i gmach budował niedowiarstwem ciemny —
 Ta budowa, ciężkimi myślami sklepiona,
 Stała otworem ludziom; lecz by się w nią dostać,
 Musieli wprzód jak wielcy szatani Miliona,
 Zmniejszać się i myślami przybrać karłów postać.

Tak w rozstania godzinie młody anioł zginął —
 Wzniósł twarz — już nad nim młodej nie było dziewicy!
 Długo dumał — bo księżyc pół nieba przepłynął,
 I patrzył drugą stroną dębowej ulicy,
 Jak lampa w końcu ciemnej, klasztornej arkady.
 Młodzieniec zadumany, patrzył w księżyc błady —
 Potem nagle uśpioną budząc się pamięcią,
 Wydobył pismo, całą zamknięte pieczęcią;
 I przy księżycu świetle czytał nieruchomy,
 Na nieznanym liście, podpis nieznanowy,
 A w głębi listu smutne kryły się nowiny;

«Twój przyjaciel wysłany w piramid krainy,
 Jako drogman poselstwa, zajechał po drodze
 Do przyjaciół rodziców domu — trzy dni bawił,
 Niewinnej wesołości długie puścił wodze,
 I przy lampie wieczornej powieści nam prawil.

Wczoraj miał dalej jechać. — Widzieliśmy rankiem
 Jak po jesiennym liściu chodził smutny, cichy —
 Potem konie pocztowe brzęknęły przed gankiem,
 Potem wielkie, strzemienne, podano kielichy —
 Żegnał się — za łyzy dawał wesołe uściski,
 I puharem o nasze puhary uderzył.
 Odszedł. Wtem uczuujących strzał przeraził bliski —
 Tłumem biegliśmy w jego komnatę — już nie żył!
 Przez serce przeszła kula, a broń trzymał w dłoni.
 Spoczywa na rozdrożu — wśród leśnej ustroni.
 Książę grób jego poświęcił, wierząc w zdanie tłumu,
 Ze samobójstwo było w młodzińcu chorobą
 Obląkania, ciemnoty, szału, nierozumu.
 Ten wypadek dom cały napęłił żałobą.»

Oto jest romans życia nieskłamany w niczem —
 Zabite głodem wrażeń jedno z dzieci kona,
 A drugie, z odwróconem na przeszłość obliczem
 Rzuciło się w świat ciemny! — —

Powieść nieskończona.



Drukiem F. A. Brockhauſa w Lipsku.



WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

114426

L-P

Biblioteka WSP Kielce



0226467